

graham
MASTERTON



Demony Normandii

GRAHAM MASTERTON

Demony Normandii

W

Najgorsze diabły to te, które cieszą się wojną i rozlewem krwi i które doświadczają ludzi najokrutniejszymi cięgami

Francis Barrett

OD AUTORA

Wszystkie diabły i demony, które pojawiają się w tej książce, są legendarnymi stworami pochodzącymi z piekieł. Istnieją rzeczowe dowody na ich istnienie. Z tego powodu nie polecałbym nikomu wzywania ich za pomocą zaklęć występujących w tekście, gdyż zaklęcia te również są autentyczne.

Chciałbym podkreślić, że Pentagon i brytyjskie Ministerstwo Obrony usilnie zaprzeczają, jakoby wypadki tu opisane zdarzyły się kiedykolwiek, pozostawiam to jednak do Waszego uznania.

Widziałem ich, jak nadjeżdżali, już z odległości ponad kilometra – dwie niewielkie postaci rowerzystów, o twarzach szczelnie owiniętych szalikami, wściekle pedałuujące pośród białych zimowych drzew. Gdy przybliżyli się, słyszałem też, jak rozmawiali, i dostrzegłem obłoczki zimnej pary, zalegające wokół ich warg. Znajdowałem się w Normandii, w grudniu, świat wydawał się mglisty i szary niby fotografia, a ponure, czerwone słońce zaczynało już zsuwać się za porośnięte lasem wzgórza. Poza tymi dwoma robotnikami francuskimi, którzy z wolna nadjeżdżali w moim kierunku, na drodze nie było nikogo. Stałem sam ze swoim statywem mierniczego na trawie zwarzonej szronem, wynajęty citroen 2cv zaparkowawszy niezgrabnie pod kątem na poboczu. Trzymał tak piekielny mróz, że prawie nie czułem dłoni i nosa, i nawet obawiałem się przytupywać, by nie odpadły mi palce u nóg.

Mężczyźni przybliżyli się. Byli niemłodzi. Obaj mieli na sobie ciasne marynarki i berety, a jednemu z nich wystawał zza pleców podniszczony wojskowy tornister, z którego sterczała długa bagietka. Na oszronionej jezdni opony kół rowerów pozostawiały białe, futrzaste ślady.

W sercu prowincji Suisse Normande panował niewielki ruch. Czasami pojawił się jakiś przypadkowy traktor albo mignął pędząc setką jeszcze bardziej przypadkowy citroen maserati, wzbijając lodowe tumany.

–*Bonjour, messieurs!* – zawołałem.

Jeden ze staruszków zwolnił i zsiadł. Podprowadził rower aż pod sam statyw i odrzekł:

–*Bonjour monsieur. Qu'est-ce que vous faites?*

–Mój francuski nie jest najlepszy – powiedziałem. – Czy mówi pan po angielsku? Staruszek skinął głową.

–Sporządzam mapę – dodałem, wskazując w kierunku zimnych, srebrzystych wzgórz u krańca doliny. – *Une carte.*

–*Ah, oui* – rzekł staruszek. – *Une carte.*

Ten drugi, który nadal siedział okrakiem na rowerze, zsunął z twarzy szalik i wytarł nos.

–To pod nową drogę? – zapytał. – Nową autostradę?

–Nie, nie. Dla kogoś, kto pisze książkę historyczną. To będzie mapa całego tutejszego regionu do książki o drugiej wojnie światowej.

–*Ah, la guerre.* – Pierwszy staruszek skinął głową. – *Une carte de la guerre, hunh?*

Następnie wyjął błękitną paczuszkę gitane'ów i poczęstował mnie.

Zazwyczaj nie paliłem francuskich papierosów, po części dlatego, że zawierały dużo smoły, po części dlatego, że cuchnęły niczym palona sierść końska, ale nie chciałem wydać się niegrzeczny, w każdym razie nie po dwóch zaledwie dniach spędzonych w północnej Francji. Poza tym z radością przyjąłem nawet tak małe źródło ciepła jak rozżarzony papieros.

Przez chwilę paliliśmy i uśmiechaliśmy się do siebie w milczeniu, tak jak to robią ludzie, którzy nie umieją się dobrze posługiwać cudzym językiem.

–Bili się w całej dolinie i nad rzeką Orne – powiedział wreszcie staruszek z bagietką. – Bardzo dobrze pamiętam.

–Czołgi, wie pan? Tu i tu – dodał ten drugi. – Amerykanie nadciągali z przeciwnej strony, od Clecy, a Niemcy wycofywali się doliną Orne. Ciężka bitwa, widzi pan, tam, pod Pont D'Ouilly. Ale tamtego dnia Niemcy nie mieli szans. Te czołgi amerykańskie przeszły mostem w Le Vey i odcięły im odwrót. Nocą, właśnie stąd, widać było płonące niemieckie czołgi na całej linii rzeki aż do zakrętu.

Wypuściłem kłęb dymu i pary. Panował taki mrok, iż z trudnością wyłowilem zeń ciężki, granitowy zarys skałek koło Ouilly, gdzie Orne rozszerzając się zakręcała, by spaść pienistą kaskadą z tamy w Le Vey i podążyć na północ. Słyszałem jednakże odgłos rwącej wody i smętne bicie dzwonu kościelnego w odległej wiosce. Tu, w tym zimnym i zasronionym miejscu, wydawało nam się, iż jesteśmy jedynymi ludźmi na całym kontynencie europejskim.

–Ciężkie były te walki – odezwał się staruszek z bagietką. – Nigdy takich nie widziałem. Bez trudu złapaliśmy trzech Niemców. Z radością się nam poddali. Pamiętam, jak jeden z nich powiedział: „Dzisiaj walczyłem z szatanem”.

Drugi rowerzysta pokiwał głową.

–*Der Teufel*. Tak właśnie powiedział. Sam słyszałem. On i ja jesteśmy kuzynami. Uśmiechnąłem się do obu. Nie bardzo wiedziałem, co rzec.

–Cóż – zauważył ten z bagietką. – Musimy wracać na posiłek.

–Dziękuję, że panowie się zatrzymali – powiedziałem. – Gdy człowiek tak stoi, robi się samotny.

–Interesuje się pan wojną? – zapytał drugi. Wzruszyłem ramionami.

–Nieszczególnie. Jestem kartografem. Rysownikiem map.

–Mnóstwo jest historii o wojnie. Niektóre to zwykle bzdury. I tu, w tej okolicy, natkniesz się

pan na wiele opowieści. Tam, może kilometr od Pont D’OUILLY, stoi w zaroślach amerykański

czołg. Nocą ludzie do niego nie podchodzą. Powiadają, że w ponure noce słychać, jak w środku rozmawia ze sobą jego załoga.

–Upiorne.

Staruszek podciągnął szalik tak wysoko, że wyglądały spoza niego tylko oczy, stare, otoczone zmarszczkami. Przypominał dziwnego arabskiego wieszacza albo straszliwie poranionego człowieka. Wcisnął ręce w dziane rękawiczki | i odezwał się przytłumionym głosem:

–To tylko opowieści. Sądzę, że wszystkie pola bitewne mają swe upiory. W każdym razie, *le potage s’attend*.

Kuzyni machnęli mi na pożegnanie i powoli odjechali i drogą. Wkrótce zniknęli we mgle za zakrętem obsadzonym drzewami. Znowu zostałem sam, skostniały z zimna, niemal gotów spakować wszystko i jechać na obiad. Słońce wygasło, zduszone białym płatem opadającej mgły, tak że ledwie mogłem dostrzec własne dłonie, gdy je uniosłem do twarzy, cóż więc mówić o szczytach odległych skałek.

Ułożyłem ekwipunek w bagażniku, wgramoliłem się na fotel kierowcy i przez pięć minut usiłowałem uruchomić samochód. Przeklęty grat rżał jak koń, toteż miałem ochotę wysiąść i dać mu porządnego kopniaka, ale silnik nagle kaszlnął i ożył. Włączyłem światła, wykręciłem i skierowałem się do Falaise, do swego brudnego hoteliku.

Ujechałem niecały kilometr, gdy zobaczyłem przed sobą drogowskaz – PONT D’OUILLY 4 KM. Rzuciłem okiem na zegarek. Dochodziło dopiero wpół do piątej, pomyślałem więc, że mały wypad, by popatrzeć na nawiedzony czołg, mógłby okazać się interesujący. Ewentualnie spróbowałbym go sfotografować jutro, przy świetle dziennym, może Roger zechciałby wykorzystać zdjęcie w swojej książce. Roger Kellman napisał właśnie rys historyczny „The Days after D-Day”, który miałem zilustrować mapami. Każdy drobiazg dotyczący pamiątek wojskowych stanowiłby dla niego smakowity kąsek.

Skreśliłem w lewo i prawie natychmiast pożałowałem swej decyzji. Droga wiodła ostro w dół, wijąc się i kręcąc między drzewami i skałami, była śliska od lodu, błota i na poły zamarzniętych krowich placków. Samochód raz po raz wpadał w poślizg, rzucało nim na boki, a przednia szyba zaszła zupełnie mgłą od mojego nerwowego sapania, aż musiałem w końcu otworzyć okno i wysunąć głowę na zewnątrz, co przy temperaturze dobrze poniżej zera wcale nie sprawiało mi żadnej przyjemności.

Mijałem milczące, podupadłe gospodarstwa, w których dachy obór obwisły niebezpiecznie, a szyby w oknach zastępowały deski. Mijałem szare pastwiska, na których stały krowy podobne do zabrudzonych brązowo-białych układanek. Z włochatych warg zwisała im soplami zamarznęta ślina. Mijałem opuszczone domy i skośne pola, opadające ku ciemnej, zimowej rzece. Jediną oznaką życia, na jaką natknąłem się, był warkoczący traktor, z kołami oblepionymi niemal do podwójnych rozmiarów gliną koloru ochry, postawiony na poboczu. Ale wewnątrz nie zauważyłem nikogo.

Wreszcie kręta droga zaprowadziła mnie między szorstkie mury kamienne, pod arkadę splecionych bezlistnych gałęzi drzew i dalej na most w OUILLY. Rozglądałem się za czołgiem opisanym przez rowerzystów, ale za pierwszym razem minąłem go wcale go nie zauważywszy. Przez pięć minut walczyłem z samochodem, by zmusić go do powrotu tą samą trasą. Dwa razy zgasł mi silnik, a raz mało brakowało, bym ugrzązł w bramie jakiegoś gospodarstwa. Widziałem przez podwórze, jak otworzyły się drzwi od stajni i jak podejrzliwie przyjrzała mi się staruszka o szarej twarzy, w białym koronkowym czepku na głowie, ale wnet drzwi się zamknęły. Wcisnąłem coś, co przypominało drugi bieg, i z rykiem ruszyłem z powrotem.

Tego czołgu można było nie zauważyć w świetle dnia, a co dopiero o zmierzchu w samym środku mroźnej normandzkiej zimy. Gdy wyjeżdżałem zza zakrętu, stanął mi przed oczyma.

Udało mi się zatrzymać citroena kilka metrów dalej, w niewielkiej odległości od czołgu, choć podwozie jęknęło w proteście. Wysiadłem z samochodu prosto w podmarznęty krowi placek. Przynajmniej w takiej postaci nie cuchnął. Wytarłem but o kamień na poboczu i podszedłem do czołgu, by mu się przyjrzeć.

Był ciemny i masywny, ale dziwnie mały. Zapewne tak się przyzwyczailiśmy do widoku współczesnych czołgów wojskowych, że zapomnieliśmy, jak niewielkie rozmiary miały w rzeczywistości czołgi w czasach drugiej wojny światowej. Od jego czarnej powierzchni odpadały płaty rdzy, i tak wrósł w żywopłot, że wyglądał jak jakiś przedmiot z baśni o śpiącej królewnie. Głogi i ciernie wiły się wokół wieżyczki, poprzerastały gąsienice i oplotły krótką lufę. Nie wiem, jakiego typu był ten czołg, sądziłem, że może sherman, czy coś w tym rodzaju. Niewątpliwie był to czołg amerykański. Na boku widniała wyblakła, przerdzewiała gwiazda i jakiś malunek, prawie zatarty działaniem czasu i pogody. Kopnąłem czołg i usłyszałem głuche, puste dudnienie.

Wzdłuż drogi szła wolno jakaś kobieta niosąc aluminiowy kubek na mleko. Podchodząc, patrzyła na mnie z uwagą, a gdy znalazła się blisko, stanęła i postawiła kubek. Była dość młoda, może miała dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata. Głowę owiązała chustką w czerwone kropki. Najwyraźniej była to córka jakiegoś gospodarza. Ręce miała szorstkie od ранnego dojenia krów w zimnych oborach, a policzki jaskrawokarmazynowe jak u malowanej lalki.

–*Bonjour, mam'selle* - powiedziałem. Skinęła głową, po czym zapytała:

–Jest pan Amerykaninem?

–Tak.

–Tak myślałam. Tylko Amerykanie tu przystają, by się przyjrzeć tej maszynie.

–Świetnie mówi pani po angielsku. Nie uśmiechnęła się. – Pracowałam jako pomoc domowa w Anglii, w Pinner, trzy lata.

–Ale wróciła pani na wieś?

–Umarła moja matka. Ojciec został zupełnie sam.

–Ma dobrą córkę.

–Tak – odparła, spuszczać oczy. – Sądzę jednak, że pewnego dnia znowu wyjadę.

Czuję się tu bardzo *solitaire*. Bardzo samotnie.

Odwrociłem się ku ponurej, przygnębiającej masie opuszczonego czołgu.

–Powiedziano mi, że tu straszy. Nocą słyhać rozmowy załogi. Dziewczyna nie odezwała się. Oczekałem chwilę i obróciłem się znowu. Przyjrzałem się jej dokładniej.

–Myśli pani, że to prawda? – zapytałem. – Że tu rzeczywiście straszy?

–Nie wolno o tym mówić – powiedziała. – Jeżeli się o tym mówi, kwaśnieje mleko.

Popatrzyłem na jej aluminiowy kubek. – Serio? Jeżeli mówić o duchach z czołgu, to kwaśnieje mleko?

–Tak – wyszeptała.

Zdawało mi się, że słyzałem już wszystko, ale to było zadziwiające. Współczesna Francja,

nowoczesna dziewczyna, inteligentna, szepcze w pobliżu poobijanego shermana w obawie, by nie skwaśniało jej świeże mleko. Położyłem dłoń na zimnym, zardzewiałym błotniku czołgu i poczułem, że znalazłem coś wyjątkowego. Rogerowi dopiero by się to spodobało!

–Czy słyzała pani te duchy? – zapytałem. Szybko potrząsnęła głową.

–A zna pani kogoś, kto słyzał? Kogoś, z kim mógłbym pomówić? Podniosła kubek i ruszyła dalej. Przeszedłem jednak na drugą stronę drogi i dotrzymywałem

jej kroku, mimo że nie chciała na mnie spojrzeć ani mi odpowiadać.

–Nie chcę być natrętem, *mam'selle*. Ale piszemy książkę o najeździe na Normandię, o

dniu „D”, i o tym, co zdarzyło się potem. Wydaje mi się, że to jest właśnie dobry temat do książki. Naprawdę. Jestem przekonany, że ktoś słyszał te głosy, jeżeli tylko są prawdziwe.

Dziewczyna zatrzymała się i popatrzyła na mnie hardo. Jak na normandzką wieśniaczkę była całkiem ładna. Miała prosty nos, taki sam, jaki widuje się u jedenastowiecznych dam na „Tkaninie z Bayeux”, i opalizujące zielone oczy. Zabrudzona błotem kamizelka, prosta spódnica i gumki kryły zupełnie niezłą figurę.

–Nie wiem, dlaczego miałyby to być drażliwy temat. Przecież to tylko opowieści. Chodzi mi o to, że duchy nie istnieją, prawda?

Dziewczyna patrzyła na mnie nadal. – To nie duch, to coś innego – przemówiła wreszcie.

–Jak to coś innego?

–Nie mogę powiedzieć.

Zacęła iść tak szybko, że z trudnością za nią nadążałem. Bez wątplenia ten, kto chodzi codziennie pięć kilometrów do obór i z powrotem, nieźle sobie wzmacnia mięśnie nóg. Gdy dotarliśmy do omszałej kamiennej bramy, przy której zawracałem samochód, z trudnością łapałem oddech i bolało mnie gardło od zimnego, mglistego powietrza.

–To moje gospodarstwo – powiedziała dziewczyna. – Tu wchodzę.

–Nic mi pani więcej nie powie?

–Nie ma co opowiadać. Ten czołg stoi tam od czasów wojny. To ponad trzydzieści lat, prawda? Jak można słyszeć głosy w czołgu po trzydziestu latach?

–Właśnie o to pytam.

Odwróciła głowę profilem. Miała smutne, wygięte ku dołowi wargi. I z tym prostym, arystokratycznym nosem wydawała się prawie piękna.

–Czy mogę znać pani imię? – zapytałem. Przez jej twarz przemknął krótki uśmiech. – Madeleine Passerelle. *Et vous?*

–Dan. To skrót od Daniel. Daniel McCook. Dziewczyna wyciągnęła do mnie dłoń i uścisnęliśmy sobie ręce.

–Miło mi było pana poznać – powiedziała. – A teraz muszę iść.

–Czy mógłbym cię znowu zobaczyć? Będę tu jeszcze jutro. Kończę rysować mapę.

Potrząsnęła głową.

–Wcale nie staram się ciebie poderwać – zapewniłem ją. – Może moglibyśmy pójść się czegoś napić. Czy jest tu jakiś bar?

Rozejrzałem się po tej zimnej, wilgotnej krainie, po polach i smętnych krowach gromadzących się przy płocie po drugiej stronie drogi.

–No, może jakiś hotelik? – poprawiłem się. Madeleine rozhuściła wiadro z mlekiem.

–Chyba jestem zajęta – powiedziała. – Poza tym mój ojciec wymaga troskliwej opieki.

–Kim jest ta staruszka?

–Jaka staruszka?

–Staruszka, którą widziałem u drzwi stajni, gdy zawracałem samochód. Miała na głowie biały koronkowy czepek.

–Ach... To Eloise. Całe życie przemieszkała na wsi. Opiekowała się moją matką, gdy ta była chora. O, to właśnie z nią powinien pan porozmawiać, jeżeli interesują pana opowieści o czołgu. Ona wierzy we wszystkie przesady.

Zakasłałem z zimna.

–Czy mógłbym teraz z nią pomówić?

–Dzisiaj wieczór nie – powiedziała Madeleine. – Może kiedy indziej.

Obróciła się i zaczęła iść przez podwórze, ale dogoniłem ją i chwyciłem wiadro.

–Posłuchaj, może jutro? – zapytałem. – Mógłbym przyjechać około południa. Czy poświeciłabyś mi kilka minut?

Uparłem się, że nie pozwolę jej odejść, zanim się ze mną konkretnie nie umówi w taki czy w inny sposób. Czołg i duchy stanowiły niezłą ciekawostkę, ale jeszcze bardziej intrygowała mnie Madeleine Passerelle. Gdy człowiek rysuje wojskową mapę jakiegoś rejonu w północnej Francji, mało ma przy tym rozrywek, a parę kieliszków wina i zabawa na sianie z gospodarską córką, nawet w środku zimy, wydają się o wiele miłszym spędzaniem czasu niż samotne posiłki w brązowym, cuchnącym czosnkiem mauzoleum, które w moim hotelu dowcipnie nazywano jadalnią.

Madeleine uśmiechnęła się.

–Dobrze. Proszę przyjść na obiad. Ale proszę przyjść wcześniej, o wpół do dwunastej. We Francji jadamy wcześniej.

–Będzie to wydarzenie tygodnia. Straszne dzięki.

Pochyliłem się, by ją pocałować, ale noga pośliznęła mi się na rozdeptanym błocie podwórza i mało brakowało, a wywróciłbym się. Uratowałem jednak sporą część swojej godności. Udało mi się wyjść z poślizgu, zamieniając go w trzy szybkie kroczki, lecz całus rozwiązał się w mroźnym powietrzu zmierzchu.

–*Au revoir, Monsieur McCook* – powiedziała rozbawiona Madeleine. – Do jutra.

Patrzyłem, jak idzie przez podwórze i jak znika za drzwiami stajni. Z wieczornego nieba zaczął siąpić lodowaty deszcz, który za godzinę lub dwie zamieni się prawdopodobnie w śnieg. Opuściłem gospodarstwo i ruszyłem z powrotem drogą w kierunku Pont D’OUILLY, do miejsca, gdzie zostawiłem samochód.

Na drodze było cicho, ciemno i mokro. Wcisnąłem dłonie głęboko do kieszeni płaszcza i naciągnąłem szalik na usta, W dole, z prawej strony, słyszałem szum rzeki, która biegła po brunatnych granitowych kamieniach płytkiego koryta, z lewej, tuż za żywopłotem, wznosiły się skalne bloki, od których poszła nazwa tego regionu Normandii – Normandia Szwajcarska. Skalki okrywała lepka, zielonkawa maź i mech, zwisały z nich girlandy korzeni drzew. Z łatwością można było sobie wyobrazić dziwaczne i złowrogie stwory czyhające w szczelinach i szparach. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że aż tak daleko zaszedłem drogą za Madeleine.

Maszerowałem pięć minut, zanim dostrzegłem żółty samochód na poboczu i skuloną czarną masę porzuconego czołgu. Mżawka zamieniała się w ogromne płyty roztopiającego się śniegu, podciągnąłem więc kołnierz płaszcza i przyśpieszyłem kroku.

Któż może wiedzieć, do jakich sztuczek zdolne są oczy w ciemnościach podczas śnieżnej zamieci! Gdy ma się zmęczone oczy, łatwo zobaczyć jakieś cienie usuwające się aż na skraj pola widzenia. Zdają się one stać wyprostowane, drzewa zaś przesuwać. Lecz tamtego wieczoru na drodze do Pont D’OUILLY nic miałem żadnych wątpliwości, że to nie oczy mnie mamią, że naprawdę coś zobaczyłem. Jest we Francji znak drogowy, który ostrzega przed zwodniczością ciemności, i prawdopodobnie coś takiego właśnie mnie się przytrafiło, nadal jednak uważam, iż to, co mi mignęło przed oczyma, nie było iluzją. W przeciwnym razie nie zatrzymałbym się przecież na drodze i nic poczuł mroźnego dreszczu, jeszcze zimniejszego niż wieczorne powietrze.

Przez sypiący śnieg, kilka metrów od wraku czołgu, dostrzegłem niewielką kościstą postać, bielejącą w ciemności, niewiele większą od pięcioletniego dziecka. Wydawało mi się, że ten ktoś podskakuje czy też biegnie. Widok był tak nagły i tak przedziwny, że przez chwilę napawał mnie przerażeniem, ale natychmiast oprzytomniałem i rzuciłem się za tym kimś biegiem, krzycząc przez śnieg: – Ej! Ty!

Mój krzyk odbił się głuchym echem o pobliskie skałki. Spozierałem w ciemności, ale niko-

go ani też niczego już nie widziałem oprócz rdzewiejącego, masywnego shermana, wplątanego w gęstwinię cierni i żywopłot. Nie dojrzałem śladu postaci czy dziecka. Wróciłem do samochodu i obejrzałem go, szukając uszkodzeń, by się upewnić, czy ten ktoś nie był wandalą lub złodziejem, ale citroen nic nie ucierpiał. W zamyśleniu usadowiłem się za kierownicą i przez parę minut siedziałem, wycierając twarz i włosy chusteczką do nosa i zastanawiając się, co, u licha, się tu działo.

Uruchomiłem silnik, ale zanim odjechałem, przyjrzałem się jeszcze raz czołgowi. Bardzo dziwne budził we mnie uczucia, gdy myślałem, że tak stoi nie ruszony na poboczu i niszczyje od 1944 roku, że właśnie tutaj armia amerykańska walczyła o wolność Normandii. Po raz pierwszy w swojej karierze kartografa poczułem żywą historię, zrozumiałem, że znalazłem się na historycznym miejscu. Chwilę zastanawiałem się, czy szkielety załogi czołgu nadal tkwią w środku, ale doszedłem do wniosku, że zapewne dawno temu zabrano je i pochowano, jak przystało. Francuzi odnosili się z wielką i wspaniałą powagą wobec szczątków tych, którzy zginęli w walce o ich wyzwolenie.

Zwolniłem hamulec i ruszyłem z powrotem mroczną drogą w dół, następnie przez most, a potem zygzakami pod górę do głównej szosy. Śnieg opadał tumanem na przednią szybę, tak że dwie żalozne wycieraczki radziły sobie z nim, niczym dwóch geriatryków ze śmieciami i konfetti zalegającymi ulicę Nowego Jorku po świątecznej paradzie. Gdy włączałem się do ruchu, omal nie zderzyłem się z renówką, która szorowała przez śnieżycę setką. Vive la velocité, pomyślałem sobie, wlokąc się do Falaise trzydziestką.

Następnego dnia, siedząc pod wysokim sufitem hotelowej jadalni, posiłałem się uroczyście rogalikami z konfiturą i piłem kawę. Obserwując od czasu do czasu własne odbicie w nakrapianych lustrach, usiłowałem równocześnie rozszyfrować za pomocą egzemplarza „Le Figaro”, przytwierdzonego do długiego patyka, co też, do cholery, wydarzyło się tego dnia na świecie. Po drugiej stronie sali pulchny Francuz z woskowanymi wąsami i ogromną białą serwetą umocowaną do kołnierzyka koszuli pożerał bułeczki w takim tempie, jakby chciał spowodować raptowny wzrost cen akcji przemysłu piekarskiego. Ubrana na czarno kelnerka o ściągniętej twarzy człapała w tenisówkach po czarno-białej, kafelkowej posadzce, umacniając każdego w przekonaniu, iż jest absolutnie niepożądanym intruzem, który w dodatku bezpardonowo domaga się jeszcze śniadania, Przyszło mi na myśl, żeby zmienić hotel, ale wspomniałem Madeleine i życie nabrało kolorów.

Niemal cały ranek spędziłem na zakręcie drogi, biegnącej z południowego wschodu do Clecy. Suchy wiatr zgarnął większość śniegu w ciągu nocy, ale wciąż było wściekle zimno. Pokryta szronem wioska leżała w niewielkiej dolinie, wsparta o szerokie, garbate wzgórza. W drzwiach pojawiali się to wchodząc, to wychodząc maluteńcy wieśniacy. Zajmowali się ogródkami, praniem, noszeniem drewna, a dzwonnica kościoła wybijał godziny. Nowy Jork wydawał mi się niezmiernie daleki.

Pewnie byłem rozkojarzony, bo zdołałem zrobić zaledwie połowę pomiarów, jakie wyznaczyłem sobie tego ranka. O jedenastej spakowałem się już, gotów jechać do Pont D'Ouilly. Nawet zadałem sobie tyle trudu, by zatrzymać się i kupić w wiejskim sklepiku butelkę całkiem porządnego bordeaux, na wszelki wypadek, gdyby ojciec Madeleine wymagał ugłaskania. Kupiłem też dla Madeleine pudełko owoców kandyzowanych. W Normandii nie brakowało tego przysmaku.

Wynajęty citroen kaszał i dławił się, ale wreszcie trafił krętą drogą na most. W dziennym świetle cała ta okolica wcale nie wydawała się bardziej gościnna niż nocą. Nad polami wisiał zimny, srebrzysty opar, a pasma mgły pod wiazami kojarzyły się z przybrudzonymi siatkowymi

firanami. Krowy wciąż stały na zimnie, cierpliwie żując bezbarwną trawę i wypuszczając takie kłęby pary, iż przypominały zastępy nałogowych palaczy. Przejechałem przez kamienny mostek nad bulgoczącą rzeką, a potem przyhamowałem, chcąc się bliżej przyjrzeć czołgowi.

Stał tam – milczący, potrząskany – omotany cierniem i bezlistnym wilcem.

Zatrzymałem samochód na chwilę i opuściłem szybę, aby popatrzeć na skorodowane koła, opadłe gąsienice, na niewielką, ciemną wieżyczkę o łuszczących się bokach. Czołg sprawiał złowrogie i smutne wrażenie. Przypominał „Mulberry Harbour”, który porzucony nadal leżał przy brzegu w pobliżu Arromanches, po normandzkiej stronie kanału La Manche, niczym posępny pomnik upamiętniający 6 czerwca 1944 roku. Takiego pomnika nigdy nie uda się zastąpić kamiennym monumentem czy statuą.

Przez kilka chwil przyglądałem się wilgotnemu i stęchlemu żywopłotowi, a potem uruchomiłem silnik i pojechałem do gospodarstwa Madeleine. Skręciłem w bramę i przejechałem przez podwórze, rozpryskując na wszystkie strony błoto, a wokół mnie gdakały bijąc skrzydłami kury, stadko umorusanych gęsi zaś uciekało przede mną niby grupa biegaczy przełajowych.

Wysiadłem z samochodu uważając, gdzie stawiam stopy, i sięgnąłem po prezenty.

Otworzyły się drzwi i usłyszałem, jak ktoś idzie w moją stronę.

–*Bonjour, monsieur. Qu'est-ce que vous voulez?* – odezwał się męski głos.

Na podwórzu, wcisnąwszy dłonie w kieszenie, stał niewysoki Francuz odziany w ubłocone spodnie, ubłocone gumiaki i ubłoconą brązową marynarkę. Miał podłużną normandzką twarz i palił gauloise'a, który zdawał się przyklejony na stałe do jego warg. Beret wciągnął na uszy, toteż wyglądał z wiejska, ale jego oczy błyszczały inteligencją. Reprezentował typ takiego gospodarza, przed którym niewiele da się ukryć.

–Nazywam się Dan McCook – oznajmiłem. – Pańska córka, Madeleine, zaprosiła mnie na obiad. Eee... *pour dejeuner?*

Wieśniak skinął głową. – Tak, monsieur. Mówiła mi o tym. Jestem Jacques Passerelle. Uścisnęliśmy sobie ręce. Podałem mu butelkę wina.

–Przywiozłem to dla pana. Mam nadzieję, że lubi pan to wino. Bordeaux.

Jacques Passerelle zawahał się chwilę i sięgnął do kieszonki na piersiach po okulary w drucianej oprawie. Zahaczył je na uszach i przyjrzał się pilnie butelce. Poczujęm się tak, jakbym bezczelnie sprezentował bekon w opakowaniu próżniowym hodowcy świń z Kentucky. Ale Francuz skinął znów głową, schował okulary i powiedział:

–*Merci bien, monsieur. Schowam to na dimanche.*

Wprowadził mnie przez stajenne drzwi do kuchni. Krzątała się w niej Eloise, przyodziana w ciemnoszarą suknię i biały koronkowy czepek. W wielkim miedzianym rondlu dusiła jabłka. Kiedy Jacques przedstawił mnie, podałem jej rękę. Palce starej kobiety były miękkie i suche, a na jednym z nich tkwił srebrny pierścień z miniaturową Biblią. Miała taką płaską, bladą, pomarszczoną twarz, jakie czasami widuje się w oknach przytułków dla starców lub za szybami autokarów wiozących wycieczki emerytów. W domostwie Passerelle'ów czuła się jednak silna i niezależna i chodziła wyprostowana.

–Madeleine wspominała mi, że interesuje się pan czolgiem – powiedziała. Rzuciłem spojrzenie na Jacquesa, ale wydawał się nie słuchać. Chrząknąłem i odrzekłem:

–Tak. Sporządzam mapę tego regionu do książki o dniu „D”.

–Ten czoląg jest tutaj od września 1944 roku. Od połowy września. Skonał w bardzo gorącym dniu.

Spojrzałem na nią. Jej oczy zdawały się bladoniebieskie niczym niebo po wiosennym deszczu. Trudno było orzec, czy patrzyły na zewnątrz czy do wewnątrz.

–Może uda nam się porozmawiać o tym po obiedzie – powiedziałem.

Wyszedszy z zaparowanej kuchni pachnącej jabłkami znaleźliśmy się w wąskim korytarzyku, w którym podłogę ułożono z nagich drewnianych desek. Jacques otworzył boczne drzwi i zapytał:

–Czy ma pan ochotę na aperitif?

Najwyraźniej ten frontowy salonik służył wyłącznie do przyjmowania gości. Panował w nim mrok, albowiem w oknach wisiały ciężkie story. W powietrzu czuło się kurz i stęchliznę zmieszane z wonią pasty do czyszczenia mebli. Stały tam trzy fotele obite perkalem, podobne do tych, jakie można znaleźć w każdym domu meblowym jak Francja długa i szeroka. Na ścianie wisiała miedziana grzałka do pościeli, a także plastikowa statuetka Matki Boskiej z

niewielkim pojemniczkiem na wodę święconą. Ciemny kredens zdobiły fotografie ślubów i wnucząt, każdą z nich umieszczono na osobnej koronkowej serwetce. Minuty zimowego poranka odliczał powoli i nieznużenie wysoki zegar.

–Proszę o calvados – powiedziałem. – Nie znam niczego, co mogłoby rozgrzać czoło wieka lepiej w mroźny dzień. Nawet jack daniels mu nie dorównuje.

Jacques wyjął dwie niewielkie szklaneczki z kredensu, odkorkował calvados i nalał. Podsunął mi jedną, drugą podniósł z powagą.

–*Santé* – rzekł niegłośnie i wszystko wypił jednym haustem.

Sączyłem swój z większą ostrożnością. Calvados, normandzkie brandy z jabłek, to mocny trunek, a ja mimo wszystko chciałem jeszcze poważnie popracować tego popołudnia.

–Był pan tutaj latem? – zapytał Jacques.

–Nie, nigdy. Dopiero trzeci raz jestem w Europie.

–W zimie nie jest tak miło. Błoto, mróz. Ale latem jest bardzo pięknie. Mamy tu gości z całej Francji, no i z Europy. Można wynająć łódź i wiosłować po rzece.

–To brzmi fantastycznie. Przyjeżdża tu wielu Amerykanów?

Jacques wzruszył ramionami.

–Jeden czy dwóch. Czasem też zjawiają się Niemcy. Ale tutaj dociera ich niewielu. Pont

D’OUILLY to przykre wspomnienia. Niemcy uciekali stąd, jakby gonił ich sam diabeł.

Przełknąłem jeszcze trochę calvadosu, który żarzył mi się w przełyku niczym rozpalony koks.

–Pan jest drugą osobą, która mi to mówi – powiedziałem. – *Der Teufel*. Jacques uśmiechnął się lekko w sposób przypominający uśmiech Madeleine.

–Muszę się przebrać – oznajmił. – Nie lubię zasiadać do stołu jak błotniak.

–Ależ proszę – powiedziałem. – Czy Madeleine zejdzie?

–Za chwilę. Chciała się umalować. Cóż... nie mamy tu wielu gości.

Jacques poszedł się umyć, a ja przystanąłem w oknie, by popatrzeć na sad. Wszystkie drzewa były nagie, poprzycinane, a trawa biała od szronu. Na płocie uplecionym z białej brzozy, znajdującym się na końcu ogrodu, przysiadł na chwilę ptak i zaraz odleciał. Zwróciłem się w stronę pokoju.

Jedna z fotografii umieszczonych na kredensie przedstawiała młodą dziewczynę w uczesaniu z lat czterdziestych. Domyśliłem się, że to matka Madeleine. Przyjrzałem się również kolorowej fotografii wyobrażającej Madeleine w wieku niemowlęcym, z uśmiechniętym księdzem w tle, a także oficjalnemu portretowi Jacquesa w wysokim białym kołnierzyku. Obok tego wszystkiego stała wykonana z brązu statuetka w kształcie średniowiecznej katedry. Na jednej z wież ktoś zawiesił obrączkę ze splecionych włosów. Nie umiałem się domyślić znaczenia takiego gestu, ale nie byłem katolikiem obrządku rzymskiego, no i właściwie nie interesowały mnie religijne relikwie.

Właśnie miałem podnieść miniaturkę, aby się jej lepiej przyjrzeć, gdy otworzyły się drzwi saloniku. Weszła Madeleine. Miała na sobie jasnokremową kretonową sukienkę. Ciemnoblonde włosy zaczesła do tyłu i spięła grzebieniami z szylkretu, wargi zaś pomalowała na czerwono.

–Proszę – odezwała się. – Nie dotykaj tego. Cofnąłem dłonie od malutkiej katedry.

–Przepraszam. Tylko chciałem się przyjrzeć.

–To pamiątka po mojej matce.

–Przepraszam.

–Nie szkodzi. Nie myśl o tym. Czy ojciec poczęstował cię czymś do picia?

–Jasne. Calvadosem. Już mi dzwoni w uszach. Czy dołączysz do mnie? Potrząsnęła głową. – Nie mogę tego pić. Dano mi trochę, gdy miałam dwanaście lat, i

strasznie się rozchorowałam. Teraz piję tylko wino. Usiadła. Przysiadłem naprzeciw.

–Nie powinnaś była ubierać się specjalnie dla mnie – powiedziałem. – Ale i tak ślicz

nie wyglądasz.

Madeleine zarumieniała się. To znaczy, jej policzki stały się lekko różowe. Nie wątpiłem jednak, że to rumieniec. Od lat nie widziałem takiej skromności.

–Wczoraj wieczorem przytrafiło mi się coś dziwnego – powiedziałem. – Gdy wracałem do samochodu, widziałem coś, mógłbym przysiąc, na drodze.

–Co? – Podniosła oczy.

–Właściwie nie jestem pewny. To coś wyglądało jak małe dziecko, było jednak zbyt chude i kościste jak na dziecko.

Przez kilka sekund Madeleine przyglądała mi się w milczeniu.

–Nie wiem – odezwała się w końcu. – To zapewne przez śnieg.

–Nie wiem, co to było, ale piekielnie się zląkłem. Madeleine skubała taśmę wykańczającą obicie poręczy fotela.

–To *ambiance*, ta atmosfera wokół czołgu. Dzięki niej ludzie widzą albo czują rzeczy, których nie ma. Eloise opowie ci kilka podobnych historii, jeśli zechcesz.

–A sama w nie nic wierzysz?

Wzruszyła ramionami.

–Po co? Po to tylko, by siebie wystraszyć? Wolę myśleć o rzeczywistych sprawach, a nie o duchach i zjawach.

Odstawiłem szklaneczkę na niewielki stolik przy fotelu.

–Mam wrażenie, że nie lubisz tej okolicy.

–To znaczy domu mojego ojca?

–Nic, Pont D’Ouilly. Nie jest to centrum towarzyskie północnej Francji, prawda?

Madeleine wstała i podeszła do okna. Na tle szarego zimowego światła jej sylwetka wydawała się ciemna.

–Życie towarzyskie nie ma dla mnie takiego znaczenia – powiedziała. – Gdy mieszka się tu, w Pont D’Ouilly, poznaje się smutek, i właściwie wszystko jest lepsze od smutku.

–Czyżbyś kochała i straciła?

Uśmiechnęła się. – W pewnym sensie. Kochałam życie i straciłam dlań serce.

–Chyba nie rozumiem – odparłem. Ale właśnie w owej chwili z drugiego końca korytarza doleciał nas dźwięk gongu.

Madeleine odwróciła się i powiedziała:

–Obiad gotowy. Lepiej chodźmy.

Tego dnia obiad podano w jadalni, chociaż, jak podejrzewałem, zwykle jadano w kuchni,

szczególnie w te dni, gdy moi gospodarze wracali do domu z sześciocentymetrową warstwą błota

na butach, głodni jak wilki. Eloise postawiła na owalnym stole ogromną wazę pełną gorącej, brunatnej zupy cebulowej, do tego podała chrupiący chleb czosnkowy, a ja uświadomiłem sobie nagle, że dawno nie jadłem domowych potraw. Jacques już stał przy końcu stołu, ubrany w starannie wyprasowany brązowy garnitur, a gdy wszyscy zajęliśmy swoje miejsca, skłonił ku nam łysiejącą głowę i odmówił modlitwę.

–O, Panie, który dajesz nam wszystko, co spożywamy, dziękujemy ci za ten posiłek.

Chroń nas przed głosem złego, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

Spojrzałem przez stół na Madeleine i starałem się nadać pytający wyraz swojej twarzy. *Głos złego!*? O co tu chodzi? O głosy w czołgu? Czy o coś innego? Ale Madeleine całą swą uwagę skupiła na wielkiej wazie, z której Eloise nalewała na talerze parującą, przezroczystą zupę. Czy chciała uniknąć mojego wzroku, nie wiem, ale nie podniosła oczu aż do chwili, gdy jej ojciec wznowił rozmowę.

–Górne pole zamarzło – powiedział, dotykając ust serwetką. – Dziś rano zaorałem hektar i wyorywałem z ziemią lód. Od dziesięciu lat nie było tu takiego mrozu.

–Nadejdą gorsze zimy. Psy wiedzą – odezwała się Eloise.

–Psy? – zapytałem.

–Tak, monsieur. Kiedy pies trzyma się blisko domu, kiedy odzywa się w nocy, wtedy przez trzy kolejne lata noce będą zimne.

–Wierzy w to pani? Nic jest to ludowe porzekadło francuskie?

Eloise zmarszczyła brwi patrząc na mnie. – To nie ma nic wspólnego z wiarą. To prawda.

Nieraz się o tym przekonałam.

–Eloise umie odczytywać znaki przyrody, panie McCook – dodał Jacques. – Umie wyleczyć chorego naparem z mniszka albo uspić łopianem i tymiankiem.

–A wypędzać duchy?

–Dan... – szepnęła Madeleine.

Nie spieszyło to jednak Eloise. Przyjrzała mi się badawczo swoimi wodnistymi oczyma i prawie się uśmiechnęła.

–Mam nadzieję, że nie uważa mnie pani za impertynenta – powiedziałem. – Ale wyda

je mi się, że w tej okolicy wszyscy boją się czołgu, i gdyby udało się pani go egzorcyzmować...

Eloise powoli pokręciła głową. – Tylko ksiądz może dokonać egzorcyzmów – powiedziała łagodnie. – A jedyny ksiądz, który by nam uwierzył, jest za stary i za słaby na taki wysiłek...

–Naprawdę uważa pani, że tam straszy?

–To zależy, co pan rozumie przez „straszy”, monsieur.

–To znaczy, o ile dobrze zrozumiałem, że nocą słyhać rozmowy martwej załogi, tak?

–Niektórzy tak utrzymują – powiedział Jacques. Spojrzałem na niego.

–A co inni powiadają?

–Inni wcale nie chcą o tym rozmawiać. Eloise ostrożnie nabrała zupy łyżką.

–Nikt nie wie zbyt wiele o czołgach. Ale tamte czołgi nie były podobne do zwyczajnych czołgów amerykańskich. Były inne, zupełnie inne, a ojciec Anton, nasz ksiądz, twierdzi, że przybyły prosto z piekła, *l'enfer*.

–Eloise... – odezwała się Madeleine – czy musimy tyle na ten temat mówić? Popsujemy sobie obiad.

Ale Eloise uniosła dłoń.

–Wszystko jedno. Ten młody człowiek chce dowiedzieć się czegoś o czołgu, niech się więc dowie.

–Czym się różniły? – zapytałem. – Ten mi przypomina normalny czołg.

–Cóż – powiedziała Eloise – wymalowano je na czarno, chociaż teraz tego nie widać, bo rdza i deszcze zżarły lakier. A było ich trzynaście. Wiem, bo liczyłam je, gdy nadjeżdżały szosą z Le Vey. Trzynaście, trzynastego września. Ale, co najdziwniejsze, nie otwierały wieżyczek. Większość amerykańskich czołgów przejeżdżała z otwartymi klapami i żołnierze rzucali nam cukierki, papierosy albo nylonowe pończochy. Te czołgi zaś przejechały i nikt nie widział tych, co nimi kierowali. Zawsze były zamknięte.

Madeleine siedziała wyprostowana na krześle. Skończyła zupę. Mocno przybladła, nie miałem więc wątpliwości, że ta rozmowa na temat tajemniczych czołgów wyprowadzała ją z równowagi.

–Czy pytaliście o nie Amerykanów? – zagadnąłem. – Czy kiedykolwiek wyjaśniono wam, co to

było takiego?

–Nie wiedzieli albo nie chcieli mówić – odparł Jacques z ustami pełnymi czosnkowego chleba. – Mówili, że to dywizja specjalna, i tyle.

–Został tylko jeden – wtrąciła Eloise. – Tenczołg, któremu pękła gąsienica i który musiał się zatrzymać. Ale Amerykanie wcale nie starali się go zabrać. A następnego dnia, gdy przyjechali, zalutowali wieżyczkę. O tak, zalutowali, po czym zjawił się jakiś angielski ksiądz i odmówił modlitwę, no i tak go pozostawiono, by gnił.

–To znaczy, że załoga została wewnątrz?

Jacques oderwał jeszcze kęs chleba.

–Kto wie? Nie dopuścili w pobliżu nikogo. Wiele razy rozmawiałem z policją i z burmistrzem i za każdym razem słyszałem, żeczołgu nie wolno ruszać. Więc stoi.

–A odkąd tu się znalazł, wioska stała się martwa i smutna – dodała Madeleine.

–Z powodu głosów?

–Słyszano głosy. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – A przynajmniej tak niektórzy utrzymują. Przede wszystkim idzie o obecność tegoczołgu. To straszliwe przypomnienie czegoś, o czym większość z nas teraz wolałaby zapomnieć.

–Tychczołgów nie można było zatrzymać – ciągnęła Eloise. – Ostrzeliwałyczołgi niemieckie pociskami zapalającymi wzdłuż całej rzeki, a potem strzelały do ludzi, do Niemców, którzy usiłowali uciekać. Przez całą noc słyszeliśmy wrzaski płonących ludzi. Ranoczołgi zniknęły. Kto wie, gdzie i jak. Walczyły cały dzień i całą noc, i nie było takiej siły na ziemi, która by mogła je powstrzymać. Wiem, monsieur, że one nas uratowały, ale wciąż wzdriagam się na samą myśl o nich.

–Czy ktoś słyszał te głosy? Czy wiadomo, o czym rozprawiają?

–Już niewiele osób chodzi tamtą drogą w nocy – powiedziała Eloise. – Ale madame Verrier mówiła mi, że pewnej lutowej nocy słyszała szepty i śmiech, stary Henriques zaś wspominał o dudniących, wrzaskliwych głosach, Ja sama niosłam jaja i mleko koło tegoczołgu, no i mleko skwaśniało, a jaja zrobiły się śmierdzące. Gaston z sąsiedniego gospodarstwa miał teriera, który po obwąchaniuczołgu dostał drgawek. A potem wypadła mu sierść i pies zdechł po trzech dniach. Każdy tu zna jakąś opowieść o złu, które dotyka człowieka, gdy ten zbliży się doczołgu, Dzisiejszymi czasy nikt więc lam nie chodzi.

–A nie są to zwykle przesady? – zapytałem. – Chodzi mi o to, że tak naprawdę to nie ma namacalnych dowodów.

–Powinien pan zapytać ojca Antona – powiedziała Eloise. – Jeśli rzeczywiście jest pan na tyle lekkomyślny, aby chcieć dowiedzieć się czegoś więcej. Ojciec Anton prawdopodobnie opowie panu więcej. Anglik, który modlił się nad czołgiem, mieszkał u niego przez miesiąc, i

wiem, że często rozmawiali o czołgu. Ojciec Anton nigdy nie pogodził się z tym, że tak pozostawiono ten czołg przy drodze, ale nie mógł nic zrobić, chyba tylko wynieść go daleko na własnych plecach.

–Mówmy o czymś innym – poprosiła Madeleine. – Wojna to taki smutny temat.

–Dobrze – odparłem, unosząc ręce, jakbym się poddawał. – Dziękuję za to, co mi pani powiedziała. Z tego będzie świetny temat książkowy. A teraz miałbym ochotę na dolewkę zupy cebulowej.

Eloise uśmiechnęła się. – Ma pan duży apetyt, monsieur. Pamiętam amerykańskie apetyty.

Nalała mi więcej zupy, a Madeleine i jej ojciec przyglądali mi się z przyjazną obawą i może lekką podejrzliwością, a także nadzieją, że nie zrobię nic rzeczywiście rozstrajającego, czegoś w rodzaju złożenia wizyty u ojca Antona i wypytania go o to, co też zdarzyło się 13 września 1944 roku na drodze z Le Vey.

Po drugim daniu, składającym się z duszonego zająca oraz dobrego czerwonego wina i owoców, siedzieliśmy wkoło stołu, paliliśmy gauloise’y, a Jacques opowiadał mi historie ze swoich chłopięcych lat w Pont D’OUILLY. Madeleine przysiadła obok mnie i widziałem wyraźnie, że coraz bardziej się jej podobam. Eloise wycofała się do kuchni i wszczęła tam rumor wśród garnków, wróciła jednak po piętnastu minutach z malutkimi filiżankami najaromatyczniejszej kawy, jaką w życiu piłem.

Wreszcie, gdy było już dobrze po trzeciej, powiedziałem:

–Dobrze mi się tu u państwa siedziało, ale muszę wracać do roboty. Mam jeszcze furę pomiarów do zrobienia przed zmierzchem.

–Miło nam było z panem porozmawiać – odparł Jacques wstając i oddając mi płytki ukłon. – Nieczęsto mamy u nas gości na obiedzie. Chyba mieszkamy zbyt blisko czołgu, a ludzie nie lubią tędy przechodzić.

–Tak źle?

–Cóż, nie najlepiej.

Gdy Madeleine pomagała wnosić ostatnie talerze i półmiski, a Jacques poszedł otworzyć mi bramę, stałem w kuchni zapinając płaszcz i patrząc na zgięte plecy Eloise, pochylonej nad statkami zanurzonymi w parującej wodzie.

–*Au revoir, Eloise* - powiedziałem.

Nie odwróciła się do mnie, ale odrzekła: – *Au revoir, monsieur*.

Postąpiłem w kierunku drzwi kuchennych, zawahałem się jednak i znowu na nią spojrzałem.

–*Eloise?* – zapytałem.

–*Oui, monsieur?*

–*Co tam naprawdę jest, tam, w środku tego czołgu?*

Zauważyłem prawie nieuchwytnie znieruchomienie krzyża. Ścierka przestała płaskać po naczyniach, widelce i noże umilkły.

–*Nie wiem, monsieur. Naprawdę.*

–*To zgadnij.*

Milczała chwilę.

–*Może niczego nie ma – powiedziała wreszcie. – A może jest coś, o czym nie wie ani ziemia, ani niebo...*

–*Pozostało już tylko piekło.*

Znowu zamilkła. Potem odwróciła się od zlewu i popatrzyła na mnie jasnymi, mądrymi oczyma.

–*Oui, monsieur. Et le roi de l'en/er, c'est le diable.*

Ksiądz był bardzo stary. Musiał mieć prawie dziewięćdziesiątkę. Siedział jak worek ziemniaków przy zakurzonemu, obitym skórą biurku. Łagodna twarz odznaczała się inteligencją, i mimo że mówił powoli i niegłośno, albowiem jego płuca, niby stuletnie miechy, z wysiłkiem napełniały się powietrzem i zeń opróżniały, wysławiał się jasno i dokładnie. Miał postrzępione siwe włosy i kościsty nos, na którym można by powiesić kapelusz, a gdy mówił, raz po raz składał dłonie czubkami palców i wyciągał szyję, by spojrzeć na szary, brukowany dziedziniec wiodący do jego domu.

–*Tym duchownym z Anglii był wielebny Taylor – powiedział i wyjrzał na dziedziniec, jakby się spodziewał, że wielebny Taylor wynurzy się zza rogu lada chwila.*

–*Wielebny Taylor? W Anglii jest z pięć tysięcy wielebnych Taylorów.*

Ojciec Anton uśmiechnął się i wykonał jakiś skomplikowany manewr sztuczną szczęką.

–Prawdopodobnie tak. Ale jestem absolutnie przekonany, że jest tylko jeden wielebny

Woodfall Taylor.

Było już wpół do piątej i prawie zupełnie ciemno, ale tak mnie wciągnęła tajemnica niszczonego shermana, że dałem spokój pomiarom kartograficznym i udałem się na drugi koniec wioski, by porozmawiać z ojcem Antonem. Mieszkał w ogromnym, ponurym, odstrasającym francuskim domostwie w najsurowszym z możliwych stylu. Przecinał je ciemny, wybity drewnianą boazerią korytarz, zakończony mnóstwem chłodnych marmurowych schodów, w którym z powodzeniem mógłby wylądować boeing 747. Na ścianach wisiały ponure olejne portrety kardynałów i papieży oraz innych dostojników Kościoła. Gdziekolwiek człowiek spojrzał, napotykał czyjąś smętną twarz. Przypominało mi to wieczorek płytowy w małym miasteczku.

–Kiedy tu przyjechał, był młodym, pełnym entuzjazmu wikarym. Rozsadzała go moc

religii. Lecz wydaje mi się, że nie całkiem pojął wagę sprawy, którą mu powierzono. Pewnie też

nie rozumiał, jak straszna była to rzecz. Nie chciałbym źle go oceniać, ale należał do grona tych

młodych księży, którym łatwo wmówić, że mistycyzm to jakby pokaz fajerwerków dla uczczenia

prawdziwej wiary. Poza tym Amerykanie zapłacili mu wielkie pieniądze. Wystarczyło na nową wieżę i salę kościelną. Trudno mu się dziwić.

Chrząknąłem. W domu ojca Antona było wściekle zimno. Oszczędzał nie tylko na ogrzewaniu. Zdawało się, że żałuje grosza również na elektryczność. W pokoju panował taki mrok, że prawie nie widziałem swego gospodarza. Dostrzegałem tylko wyraźne błysnięcia srebrnego krzyża na jego szyi.

–Nie rozumiem, po co go tu sprowadzono – powiedziałem. – Co on dla nas miał takiego zrobić?

–Nigdy mi dokładnie nic wyjaśnił, monsieur. Kneblowały mu usta przysięgi tajności. Poza tym, wydaje mi się, że sam niezupełnie rozumiał, o co go proszono.

–Ale czolgi... Czarne czolgi...

Stary ksiądz popatrzył na mnie, ale w tych ciemnościach ledwie widziałem, jak lśnią jego załzawione oczy.

–Czarne czolgi to coś, o czym nie mogę rozmawiać, monsieur. Przez trzydzieści długich lat

robiłem wszystko, co w mojej mocy, aby ten czołg usunięto z Pont D'Ouilly, ale za każdym razem słyszałem, że jest za ciężki i że nie oplącałoby się go stąd zabierać. Uważam wszakże, że tak naprawdę to boją się go ruszyć.

–Dlaczego mieliby się bać?

Ojciec Anton otworzył szufladę biurka i wyjął małą tabakierkę ze srebra i drewna różanego.

–Czy pan używa tabaki?

–Nie, dziękuję. Ale nie odmówię papierosa.

Podsunał mi pudełko z papierosami, po czym wciągnął dwie okazałe szczypty tabaki do

imponującego nosa. Zawsze wydawało mi się, że ludzie po zażyciu tabaki kichają, ale ojciec Anton tylko prychnął jak muł i zatopił się głębiej w zgrzytliwym obrotowym fotelu. Zapaliłem papierosa i zapytałem:

–Czy wewnątrz tego czołgu nadal coś jest?

Ojciec Anton rozważył pytanie, po czym odpowiedział: – Być może. Ale nie wiem co.

Wielebny Taylor nigdy nie chciał o tym mówić, a gdy lutowano właz, nikomu z wioski nie wolno było zbliżyć się do czołgu na odległość mniejszą niż pół kilometra.

–Czy podano jakiegokolwiek wyjaśnienie?

–Tak – odparł ojciec Anton. – Powiedziano nam, że w środku znajduje się silny środek wybuchowy i że istnieje niebezpieczeństwo eksplozji. Ale oczywiście nikt z nas w to nie uwierzył. W jakim celu duchowny miałby poświęcać kilka kilogramów TNT?

–Więc ksiądz uważa, że w tym czołgu jest coś złego?

–To nie ja tak uważam, monsieur. Najwyraźniej tak uważała armia amerykańska, a jak dotąd nie spotkałem większych sceptyków niż wojskowi. Czyżby dowództwo wzywało kapłana po to tylko, by ten uporał się z jakąś tam bronią? Mogę tylko przyjąć, że w tym czołgu znajdowało się coś, co nie pozostawało w zgodzie z prawami boskimi.

Nie byłem pewny, o co mu w istocie chodzi, ale sposób, w jaki to powiedział – sepleniąc powoli – sposób, w jaki słowa pojawiały się w tym lodowatym, podobnym do mauzoleum pokoju, sprawił, iż poczułem, jak ciarki biegną mi po grzbiecie, i ogarnął mnie dziwny strach.

–Wierzy ksiądz w te głosy? – zapytałem.

Skinął głową.

–Sam je słyszałem. Każdy, komu starczy odwagi, aby podejść do czołgu po zmierzchu, może je usłyszeć.

–Sam ksiądz je słyszał?

–Oficjalnie nie.

–A nieoficjalnie?

Stary kapłan wytarł nos w chusteczkę.

–Nieoficjalnie, oczywiście. Zająłem się tym, uważałem bowiem, że powinienem. Ostatnio byłem przy czołgu trzy czy cztery lata temu i spędziłem tam kilka godzin na modlitwie.

Niezbyt dobrze wpłynęło to na mój reumatyzm. Nie wątpię jednak, że czołg jest narzędziem złego.

–Czy słyszał coś ksiądz wyraźnie? Chodzi mi o to, jakiego rodzaju były to głosy? Ojciec Anton ostrożnie dobierał słowa do następnego zdania.

–Głosy te, w mojej opinii, nie należały do ludzi. Zmarszczyłem brwi.

–Nie rozumiem.

–Monsieur, cóż ja mogę panu powiedzieć? Nie były to głosy duchów ludzkich ani zjaw ludzkich.

Nie wiedziałem, co rzec. Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu, na zewnątrz robiło się coraz ciemniej, świat zabarwił się z lekka na zielono, co zapowiadało śnieg. Miałem wrażenie, że ojciec Anton zatopił się w swoich myślach, ale po chwili uniósł głowę i powiedział:

–To wszystko, monsieur? Muszę kontynuować swoje studia.

–No cóż, chyba tak. Wszystko to zdaje się prawdziwą tajemnicą.

–Drogi, którymi toczy się wojna, są zawsze tajemnicze, monsieur. Słyszałem wiele opowieści o dziwnych i niewytłumaczalnych zdarzeniach na polach bitewnych czy też w obozach

koncentracyjnych. Czasami zdarzają się cuda, wizytacje świętych. Mam tu w parafii człowieka, który walczył nad Sommą i który klnie się, że w nocy przychodziła do niego święta Teresa. Nierzadko widywano potwory i siły piekielne, które wyszukiwały ludzi tchórzliwych i okrutnych. Mówiono, że Heinrich Reutemann, komendant SS w Dachau, miał opętanego, diabelskiego psa.

–A ten czołg? Blade, zasuszone dłonie ułożyły się pobożnie w wieżyczkę.

–Kto wie, monsieur? Tego ja nie zdołam pojąć. Podziękowałem i wstałem, aby odejść. Pokój wydawał się podobny do ciemnej, stęchłej pieczary.

–Czy uważa ksiądz, że to niebezpieczne? – zapytałem.

Nie zwrócił ku mnie głowy.

–Manifestacje zła są zawsze niebezpieczne, przyjacielu. Ale największą ochroną przed złem jest niezłomna wiara w Pana Naszego.

Przez chwile stałem przy drzwiach, wytyżając oczy w ciemnościach, usiłując dojrzeć swego rozmówcę.

–Tak – powiedziałem, po czym ruszyłem w dół zimnymi marmurowymi schodami do drzwi wejściowych i wyszedłem na zimową ulicę.

Nie udałem się tam bezpośrednio, częściowo dlatego że czekałem, aż późne zimowe popołudnie stanie się mroczniejsze, a częściowo dlatego że cała ta sprawa niezwykle mnie denerwowała. Około siódmej, przejechawszy przez błotniste wioski, siedzące wzdłuż Route Scénique doliny Orne, w których wszystkie okna zakrywały okiennice, obok jakichś pojedynczych gospodarstw, obok domów z obłazującymi tynkami, obok przydrożnych kapliczek, w których wyblakłe figurki ukrzyżowanego Chrystusa patrzyły smutno na wieczorny, oszroniony krajobraz, obok drzew w kształcie atramentowych kleksów i zimnych, szepczących pól, dobiłem w końcu do gospodarstwa Passerelle'ów i wjechałem na podwórze.

Gdy wysiadłem z citroena i szedłem do drzwi wejściowych, zauważyłem, że wieczór jest niezwykle spokojny i mroźny. Gdzieś po drugiej stronie doliny szczekał pies, ale tutaj wszystko trwało w bezruchu. Zapukałem do drzwi i czekałem.

Wyszła Madeleine. Miała na sobie kowbojską koszulę w kratkę i dżinsy i wyglądała tak, jakby właśnie skończyła wymieniać koło u traktora.

–Dan – powiedziała, ale nie zdawała się zdziwiona. – Coś u nas zostawiłeś?

–Nie, nie. Wróciłem po ciebie.

–Po mnie? *Je ne comprends pas.*

–Mogę wejść? – zapytałem. – Tutaj jest zimno jak na biegunie północnym. Chciałem się tylko czegoś od ciebie dowiedzieć.

–Oczywiście – odparła i otworzyła szerzej drzwi.

Kuchnia była pusta i ciepła. Usiadłem przy szerokim sosnowym stole, poznaczonym przez stulecia nożami i gorącymi rondlami. Madeleine podeszła do narożnego kredensu i naląła mi brandy do niewielkiej szklaneczki. Potem usiadła naprzeciwko i zapytała:

–Nadal myślisz o czołgu?

–Odwiedziłem ojca Antona. Uśmiechnęła się lekko.

–Tak mi się wydawało.

–Tak łatwo mi czytać z myśli?

**–Wydaje mi się, że nie. – Uśmiechnęła się znowu. – Ale chyba należysz do tych męż
czyzn, którzy nie lubią zostawiać za sobą nie rozwiązanych zagadek. Rysujesz mapy, więc
całe**

**twoje życie upływa na rozwiązywaniu tajemnic. A ta akurat jest szczególnie enigmatyczna.
Posmakowałem brandy.**

–Ojciec Anton powiada, że sam słyszał głosy.

**Patrząc na blat stołu, odrysowywała palcem ślad kwiatka, wypalony na drewnie przez
gorący gar na ryby.**

–Ojciec Anton jest bardzo stary – rzuciła.

–Chodzi ci o to, że ma starcze problemy?

**–Nie wiem. Ale ostatnio jego kazania są trochę bez sensu. Może mu się to wszystko
wydawało.**

–Może – przytaknąłem. – Ale mimo to chciałbym się sam przekonać. Spojrzała na mnie.

–Chciałbyś usłyszeć je na własne uszy?

**–Oczywiście. Chciałbym też nagrać wszystko na magnetofonie. Czy ktoś kiedykolwiek o tym
pomyślał.**

–Dan... niewiele osób specjalnie szło posłuchać tych głosów.

–Nie, wiem o tym. Ale ja chciałbym pójść tam dziś wieczór. I mam nadzieję, że wybierzesz się

ze mną.

Nie odpowiedziała od razu. Patrzyła przed siebie, jakby myślała o czymś zupełnie innym. Włosy miała upięte z tyłu, w czym nie było jej do twarzy, ale zapewne żadna dziewczyna nie martwi się o pociągającą fryzurę, gdy sprząta obory. Prawie podświadomie przeżegnała się, a potem spojrzała na mnie.

–Naprawdę chcesz tam iść?

–No jasne. Musi być przecież jakieś wytłumaczenie.

–Amerykanom zawsze potrzebne są wyjaśnienia? Dokończyłem brandy i wzruszyłem ramionami.

–Chyba to nasza cecha narodowa. Jeśli chodzi o mnie, urodziłem się i wychowałem w Missisipi.

Madeleine przygryzła wargę.

–A jeżeli poproszę cię, byś nie szedł?

–Prosić zawsze możesz. Ale muszę ci powiedzieć, że i tak pójdę. Słuchaj, Madeleine, to fascynująca historia. Z tym starym czołgiem dzieje się coś dziwnego i ja chcę wiedzieć co.

–*C'est mai* - powiedziała. – To coś złego.

Sięgnąłem przez stół i położyłem dłoń na jej dłoni.

–Wszyscy tak mówią, ale ja dotąd nie widziałem niczego, co by tego dowodziło. Chcę się tylko dowiedzieć, o czym mówią te głosy. W ten sposób znajdę punkt zaczepienia. To znaczy, przyznaję, że cała sprawa napawa mnie strachem. I to nie miałym. Ale wiele strasznych rzeczy okazuje się bardzo interesującymi, gdy tylko ktoś zada sobie nieco trudu, by sprawdzić co i jak.

–Dan, proszę. Tu nie chodzi o zwykły strach.

–Skąd możesz wiedzieć, skoro nikt tego nie sprawdził? – zapytałem. – Nie mam nic przeciwko przesądom, ale ten możemy sami wy badać.

Zabrała dłoń i skrzyżowała ręce na piersiach, jakby chciała obronić się przed konsekwencjami tego, co właśnie miała powiedzieć.

–Dan – wyszeptała. – Ten czołg zabił moją matkę. Podniosłem brew. – Czołg co?

–Zabił moją matkę. A w każdym razie przyczynił się do jej śmierci. Ojciec nie jest tego

pewny, ale Eloise wie o tym. I ja wiem. Nigdy nikomu o tym nie mówiłam, ale też nikt nie był w takim stopniu zainteresowany czołgiem jak ty. Muszę cię ostrzec, Dan. Proszę.

–W jaki sposób czołg zabił twoją matkę? Przecież jest unieruchomiony! Nie strzela!

Odwróciwszy ode mnie swój wspaniały normański profil, mówiła równomiernym, modulowanym szeptem:

–To stało się zeszłego roku w lecie. Późnym latem. Pięć sztuk naszego bydła zdechło od chorób. Mama twierdziła, że to z winy czołgu. Zawsze winiła czołg za wszelkie niepowodzenia. Jeżeli spadł deszcz i siano wygniło, zawinił czołg. Nawet gdy ciasto jej nie chciało rosnąć. Ale w zeszłym roku powiedziała, że raz na zawsze skończy z czołgiem. Eloise usiłowała przekonać ją, aby zostawiła go w spokoju, lecz nie chciała słuchać. Wzięła wodę święconą, pokropiła nią czołg i odmówiła odesłanie demonów.

–A to co takiego?

Madeleine dotknęła czoła. – Słowa egzorcyzmu. Mama zawsze wierzyła w diabły i demony, a słowa miała zapisane w jednym ze swoich modlitewników.

–No i co się stało?

Madeleine powoli pokręciła głową.

–Mama była prostą kobietą. Dobrą i kochającą, i głęboko wierzącą w Boga i Najświętszą

Marię Pannę. Ale jej wiara jej nie uratowała. Trzynastego dnia od momentu opryskania czołgu

święconą wodą zaczęła pluć krwią. Umarła tydzień później w szpitalu w Caen. Lekarze

twierdzi li, że to jakaś odmiana gruźlicy, ale nigdy nie byli w stanie dokładnie określić choroby ani też powiedzieć, czemu umarła tak prędko.

Czułem się zażenowany, nie tylko przestraszony.

–Przykro mi – powiedziałem.

Madeleine spojrzała na mnie i na jej ustach pojawił się. gorzki uśmiezek.

–Wcale nie musi być ci przykro. Ale rozumiesz, dlaczego wolałabym nie zbliżać się do

czołgu.

Myślałem przez chwilę. O wiele łatwiej byłoby zapomnieć w ogóle o czołgu albo po prostu dać przypis do książki Rogera informujący o tym, że ostatni sherman ze specjalnej tajnej dywizji wciąż gnije wśród pól Normandii, miejscowe zaś chłopstwo uważa go za gniazdo zła. Ale jak można coś takiego podać w przypisach? W zasadzie nie wierzyłem w diabły i demony, a tu natknąłem się na wystraszoną wioskę i dziewczynę, która z powagą twierdzi, że złowrogie duchy spowodowały śmierć jej matki.

Odsunąłem krzesło i wstałem.

–Przykro mi – powiedziałem – mimo wszystko Jednak mam zamiar przyjrzeć się czołgowi. Jeśli to, co mówiłaś o matce jest prawdą, mamy do czynienia z największą od czasów Uriego Gellera historią o siłach nadprzyrodzonych.

–Uriego Gellera? – Madeleine zmarszczyła brwi. Zakasłałem.

–On... eee... potrafi wyginać łyżki. Madeleine siedziała przy stole ze smutną miną.

–No cóż – rzekła – skoro się upierasz, będę musiała iść z tobą. Nie chcę, abysz siedł tam sam.

–Madeleine, jeśli to naprawdę jest aż tak niebezpieczne...

–Pójdę z tobą, Dan – powtórzyła z naciskiem.

Uniosłem więc tylko ręce na znak zgody. W każdym razie dobrze było mieć kogoś przy sobie.

Gdy wykręcałem na podwórzu, Madeleine poszła po płaszcz. Chmury zaczynały się przecierać, w górze pojawił się księżyc podobny do chłopca o wymytej bladej twarzy, spozierającego przez brudne okno. Madeleine obesła podwórze, wsiadła do samochodu i ruszyliśmy, podskaku-

jąc aż do drogi na wybojach, w koleinach i kałużach. Zanim skręciliśmy, Madeleine ścisnęła mnie za rękę.

–Chciałabym ci życzyć szczęścia – szepnęła.

–Dzięki – odparłem. – I ja tobie też. Nim dojechaliśmy do zarośli, w których tkwił czołg, minęły dwie, trzy minuty. Gdy tylko

zobaczyłem jego zarys, skierowałem citroena na przeciwległe pobocze i wyłączyłem silnik. Z tylnego siedzenia zabrałem magnetofon na baterie i otworzyłem drzwi.

–Poczekam tutaj – powiedziała Madeleine. – Przynajmniej na razie. Jeżeli będziesz mnie potrzebował, zawołaj...

–Dobra.

Tu, nad samą rzekę, pod nawis stromej skały, światło księżyca prawie nie docierało. Przeszedłem przez drogę i od razu zbliżyłem się do czołgu, dotykając zimnego, przerdewiałego błotnika. Czołg zdawał się martwy i opuszczony. Był tak pordzewiały, że z trudem mogłem uwierzyć, gdy na niego patrzyłem, iż miał w sobie cokolwiek nadprzyrodzonego. Wydawał się tylko porzuconym wojennym wrakiem.

Gdy przy gąsienicach zaszleściła trawa, znieruchomiałem. Spod czołgu wyskoczył królik i smyrnął w żywopłot. Cokolwiek późna to była pora na króliki, ale może zagnieździły się w środku czołgu czy gdzieś pod spodem. Może właśnie piszczące i szeleszczące zwierzaki utożsamiano ze strachami, które nawiedzały relikwiarz z Pont D'Ouilly.

Chciałem obejść czołg wokół, ale z prawej strony oplotła go taka gęstwa cierni, że musiałbym mieć maczetę i trzech tubylców tragarzy, aby dostać się do niego z tamtej strony. Z zaciekawieniem zauważyłem, że zalutowano nawet otwory wentylacyjne i kratkę nad oknem kierowcy.

Przewiesiłem magnetofon przez ramię i wdrapałem się na błotnik. Narobiłem mnóstwo huków, ale nie sądziłem, żeby trzydziestoletnie duchy miały coś przeciwko nocnym hałasom. Ostrożnie przeszedłem po osmalonym nadwoziu, a moim krokom towarzyszył głuchy, metaliczny pogłos. Dotarłem do wieżyczki i zacząłem walić w nią pięścią. Dźwięczała głucho. Miałem nadzieję, że w środku było pusto.

Tak jak mówił Jacques Passerelle, klapa czołgu została dokładnie przylutowana. Wyglądało na to, że spaw robiono w dużym pośpiechu, ale ten, kto go robił, znał się na rzeczy. Gdy nachyliłem się, aby przyjrzeć się mu dokładniej, stwierdziłem, że klapę zamknięto też jeszcze innym sposobem – równie niezawodnym.

Na wierzchu czołgu tkwił krucyfiks. Wydawał się pochodzić z jakiegoś kościelnego ołtarza i był tak mocno przytwierdzony do wieżyczki, żeby nikt nigdy nie dał rady go usunąć. Nachylając się jeszcze niżej, spostrzegłem, że w metalu wyryto również jakieś święte zaklęcie. W większości słowa zardzewiały, tak że ich odczytanie stało się niemożliwe. Wyraźnie dostrzegłem jednak frazę: *Rozkazuję wam wyjść.*

I tam, na wierzchu tego milczącego, rozbitego czołgu, pośród normandzkiej zimy, po raz pierwszy w swoim życiu poczułem lęk przed nieznanym. Prawdziwy lęk. Chociaż wcale tego nie chciałem, po plecach przebiegły mi zimne ciarki. Uświadomiłem też sobie, że oblizuję wargi raz po raz jak człowiek na lodowej pustyni. Widziałem po przeciwnej stronie drogi Citroëna, ale księżyc odbijał się od jego płaskiej przedniej szyby, tak że wcale nie mogłem dostrzec Madeleine. O ile wiedziałem, mogła zniknąć. O ile wiedziałem, cały świat mógł zniknąć.

Zakasłałem od mrozu.

Przeszedłem na przód czołgu, odciągając na bok pędy jeżyn i bezlistnego powoju. Niewiele było tam do oglądania, wróciłem więc do wieżyczki z zamiarem odczytania większej liczby słów. I wtedy, gdy moje palce dotknęły wieżyczki, usłyszałem czyjś śmiech. Zamarłem i wstrzymałem oddech. Śmiech umilkł. Podniosłem głowę i starałem się domyślić, skąd przypląnął ów dźwięk.

Był to krótki, ironiczny śmiech, ale dziwnie metaliczny, jakby ktoś śmiał się do mikrofonu.

**–Kto tam? – zapytałem, ale odpowiedziała mi cisza. Noc była tak spokojna, że nadal słyszałem, jak gdzieś daleko szczeka jakiś pies. Położyłem magnetofon na wieżyczce i włączyłem go natychmiast. Przez kilka minut dobiegał do mnie tylko syk taśmy ocierającej się o głowi-
cę i ujadanie tego przeklętego psa.**

Raptem posłyszałem dźwięk podobny do szeptu, jakby ktoś do siebie mówił bez oddechu. Głos był bliski, a jednocześnie dolatywał z oddali. Płynął z wieżyczki. Dygocąc i pocąc się przykleknąłem przy wieżyczce i zapukałem dwa razy. Miałem głos tak zduszony, jak licealista po pierwszym poważnym drinku.

–Kto tam? – zapytałem. – Czy ktoś tam jest? Przez chwilę panowała cisza, a potem usłyszałem czyjś szepczący głos.

–*Możesz mi pomóc, wiesz.*

Był to przedziwny głos, zdawał się dobiegać zewsząd, dźwięczał w nim jakby śmieszek, to znaczy, był to taki głos, jaki ma człowiek, który w duchu szczyrzy zęby. Mógł on należeć do mężczyzny albo do kobiety czy nawet do dziecka, nie miałem jednak pewności do kogo.

–Jesteś tam? – odezwałem się. – Tam, w środku czołgu?

–*Wydajesz się dobrym człowiekiem. Dobrym człowiekiem i prawym* - szeptał głos. Prawie wrzeszcząc zapytałem:

–*Co tam robisz? Jak się tam dostałeś? Głos nie odpowiedział. Po prostu mówił: – Możesz mi pomóc, wiesz. Możesz otworzyć to*

więzienie. Możesz zawieźć mnie do moich braci. Wydajesz się dobrym i prawym człowiekiem.

–*Słuchaj!* – krzyknąłem. – Jeżeli naprawdę jesteś tam w środku, zastukaj w wieżyczkę! Chcę

wiedzieć, że naprawdę tam jesteś!

–Mogę zrobić coś lepszego - zaśmiał się głos. – Uwierz mi, coś o wiele lepszego.

–Nie rozumiem. Głos śmiał się łagodnie.

–Nie mdli cię? - zapytał. – Czy nie czujesz, jak łapią cię skurcze i bóleści? Zmarszczyłem brwi. Rzeczywiście czułem, że brały mnie mdłości. W moim żołądku coś

bulgotało i bulgotało, coś wstrętnego, niestrawnego. Przez chwilę myślałem, że to coś; co zjadłem na obiad. Wtem chwycił mnie taki skurcz, że wiedziałem, iż zaraz gwałtownie wymiotuję. Wszystko działa się jednocześnie. Wnętrznosci podjechały mi pod gardło i musiałem szeroko rozciągnąć usta, gdy chlusnął ze mnie potok obrzydliwej brei i rozbryzgiwał się na nadwoziu czołgu. Wymioty trwały i trwały, aż chwyciłem się za brzuch i łzy popłynęły mi ze zmęczenia.

Dopiero wtedy przyjrzałem się temu, co zwróciłem. Z mojego żołądka, z mojego własnego żołądka wylała się. rzeka żółci, w której wiły się tysiące białych glist. Skręcając się rozlażyły się po całym czołgu, różowawe, półprzeźroczyste, zwlokłem się więc desperacko z tego wstrętnego wraka i padłem na zmrożoną trawę, dysząc z bólu i obrzydzenia, półprzytomny ze strachu.

–Możesz mi pomóc, wiesz. Wydajesz się dobrym i prawym człowiekiem - szeptał wciąż

ten sam głos.

Ojciec Anton ostrożnie napełnił szklanke malmseyem i przeniósł ją przez całą bibliotekę w wyciągniętej ręce niby jakiś preparat medyczny.

–Dziękuję, ojcze. Bardzo dziękuję – powiedział biorąc trunek drżącą ręką.

Duchowny machnął dłonią, jakby chciał powiedzieć: ależ to nic, ależ to nic takiego. Potem ulokował swe torbowate, stare ciało w fotelu naprzeciwko mnie i otworzył tabakierkę.

–Więc poszedł pan posłuchać głosów – powiedział, biorąc szczyptę tabaki. Skinąłem głową.

–Pan mi wybaczy, że to mówię, ale wygląda na to, że nastraszyły pana.

–Nie nastraszyły, ale nastraszył. Ojciec Anton prychnął, kichnął i wydmuchał nos. Rozległ się dźwięk przypominający trąby

jerychońskie.

–Demony – odezwał się – mogą utożsamiać się zarówno z jedną istotą, jak i z wieloma.

Jeden demon może być nimi lub nim, czymkolwiek zresztą, na co ma ochotę. Demon to zastęp zła.

Sięgnąłem po magnetofon, który stał na małym bocznym stolczku z drzewa wiśniowego.

–Czymkolwiek by to było, ojcze, mam to tu, na taśmie, i to jest on. Jakiś piekielny on.

–Pan to nagrał? To znaczy, że rzeczywiście pan to słyszał?

Twarz starego kapłana, dotąd pełna cierpliwości i pobłażania, które nie było mi nieprzychylnie, subtelnie zmieniła się i pociemniała. Ojciec Anton wiedział, że głos czy też głosy istnieją, ponieważ sam bywał przy czołgu i słyszał je nieraz. A tu ni stąd, ni zowąd zjawia się przed nim jakiś nieznamy, który nie zgłębiał wiedzy religijnej, twierdząc że również słyszał głosy. Najwyraźniej musiało go to wytrącić z równowagi. Zapewne księża są przyzwyczajeni do demonów. Sprawując duchowe posługi, winni się spodziewać, że będą wystawiani na pokuszenie i napastliwość demonicznych zjaw. Lecz gdy owe manifestacje stają się tak złe i tak potężne, iż ich obecność daje się odczuć w świecie zwykłych ludzi, kiedy niekorzystne wibracje docierają do wieśniaków czy kartografów, wtedy – jak sądzę – większość księży zaczyna panikować.

–Nie przyszedłem tu zeszłej nocy, ponieważ rozchorowałem się bardzo – powiedziałem.

–Chciałem, ale nie mogłem.

–Czy to czołg spowodował pana chorobę? Tak?

Przytaknąłem i poczułem, że gardło ściska mi się na myśl o tym, co połało się z moich ust.

**–To, co tam jest, wewnątrz tego czołgu, spowodowało, że rzygałem glistami i żółcią. Po
czułem się lepiej dopiero po sześciu szklankach whisky i garści tabletek przeciwbólowych.**

Ojciec Anton dotknął pierścienia duchownego, który miał na palcu. – Był pan sam? – zapytał cicho.

–Pojechałem z Madeleine Passerelle. Córką Jacquesa Passerelle’a.

–Tak – rzekł ojciec Anton z powagą. – Wiem, że od dłuższego czasu ten czołg jest zmorą tej rodziny.

–Niestety Madeleine nie słyszała bezpośrednio tego głosu. Została w samochodzie, ponieważ było zimno. Ale słuchała nagrania i widziała na własne oczy, jak się schorowałem. Passerelle’owie pozwolili mi przenocować u siebie.

Ojciec Anton wskazał na magnetofon.

–Puści mi pan to?

–Jeżeli ksiądz chce tego słuchać.

Ojciec Anton popatrzył na mnie z łagodnym, prawie smutnym wyrazem twarzy.

–Długie lata minęły, odkąd ktoś przyszedł do mnie po pomoc i wskazówki, tak jak pan, monsieur. W swoim czasie byłem egzorcystą, czymś w rodzaju specjalisty od demonów i upadłych aniołów. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby panu pomóc. Jeżeli ów głos, który pan słyszał, należy do prawdziwego demona, stoimy w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa. Demon ten jest najwyraźniej nie tylko silny i okrutny, ale potrafi również kusić.

Mój gospodarz spojrział na pusty kominek. Na zewnątrz znowu padał śnieg, ale ojciec Anton uważał widać, że bardziej korzystne dla duszy jest siedzenie w przejmująco zimnym pomieszczeniu niż ogrzany ogniem rozpalonym na kominku. Osobiście muszę przyznać, że najpierw wolałbym przypiec sobie nogi, a dopiero później martwić się o duszę.

–Jedną z rzeczy, której nauczyłem się jako egzorcysta, jest identyfikacja demona, z którym ma się do czynienia. Niektórych demonów łatwo można się pozbyć. Wystarczy powiedzieć: W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, a kysz! i wracają do piekła. Z innymi jest więcej kłopotu.

Na przykład Adramelech, którego wymienia „Pseudomonarchia Daemonum”. Mam ją tutaj na półce. Albo Belial. No i Belzebub, następca Szatana, który notorycznie sprawia wiele trudności przy wypędzaniu. Nigdy się z nim nie zmierzyłem, pewnie tym lepiej dla mnie. Czytałem jednak interesujące sprawozdanie o opętaniu urszulanki z Aix-en-Provence w siedemnastym wieku. Przez siedem tygodni trzeba było z uporem odprawiać egzorcyzmy, aby go odesłać z powrotem do podziemi.

–Ojcie Antonie – odezwałem się, jak umiałem najgrzeczniej. – To, co ojciec mówi, tchnie średniowieczem. Chcę powiedzieć, że mamy tu coś, co jest złe, ale to coś jest nam współczesne.

Ojciec Anton uśmiechnął się smutno.

–Zło nigdy nie jest współczesne, monsieur. Jest tylko uparte.

–A co będzie, jeżeli ten miejscowy demon okaże się złem odwiecznym?

–Cóż – powiedział ksiądz. – Najpierw posłuchajmy taśmy. Potem może uda się nam określić, do kogo albo też do czego należy ten głos. Może to sam Belzebub chce się z nami zmierzyć.

Cofnąłem kasetę, wcisnąłem guzik i położyłem magnetofon na stole. Zatrzeszczało, następnie usłyszeliśmy brzęk metalu powstały wtedy, gdy kładłem magnetofon na wieżyczce czołgu, a potem nastąpiła chwila ciszy przzerwana szczekaniem psa w oddali. Ojciec Anton nachylił się, zwijając dłoń w trąbkę wkoło jednego ucha, żeby lepiej słyszeć.

–Pan jest świadomy tego, że to, co pan tu ma, to rzadkość – powiedział do mnie. – Wi

dywałem już dagerotypy i fotografie objawień, ale nigdy nie słuchałem nagrania magnetofonowego.

Taśma szemrała i szurała, aż wreszcie odezwał się ten mrozący krew w żyłach głos:

–*Możesz mi pomóc, wiesz.*

Ojciec Anton znieruchomiał i spojrzał na mnie wstrząśnięty.

–*Wydajesz się dobrym człowiekiem. Dobrym człowiekiem i prawym. Możesz otworzyć to więzienie. Możesz zawieźć mnie do moich braci. Wydajesz się dobrym i prawym człowiekiem -* ciągnął głos.

Ojciec Anton chciał coś powiedzieć, ale położyłem palec na ustach, ostrzegając go, że to nie koniec.

–*Możesz mi pomóc, wiesz. Ty i ten ksiądz. Spójrzcie tylko na niego! Czyżby nie miał nic*

do ukrycia? Czyżby nie żywił potajemnej żądz, nie skrywał jej pod świętą sutanną?

Gapilem się na magnetofon w zdumieniu.

–Tego nie mówił. Wcale tego nie mówił – wydusiłem wreszcie z siebie.

Ojciec Anton zbladł.

–Co to znaczy? Kto to mówi? – zapytał drżącym głosem.

–*Ojczy, ojczy* - szeptał magnetofon. – *Przecież pamiętasz tamto gorące lato 1928 roku. Tak dawno to było, ojczy, ale tak wyraźnie wszystko pamiętasz. Tamtego dnia zabrałeś młodą Matyldę łódką na rzekę. Przecież pamiętasz.*

Ojciec Anton zerwał się na równe nogi, poruszając się rwanymi ruchami niczym jakaś dziewiętnastowieczna nakręcana zabawka. Tabaka wysypała się na dywanik. Patrzył na magnetofon, jakby ten był właśnie diabłem. Oddychał z trudem, z ledwością mógł mówić.

–To był niewinny dzień! – wysapał. – Najniewinniejszy! Jak śmiesz! Jak śmiesz insynuować cokolwiek innego? Ty! Demonie! *Cochon! Vos mains sont sales avec le sang des innocents!*

Chwyciłem go za rękaw. Chciał mnie odpędzić, ale ścisnąłem go mocniej i powiedziałem:

–Ojczy, to tylko sztuczka. Na litość Chrystusa. Ojciec Anton spojrzał na mnie łzawiącymi oczyma.

–Jak to sztuczka? Nie rozumiem.

–Ojczy, to musi być jakaś sztuczka. Przecież to tylko nagranie magnetofonowe. To musi być jakaś sztuczka.

Popatrzył z obawą na magnetofon i na taśmę, która nadal kręciła się bezgłośnie.

–To niemożliwe – rzekł ochryplym głosem. – Czy magnetofon może odpowiadać? To niemożliwe.

–Sam ksiądz słyszał – powiedziałem. – Tak pewnie jest.

Byłem tak samo wystraszony i zdumiony jak on, ale nie chciałem tego okazywać. Miałem uczucie, że w momencie, w którym zacznę poddawać się całej tej dziwności, w chwili kiedy

uwierzę, że wszystko to naprawdę się dzieje, wpłacę się w coś tajemniczego i nieokreślanego. Czułem się tak, jakbym stał u drzwi prowadzących do galerii krzywych zwierciadeł, chcąc równocześnie oprzeć się pokusie wejścia do środka i przekonania się, czym są wykoślawione w ciemności kształty.

Nacisnąłem guzik „stop”. W mrocznym pokoju zaległa cisza.

–Usiądźcie, ojcie – rozkazałem. – A teraz przegraj te taśmę raz jeszcze i przekonajmy się, co to za sztuczka.

–To dzieło demona. Nie mam wątpliwości. To dzieło samego diabła – rzekł stary kapłan.

Delikatnie pomogłem mu zasiąść z powrotem w fotelu, a potem podniosłem tabakierkę. Siedział blady, gdy cofałem taśmę i po raz wtóry naciskałem guzik. Kiedy taśma poczęła syczeć i trzeszczeć, napięliśmy się cali. Znowu usłyszeliśmy, jak kładę magnetofon na wieżyczce, jak ujada pies. I jeszcze raz odezwał się ten głos. Wydawał się zimniejszy i bardziej złowrogi. Brzmiał tak, jak gdyby wydobywał się z gardzieli ochryplego hermafrodyty, jakiejś obleśnej kreatury, która uwielbiała zadawać ból i czynić nieopisane zło.

–*Możesz mi pomóc, wiesz - powtórzył głos. – Wydajesz się dobrym człowiekiem.*

Dobrym człowiekiem i prawym. Możesz otworzyć to więzienie. Możesz zawieźć mnie do moich braci. Wydajesz się dobrym i prawym człowiekiem.

Ojciec Anton siedział sztywno na swoim miejscu, a kostki jego palców pokryły się białymi plamami, tak mocno ścisnął poręcz fotela.

–*Ojciec Anton może usunąć krzyż, który mnie więzi, i zdjąć zaklęcie. Możesz, prawda, ojcie Antonie? Zrobiłbyś wszystko dla starego przyjaciela, a ja jestem twoim starym przyjacielem. Możesz zawieźć mnie do moich braci za wodą, nieprawdaż? Belzebub, Lucyfer, Madilon, Solymo, Saroy, Theu, Ameclo, Sagrael, Praredun...*

–Przestań! – wrzasnął ojciec Anton. – Przestań!

Z niewiarygodną sprawnością, jak na kogoś w tym wieku, chwycił magnetofon w obie ręce i roztrzaskał go o stalową kratę paleniska. Potem usadowił się w fotelu, oczy miał szeroko rozwarte, dzikie, i łamał kawałki strzaskanego plastiku w palcach. Wywłócił wąską brązową taśmę, aby zgnieść ją na miazgę.

Siedziałem i patrzyłem na to wszystko w absolutnym zdumieniu. Najpierw okazało się, że mój magnetofon mówi, co chce. Potem zaś znalazłem się oko w oko z księdzem, który niszczy cudzą

własność.

–Co się stało? – zapytałem. – Po jaką cholere ksiądz to zrobił?

Kapłan głęboko odetchnął.

–To wezwanie – rzekł. – To były słowa, którymi można wezwać Belzebuba, władcę much. Zostały jeszcze trzy słowa i pojawiłby się ten demon.

–Na serio?

Ojciec Anton uniósł kawałki magnetofonu.

–Myśli pan, że, ot, tak sobie, zniszczyłbym pański sprzęt? Te słowa są zdolne wywołać z zaświatów najstraszniejszego z diabłów. Odkupię to panu, niech się pan nie martwi.

–Ojciec Antonie, nie martwię się o magnetofon. Martwi mnie to, co tu się dzieje. Jeżeli w tym czółgu jest jakiś stwór, to czy nie możemy jakoś się go pozbyć? Egzorcyzmować? Spalić? Wysadzić w powietrze?

Ojciec Anton strząsnął szczątki magnetofonu z sutanny do kosza na śmieci.

–Egzorcyzmy, mój przyjacielu, są żałośnie źle pojmowane. W obecnych czasach bardzo rzadko się je odprawia, i tylko w bardzo poważnych przypadkach opętania przez złe moce. Jeżeli

zaś chodzi o spalenie czółgu albo wysadzenie go w powietrze, na nic by się to zdało. Demon nadal straszylby w Pont D'Ouilly, chociaż wtedy stałby się podobny do wściekłego psa na długiej

smyczy, nie przypominałby już wściekłego psa zamkniętego w psiarni. Nie może uciec, póki nie zdejmie się z wieżyczki świętego krzyża i nie usunie słów odwołania.

Otworzyłem pudełko stojące na stole i wyjąłem gauloise'a. Zapaliłem i długo wciągałem dym. Z wolna przyzwyczajałem się do tego mocnego francuskiego tytoniu, i gdyby nie zawierał tyle smoły, ile jest na pięciokilometrowym odcinku autostrady w Allegheny Valley, może zawsze bym go palił.

–Cokolwiek to jest, koniecznie chce się wydostać – zauważyłem.

–Oczywiście – zgodził się ojciec Anton. – I wydaje się, że to coś odczuwa silne pragnienie dołączenia do swych towarzyszy. Może w pozostałych dwunastu czółgach również znajdowały

się demony lub diabły.

–Ojciec uważa, że we wszystkich siedziały diabły?,

–Wydaje mi się to prawdopodobne. Czemu wszystkie pomalowano na czarno? Dlaczego wszystkie były zalutowane? Sam pan mówił, że Niemcy zachowywali się tak, jakby diabeł deptał im po piętach. Nie wiem, czy pan miał chwilę czasu, aby przeczytać pracę historyczną swojego przyjaciela. Dolinę Orne odbito w rekordowym czasie, o wiele szybciej niż sąsiednie tereny. A Caen zbombardowano. Tu zaś... czołgi przeszły jak burza, i nikt prócz Pana Naszego nie był w stanie ich zatrzymać.

Wypuściłem kłęb dymu.

–Czy ojciec sugeruje, że w skład owej specjalnej dywizji wchodziły demony? Nie wiem, jak to mogło być możliwe. Demony są to... no, u licha, demony. Średniowiecze. Wyobraźnia. Nie biorą udziału w wojnach.

–Wręcz przeciwnie – powiedział ojciec Anton. – Właśnie tym się zajmują.

–To dlaczego nikt nigdy nie słyszał o tej specjalnej dywizji? Czemu armia na coś takiego przystała? Oczywiście, zakładając, że to faktycznie się wydarzyło, że nie mamy do czynienia z jakimś kawałem.

–Wiele wydarzeń wojennych nadal jest okrytych tajemnicą. I cóż za znaczenie mogło mieć trzynaście czołgów wobec setek? Może rząd amerykański zechciał poeksperymentować trochę z czarną magią.

–Ojczy, to się wydaje nierealne. Jeśli istnieje coś, w czym Pentagon nie macza łap, jest tym czarna magia.

Ojciec Anton podszedł do wysokiego okna i popatrzył z góry na dziedziniec. Chociaż było późne przedpołudnie, na dworze zalegał wieczorny mrok. Nad wioską krążyły leniwie płatki śniegu. Zegar na wieży kościelnej wybił jedenastą.

–Ludzie zapominają – powiedział – że wojna była skrajnie mistycznym i magicznym wydarzeniem. Hitler przywiązywał wielką wagę do magii, toteż przypilnował, by skonfiskowano włócznię Longina, tę samą, którą przebito bok Chrystusa na krzyżu, z muzeum Habsburgów w Wiedniu, ponieważ wierzył, że ten, kto ją posiada, zawładnie losem świata. Po stronie alianckiej przeprowadzono wiele eksperymentów zmierzających do przesyłania wieści za pomocą

telepatii. Jakiś holenderski ksiądz twierdził, że potrafi przywołać gniew dziesięciu boskich Sefirotów, by strącały niemieckie samoloty ognistymi piorunami.

Wysłuchałem wszystkiego cierpliwie i poczułem się zmęczony i chory.

–Ojcie, to wszystko prawda, ale co zrobimy z czołgiem? – zapytałem.

Ojciec Anton zwrócił się do mnie.

–Nie możemy niczego zrobić, monsieur. Mądrzejsi niż my zapieczętowali czołg i to, co jest w środku. Głupotą byłoby budzić lichy. Jeżeli władze nie usuną tego czołgu, zostanie tam, gdzie jest.

–A Passerelle’owie będą zmuszeni cierpieć przez całe życie. Czy ksiądz wie, że Madeleine uważa, iż to czołg zabił jej matkę?

Stary kapłan skinął głową.

–Nie powiedziała mi, ale domyślałem się. Żałuję, że nie mogę zrobić nic więcej. Mogę jedynie dodać, iż jestem wdzięczny, że został tu tylko jeden czołg, a nie kilka.

Zaciągnąłem się po raz ostatni gauloise’em i zgmiotłem go w palcach.

–Wydaje mi się, że ksiądz jest zanadto ostrożny. Może nadszedł czas, żeby ktoś ulżył wreszcie doli Passerelle’ów, może nadszedł w końcu czas, żeby Waszyngton zabrał z powrotem swoje brudy.

Ojciec Anton przyjrzał mi się i szybko przeżegnał.

–Mogę tylko pana ostrzec, monsieur, że otwarcie tego czołgu to największa głupota. Równałoby się z samobójstwem.

Wstałem, strzepnąłem popiół ze spodni.

–Magnetofon kosztował sto osiemdziesiąt dziewięć franków. Wystarczy mi połowa.

Ostatecznie w jakimś sensie było to wspólne przedsięwzięcie.

Ojciec Anton powoli potrząsnął głową.

–Może kiedyś zrozumie Amerykanów – powiedział. – A może kiedyś oni sami siebie rozumieją.

Spotkałem się z Madeleine w porze obiadowej. Zaprosiłem ją na wino do niewielkiej zadymionej kafejki o nieciekawej nazwie „Bar Touristique”. Za kontuarem obsługiwała gości karykaturalnie gruba kobieta ubrana w kwiecistą podomkę. Od czasu do czasu wymykała się na salę, żeby chlasnąć po stolikach z czerwonego laminatu czerwoną ścierką. Robiła to w taki sposób, jakby ową ścierką przywoływała do porządku nieposłuszne, rozbrykane psy. Winem, które serwo-

wała, z powodzeniem dałoby się czyścić srebra rodowe, a ponieważ w miejscowym sklepie tytoniowym udało mi się wyszperać paczkę stęchłych lucky strike’ów, podniebienie sprawiało mi nieco mniej kłopotów niż rano.

Madeleine przeszła przez kurtynę z plastikowych pasków. Wydała mi się bardzo blada i smutna. Gdy mnie zobaczyła, podeszła do kontuaru i objęła ramionami za szyję.

–Dan, nic ci nie jest?

–Oczywiście, że nic mi nie jest. Rozmawiałem tylko z ojcem Antonem. Wziąłem jej nakrapiany tweedowy płaszcz i powiesiłem obok wywieszki z napisem:

„Defense de Cracher”. Madeleine miała na sobie zwykłą turkusową sukienkę, która prawdopodobnie stanowiła ostatni krzyk mody w Pont D’Ouilly. W Paryżu coś takiego może dałoby się nosić jakieś osiem lat temu. Mimo to Madeleine wyglądała ładnie, i przyjemnie mi było spotkać kogoś, kto się o mnie troszczył. „Primadonna” zza kontuaru przyniosła nam wino i stuknęliśmy się kieliszkami niczym byli kochankowie spotykający się w jakiejś speluncie gdzieś na tyłach dworca kolejowego Grand Central.

–Czy puściłeś taśmę ojcu Antonowi?

–Powiedzmy, że puściłem. Madeleine dotknęła mojej dłoni.

–Czy zaszło coś, o czym nie chcesz mi powiedzieć?

–Nie wiem. Chyba znaleźliśmy się w kropce. Albo otworzymy czołg i przekonamy się, co w nim siedzi, albo o nim zapomnimy tak jak wszyscy inni.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała mnie po policzku. Jej jasne oczy były pełne obawy i sympatii. Gdybym zeszłej nocy nie czuł się tak piekielnie źle, gdybym nie leżał zgięty wpół w pełnej przeciągów zapasowej sypialni Passerelle’ów, przekradłbym się chyba na palcach przez

korytarz i zapukał do drzwi Madeleine. Ale mogę zapewnić każdego, znając to z pierwszej ręki, iż ostatnią rzeczą, na jaką człowiek ma ochotę, gdy wymiotuje setki glist, jest miłość. Domyślam się, że nawet najbliżsi mogliby mieć trudności, gdyby im przyszło takiego nieszczęśnika serdecznie ucałować.

Madeleine umoczyła usta w winie.

–Czy możemy to tak po prostu zostawić? – zapytała.

–Tak najzwyczajniej zostawić?

–Nie wiem. Ale burmistrz, a także władze miasta, nawet ojciec Anton, nie tykali tej sprawy przez trzydzieści lat.

–Zapewne myślisz, że czołg padł mi na mózg.

–A gdzież nauczono cię takich zwrotów? W miejskiej szkółce kolokwializmów?

Spojrzała na mnie bez uśmiechu.

–Wojna skończyła się wiele lat temu. Czy jeszcze mało nam strat? Czyżby za mało poległo naszych ojców i braci, i przyjaciół? W kurortach nad morzem wciąż sprzedają pocztówki z Churchillem i Eisenhowerem, ale mnie to się nie podoba. Uratowali nas, owszem, nie ma się jednak czym chwalić. Trudno dopatrzeć się czegoś chwalebego w wojnach. Mam na myśli obie

strony. O wojnach lepiej zapomnieć. Nam wszakże zostawiono czołg, nie możemy więc zapomnieć, nigdy.

Oparłem się o tył taniego lakierowanego krzesła.

–Więc chcesz go otworzyć?

Oczy Madeleine były zimne.

–To coś samo powiedziało, że chce dołączyć do swych braci. Po co mu my? Jeżeli go wypuścimy, pójdzie spotkać się ze swoimi przyjaciółmi i już.

–Ojciec Anton uznał, że otwarcie tego czołgu równałoby się samobójstwu.

–Ojciec Anton jest starym człowiekiem. A poza tym wierzy, że diabły i demony mają

moc nad wszystkim, Kiedyś podczas lekcji religii powiedział mi: „Madeleine, gdyby nie Jezus Chrystus, cały świat byłby opanowany przez demony”.

Chrząknąłem.

–A jeżeli otworzymy czołg i w środku znajdziemy demona?

Pochyliła się mocno ku mnie. – Coś musi tam być, Dan. Inaczej nie usłyszelibyśmy tego głosu. Ale demony nie mają rogów i wideł. Prawdopodobnie tam w środku nie ma nic, co można by dojrzeć ludzkim okiem.

–A jeżeli jest?

–Tego musimy się dowiedzieć. Napilem się jeszcze wina i poczułem, jak włosy na piersi stają mi dęba.

–Czego oni dodają do tego? Odrzewiacza? – zapytałem.

–Ciii – szepnęła Madeleine. – Madame Saurice obsługiwała podczas wojny amerykańskiego sierżanta i zna angielski. I angielski slang też zna.

–Podczas której wojny? Jesteś pewna, że nie tej z 1812 roku?

–Nigdy przedtem nie chciałam otwierać czołgu – ciągnęła Madeleine. – Ale też nigdy dotąd nie spotkałam kogoś, kto dodałby mi sił. Ani mój ojciec, ani Eloise nie przyłożą do tego ręki. Ale Eloise powie nam, jak odpierać demony i złe moce podczas otwierania, i jestem pewna, że ojciec Anton pomoże nam, gdy go o to poprosimy.

Zapaliłem następnego papierosa.

–Nie rozumiem, dlaczego jest to dla ciebie takie ważne. Skoro tak nie cierpisz tego czołgu, czemu najzwyczajniej nie wyprowadzisz się stąd? Nic cię tu, w Pont D’OUILLY, nie trzyma.

–Dan, czołg znajduje się na ziemi mojego ojca, a gospodarstwo mojego ojca jest moim domem. Nawet jeżeli stąd wyjadę, ziemia ta i tak pozostanie tym miejscem, w którym się wychowałam, i będzie na niej ten czołg.

Upiła trochę wina i wpatrywała się we mnie intensywnie.

–A poza tym – dodała – ten czołg śni mi się, odkąd tylko pamiętam. Przez niego miewam straszliwe koszmary.

–Koszmary? Jakiego rodzaju koszmary?

–Okrutne. – Spuściła oczy. – Ale równocześnie podniecające.

–Podniecające seksualnie?

–Niekiedy śni mi się, że gwałcą mnie jakieś szczeciniaste bestie i dziwaczne kreatury. Miewam też inne sny, takie, gdy wydaje mi się, że jestem okaleczana czy zabijana. To jest straszne, ale też podniecające. Jakież stwory wycinają ze mnie kawałki ciała, a krew leje się strumieniami.

Sięgnąłem przez stół i ująłem cienki przegub jej ręki.

–Madeleine... wiesz, ten czółg to nie zabawa. Cokolwiek tam siedzi, to coś naprawdę złowrogiego.

Skinęła głową.

–Zawsze to wiedziałam. Ale również przez całe swoje życie wiedziałam, że pewnego dnia będę musiała się z tym zmierzyć. Oczywiście usiłowałam uciec od odpowiedzialności.

Usiłowałam wyperswadować ci pójście tam i nagranie głosów na taśmę. Ale teraz doszłam do wniosku, że najprawdopodobniej ten czas już nadszedł.

–No cóż – odezwałem się. – Nie wiadomo, kto kogo namówił.

Uśmiechnęła się przelotnie, bez odrobiny radości.

Później, jeszcze tego samego popołudnia, zatelefonowałem do ojca Antona i powiedziałem mu, co zamierzamy zrobić. Przez dłuższy czas milczał, wreszcie się odezwał:

–Nie uda mi się was przekonać, abyście tego nie robili?

–Madeleine już się zdecydowała i ja chyba też.

–Nie robi pan tego z sympatii do Madeleine? Źle rozumianej sympatii. Jeżeli tak, to czyni jej pan krzywdę. Musi pan być tego świadomy.

Popatrzyłem na wypolerowaną podłogę urzędu pocztowego w Pont D’OUILLY, naznaczoną śladami błota pozostawionym przez okolicznych gospodarzy, którzy przychodzili tutaj, aby wyciągnąć oszczędności albo nadać list. Obok mnie, na ścianie, postrzępiony plakat przestrzegał przed wściekłą klizną. Na zewnątrz padał rzadki, mokry śnieg, a niebo było; posępnie ołowiane.

–Kiedyś trzeba to zrobić, ojczcie Antonie. Niezadługo czołg przerdzewieje i demon i tak

się wydostanie. Może! akurat wtedy przechodziłby obok ktoś zupełnie nieświadomy rzeczy.

My

zaś choć do pewnego stopnia wiemy, co może nas czekać, w co się pakujemy.

Ojciec Anton zamilkł na dłużej. Wreszcie powiedział:

–Wie pan, że będę musiał z wami pójść. Muszę przy tym być. o której planujecie się tym zająć?

Spojrzałem na zegar pocztowy.

–Okolo trzeciej. Zanim zapadną ciemności.

–Dobrze. Czy może pan podjechać po mnie samochodem?

–Oczywiście. I dziękuję księdzu. Głos ojca Antona zabrzmiał poważnie.

–Przyjacielu, nie dziękuj mi. Idę z wami tylko dlatego, albowiem uważam, iż moim obowiązkiem jest ochraniać was przed tym, co siedzi wewnątrz tego czołgu. Byłbym zadowolony, gdybyście dali temu spokój.

–Wiem, ojczcie. Ale wydaje mi się, że nie możemy.

Ojciec Anton czekał na mnie przy drzwiach wejściowych do swojego domu. Miał na sobie szeroki czarny kapelusz i czarne boty zapinane na guziczki oraz czarną pelerynę, ponurą jak upierzenie kruka. Za nim stała gosposia, która marszczyła w niezadowoleniu brwi, jakby chciała mi uświadomić, że to straszliwe samolubstwo wyciągać z domu staruszka w tak zimne i szare popołudnie, zapomniawszy przy tym, że w domu było znacznie zimniej i szarzej niż na dworze.

Pomogłem ojcu usadowić się na przednim siedzeniu i uśmiechnąłem się do gospodyni, gdy obchodziłem samochód, ale ona tylko posłała mi pochmurne spojrzenie spod przybrudzonego koronkowego czepka i trzasnęła drzwiami.

Gdy pokonywaliśmy zabłocone, szare kocie łąby, którymi wybrukowano podwórze, ojciec Anton powiedział:

–Antoinette można by pewnie uważać za nadmiernie opiekuńczą. Wierzy, iż ma boskie przyzwolenie, by pilnować, czy zawsze noszę wełnianą bieliznę.

–Cóż, jestem pewien, że Bóg martwi się o ciepłą bieliznę księdza tak samo, jak i o wszystko inne – powiedziałem wyłączając wycieraczki.

–Przyjacielu – rzekł ojciec Anton, spoglądając na mnie z powagą wodnistymi oczyma. – Bóg niech lepiej zajmie się moją duszą, a bieliznę pozostawi jej własnemu losowi.

Dojazd bocznymi drogami do gospodarstwa Passerelle’ów zajął nam około dziesięciu minut. Wszystkie okoliczne drzewa stały nagie, tu i ówdzie pstrzyły się na nich gniazda gawronów. Pola okrywała śnieżna mgła. Nacisnąłem klakson citroena, gdy wykręcaliśmy na podwórzu. Za chwilę pokazała się Madeleine w długiej kurtce z wielbłądziej wełny, niosąc latarkę i zatłuszczoną brezentową torbę wypchaną narzędziami.

Wsiadłem i pomogłem jej włożyć narzędzia do bagażnika.

–Mam wszystko. Łomy, młotki, wszystko, tak jak mówiłeś.

–Bardzo dobrze. Co na to twój ojciec?

–Nie był uszczęśliwiony. Ale powiedział, że jeżeli musimy to zrobić, to znaczy, że musimy. On jest taki jak inni. Chciałby, aby ten czółg otwarto, ale za bardzo się boi, by zrobić to samemu.

Rzuciłem okiem na ojca Antona, który siedział cierpliwie w swoim fotelu.

–Wydaje mi się, że to samo myśli ojciec Anton. Od lat marzył, żeby się zająć tym demonem. Przecież to właściwie robota dla księdza. Namawiałem go krótko.

Gdy otwierałem drzwi, by wpuścić Madeleine na tylne siedzenie, usłyszałem, jak woła nas Eloise. Wyszła z kuchni na dwór, unosząc spódnice nad błoto, i czymś wymachiwała.

–Monsieur! Niech pan to weźmie! Podeszła, zobaczyła ojca Antona siedzącego w samochodzie i skinęła z szacunkiem głową.

–Dzień dobry, ojczy. Ojciec Anton uniósł rękę na powitanie. Eloise przybliżyła się do mnie i zaszepotała:

–Monsieur, musi pan to wziąć. Może ojciec Anton nie będzie zadowolony, więc niech pan mu tego nie pokazuje. Ale to pan ochroni przed piekielnymi stworami.

Wcisnęła mi w dłoń tę samą obrączkę z włosów, która widziałem wsuniętą na wieżę miniaturowej katedry znajdującą się w saloniku Passerelle’ów.

–Co to jest? Nie rozumiem – zapytałem unosząc podarunek.

Eloise rzuciła pełne obaw spojrzenie w kierunku ojca Antona, ale stary kapłan nie patrzył w naszą stronę.

–To włosy pierwородnego dzieciątka, złożonego w ofierze Molochowi wieki temu, kiedy

to diabły stały się zmorą Rouen. To znak, że już oddałeś cześć duchom nieczystym.

–Wydaje mi się, że... – zacząłem. Eloise chwyciła moje dłonie i ścisnęła je kościstymi palcami.

–To, co panu się wydaje, jest nieistotne, monsieur. Po prostu ma pan to wziąć. Wsunąłem włosianą obrączkę do kieszeni płaszcza i wsiałem do samochodu bez słowa.

Eloise obserwowała mnie przez nakrapianą śniegiem szybę. Uruchomiłem silnik i wykręciłem. Eloise stała jeszcze na zimnym podwórzu, gdy przejeżdżaliśmy przez bramę i skierowaliśmy się ku Pont D’OUILLY, do czołgu, rozpryskując płynne błoćko.

Czołg stał jak przedtem wplątany w żywoplot. Przyprószył go śnieg, toteż wyglądał jeszcze bardziej ponuro i samotnie. Wszyscy jednak wiedzieliśmy, co czeka na nas w środku. Gdy wysiedliśmy z samochodu, zabraliśmy latarkę i narzędzia. Żadne z nas nie potrafiło odwrócić oczu od czołgu.

Ojciec Anton przeszedł przez jezdnę i wyjął spod peleryn duży srebrny krucyfiks. W drugiej ręce trzymał Biblię. Potem modlił się po łacinie i po francusku. Siekł go śnieg, jego kapelusze zrobił się biały, a zimny, porywisty wiatr rozwiewał mu połę peleryny. Wreszcie kapłan wyrecytował słowa rozkazujące odejść demonom. Trzymał krucyfiks w górze i kreślił nim niezliczone krzyże w powietrzu.

–Zaklinam cię, zły duchu, abyś odszedł. Opuść to miejsce w imię Boga Ojca; Odejdź w imię jego Syna. Opuść to miejsce w imię Ducha Świętego. Drzyj i uciekaj, bezbożny, albowiem Bóg ci rozkazuje. Ulegnij mi, na Jezusa z Nazaretu, który oddał swe życie w ofierze, i na me żądanie zrób, co ci każe. Na Świętą Marię Pannę Dziewicę, która dała swoje łono, na błogosławione anioły, z których upadłeś, rozkazuję ci odejść. Zegnaj, duchu. Amen.

Przez chwilę czekaliśmy, drżąc na zimnie, a ojciec Anton stał ze spuszczoną głową. Wreszcie zwrócił się do nas i powiedział:

–Możecie rozpoczynać.

Dźwigając brezentowy wór z narzędziami wdrapałem się na nadwozie czołgu. Podąłem Madeleine rękę i pomogłem jej się wspiąć. Ojciec Anton został na swoim miejscu, trzymając w jednej ręce wzniesiony krucyfiks, a drugą przyciskając Biblię do piersi.

Ostrożnie zbliżyłem się do wieżyczki... Glisty, którymi dzień wcześniej wymiotowałem, zniknęły, jakby były jakimś obrzydliwym złudzeniem. Ukląknęłam i rozpiąłem torbę. Wyjąłem z niej długie stalowe dłuto i młot. Madeleine, która klęczała przy mnie, powiedziała:

–Jeszcze możemy się wycofać.

Przez chwilę patrzyłem na nią, potem pochyliłem się i ucałowałem ją.

–Jeśli musisz zmierzyć się z tym demonem, to znaczy, że musisz. Nawet gdybyśmy się dzisiaj wycofali, będziemy i tak musieli zrobić to innym razem.

Zwróciłem się ku wieżycze czołgu i pięcioma czy sześcioma uderzeniami, które rozbrzmiały niczym bicie w dzwony, wbilem dłuto pod krucyfiks, przykręcony do pokrywy wjazdu. Trzydzieści lat korozji obluzowało nity i po pięciu minutach hałaśliwej pracy, podczas której spościłem się jak mysz, krzyż odleciał. Potem dla pewności kilkoma uderzeniami młota zniszczyłem resztkę pobożnego napisu.

Przez chwilę stałem dysząc ciężko i nasłuchiwałem, slyszalem nic prócz własnego sapania i cichego szmeru padającego śniegu. W oddali drzewa i dachy wioski się już prawie niewidoczne, albowiem wzmagala się śnieżyca. Ojciec Anton nadal stał na swym posterunku, w białym kapeluszu, z białymi ramionami, wciąż trzymając krucyfiks w dłoni odzianej w rękawiczkę z jednym palcem.

Zastukałem w wieżyczkę i zapytałem:

–Jest tam kto? Jest tam ktoś w środku?

Nikt nie odpowiedział, rozległo się tylko głuchoe echo mojego ostrożnego stuknięcia.

Otarłem zimne, spocone czoło. Madeleine, ozdobiona koroną z płatków śniegu, starała się uśmiecnać do mnie zachęcająco.

–A więc – odezwałem się – oto i on.

Waląc szerokim stalowym zaczepem usiłowałem roztraskać lutowinę naokoło wieżyczki,

ale wgniatalem tylko zardzewialą stal. Przy siódmym okrażeniu ostrze zaczepu przebiło nagle na wyłot skorodowany metal i powstał otwór wielkości paznokcia.

Mimo mrozu, mimo śniegu, który okrywał wszystko, uslyszeliśmy zjadliwy gwizd smrodliwego powietrza, wydobywającego się z wnętrza czołgu. Z shermana szedł taki fetor, którego nie dało się porównać z niczym, co dotąd wachałem. Ów wywołujący mdłości odór gnijącego pożywienia zmieszał się z czymś, co przypominało mi charakterystyczny zapach pomieszczeń dla gadów w ogrodzie zoologicznym. Rwały mnie mdłości i poczułem, jak cierpkie czerwone wino madame Saurice wypełnia mi usta. Madeleine odwróciła się i jęknęła:

–*Mon Dieu!* Usiłowałem stać spokojnie. Potem obróciłem się do ojca Antona i powiedziałem:

–Wybiłem dziurę, ojcze. Cuchnie potwornie. Ojciec Anton przeżegnał się.

–To smród Baala – rzekł. Twarz miał szarą z zimna. Uniósł krzyż wyżej i wyrecytował:

–Zaklinam cię, zwiążuję i zobowiązuję na Lucyfera, Belzebuba, Szatana, Jauconilla, na moc i cześć, którą im jesteś winien, że będziesz tak gnębił i karał tego nieposłusznego demona, aż zmu

sisz go do tego, by pojawił się przede mną w cielesnej powłoce i stał się posłuszny mojej woli i moim przykazaniom, i czynił cokolwiek zechcę lub rozkażę. *Fiat, fiat, fiat.* Amen.

–Dan... możemy to jeszcze zamknąć. Jeszcze mamy czas – wyszeptała Madeleine.

Popatrzyłem na maleńki otwór, przez który wciąż świstało zatrute powietrze.

–A ile zostanie nam czasu do tej chwili, w której to coś stąd wylezie, by nas schwytać?

Przecież to coś zabiło twoją matkę, Madeleine. Jeżeli naprawdę tak uważasz, musimy zlikwidować to raz na zawsze.

–Czy ty mi wierzysz? – zapytała, otwierając szeroko oczy.

–Nie wiem. Chcę po prostu dowiedzieć się, co tu jest. Chcę dowiedzieć się, co może sprawić, żeby człowiek rzygał glistami.

Oblizałem wargi i ponownie uniosłem młotek. Biłem raz po raz w wieżyczkę, aż otwór powiększył się do rozmiarów nakrętki od butelki. W jakiś czas potem pancerna stal zaczęła odłazić czarnymi, przerdzewiałymi płatami. Nie minęło dwadzieścia minut, jak usunąłem cały metal w okolicy zawiasów. Dziura była wielka niczym patelnia.

Ojciec Anton, który wciąż czekał cierpliwie w śnieżycy, zapytał:

–Czy pan coś widzi, monsieur? Przyjrzałem się czarnym czeluściom wewnątrz czołgu.

–Jeszcze nic. Z torby wyjąłem łom i znowu wdrapałem się na wieżyczkę shermana. Jeden koniec łomu

włożyłem w dziurę. Na drugi napierałem powoli całym ciężarem ciała, unosząc pokrywę włazu, jak gdybym otwierał szpikulcem oporną puszkę z pomidorami. Wreszcie lutowina puściła, uwalniając właz. Stałem bez tchu, zgrzany mimo mrozu, dopiąwszy swego.

–Podaj mi latarkę – poleciłem Madeleine.

Była blada, gdy mi ją podawała. Włączyłem światło kierując jego snop do wnętrza shermana. Dostrzegłem siodełko dowódcy czołgu, część zamkową działa i fotel ładowniczego. Pociągnąłem światło w bok i...

Ujrzałem czarny, zakurzony i spleśniały worek, zaszyty podobnie jak worek z pocztą albo całun. Był niewielki, może rozmiarów dziecka, a może torby z nawozem. Leżał przy ścianie czołgu, jakby tam upadł.

Madeleine dotknęła mojego ramienia.

–Co się stało? – zaszepotała wystraszonym głosem. – Co ty tam widzisz? Wyprostowałem się.

–Nie wiem. To wygląda jak czarny worek. Chyba powinienem zejść, by go wyjąć.

–Monsieur! Niech pan tam nie wchodzi! – zawołał ojciec Anton. Popatrzyłem raz jeszcze na worek.

–To jedyny sposób. Inaczej w ogóle go stamtąd nie wyciągniemy.

Ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę, było zejście do wnętrza czołgu po ten worek, wiedziałem jednak, że gdybyśmy starali się wydostać go za pomocą haka łomu, najprawdopodobniej rozdarlibyśmy materiał. Wydawał się dość stary i zmurszały – jakby miał więcej niż trzydzieści lat, i nawet więcej niż sto. Wystarczyłoby niewielkie rozdarcie i to, co znajdowało się tam w środku, wysypałoby się na zewnątrz.

Madeleine przytrzymała pokrywę wjazdu, a ja ostrożnie wdrapałem się na wieżyczkę i spuściłem nogi do środka. Mimo że były zmarznięte, poczułem w nich dziwne mrowienie, jak gdyby coś zamierzało mi je odgryźć.

–Zawsze chciałem zobaczyć, jak wygląda wnętrze czołgu – powiedziałem ochryple, po czym opuściłem się w wyziębłe, cuchnące stęchlizną wnętrze.

Czołgi, nawet wtedy gdy są ogrzane, oświetlone i nie zamieszkałe przez demoniczne worki, potrafią wywołać klaustrofobię. Gdy wgramoliłem się do tego ciasnego i niewygodnego pomieszczenia, uderzając głową i ramionami o jakieś kółka i przyrządy, mając do towarzystwa jedynie latarkę, poczułem raptem, jak ogarnia mnie fala strachu i duszności. Chciałem tylko się stamtąd wydostać.

Wziąłem głęboki oddech. W środku wciąż nieźle cuchnęło, ale odór rozszedł się prawie całkowicie. Zerknąłem do góry i zobaczyłem twarz Madeleine nad otwartym wjazdem, i –
Dotknąłeś już tego? – zapytała nerwowo.

Oświetliłem worek. Coś się w nim znajdowało. Albo też ktoś. Z bliska materiał wyglądał na jeszcze starszy, niż mi się początkowo wydawało. Przypominał fragment gobelinu z Bayeux albo średniowieczny całun.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem worka. Materia była miękka ze starości. Delikatnie

przesunąłem po nim palcami wyczuwając różnego rodzaju występy i kule. Sądząc po dotyku był to worek kości... Stary, zmurszały worek kości.

Chrząknąłem.

–Postaram się ci go podać! – zawołałem do Madeleine. – Jak ci się wydaje, weźmiesz to w ręce?

Skinęła głową.

–Pośpiesz się. Ojciec Anton wygląda na bardzo zmarzniętego.

–Postaram się.

Wcisnąłem latarkę w hydraulikę czołgu, kierując snop światła na przeciwległą ścianę wieżyczki, a potem uklęknąłem przy worku. Wymagało to dużo samozaparcia, ale wreszcie objąłem zbutwiałą, czarną materię ramionami i uniosłem worek na pół metra. Zwisł, a to, co znajdowało się wewnątrz, kości czy co tam, przesunęło się w jeden z rogów, lekko grzechocząc. Materiał nie podarł się, więc mogłem całą tę rzecz podnieść jeszcze wyżej i podać Madeleine. Sięgnęła ręką w dół i chwyciła materię, a ja nakazałem:

–Dobra, ciągnij.

Przez chwilę, jedną straszliwą chwilę, właśnie wtedy gdy Madeleine uniosła worek, mógłbym przysiąc, że poczułem, jak to coś się poruszyło, jakby w środku siedziało coś żywego. Może przesunęła się jedna z kości, może zadziałała moja przewrażliwiona wyobraźnia, w każdym razie cofnąłem dłonie tak szybko, jakby worek nagle zapłonął.

Madeleine złapała oddech.

–Co się stało?

–Po prostu wyciągnij ten worek stąd! Szybko! – wrzasnąłem.

Gdy pociągnęła go do góry, zahaczył na parę sekund o ostre zęby wyłamanej pokrywy wjazdu. Udało się jej jednak podciągnąć worek i usłyszałem, jak kładzie go nadwoziu. Zabrałem latarkę i wdrapałem się na wieżyczkę. Nigdy w życiu nie cieszyłem się tak na widok śniegu i ponurego nieba!

Ojciec Anton zbliżał się do czołgu od tej strony, po której! leżał na nadwoziu czarny worek. Przed sobą trzymał krucyfiks i Biblię. Wbił oczy w nasze dziwne odkrycie jak człowiek, który wreszcie ma przed sobą niezbity dowód na to, że jego własna żona przyprawiła mu rogi.

–Enfin, le diable - odezwał się. Niepewnie dotknąłem worka stopą.

–Tylko to znajdowało się wewnątrz. Sprawia wrażenie, jakby był pełen kości. Ojciec Anton ani na sekundę nie zdejmował oczu z worka.

–Tak – powiedział. – Kości demona. Zsunąłem się z czołgu i pomogłem zeskoczyć Madeleine.

–Nie wiedziałem, że demony miewają kości – zauważyłem. – Wydawało mi się, że są wytworami wyobraźni.

–O, nie – zaprzeczył ojciec Anton. – Przez pewien czas w średniowieczu demony i gar-gulce chodziły żywe po świecie. Za wiele istnieje na to dowodów, abyśmy mogli temu zaprzeczyć. Paul Lucas, średniowieczny podróżnik, opisuje, jak spotkał demona Asmodeusza w Egipcie, utrzymuje się też, że demon Sammael włóczył się po ulicach Rouen aż po wiek dwunasty.

–Nie wiemy, czy to rzeczywiście są kości – przerwała Madeleine. – Może to być cokolwiek.

Ojciec Anton włożył Biblię z powrotem do kieszeni.

–Oczywiście, oczywiście. Zabierzemy to do mnie do domu. Mam tam piwniczkę, w której będzie można ukryć to bezpiecznie. Wydaje się dość spokojne, przynajmniej na razie.

Spojrzałem na Madeleine, ale ta tylko wzruszyła ramionami. Jeżeli kapłan chciał zabrać worek ze sobą do domu, to właściwie nie mogliśmy mu w tym przeszkodzić. Miałem tylko nadzieję, że to coś nie zechce się obudzić i zemścić na nas za tak bezceremonialne zakłócanie mu spokoju w zimne grudniowe popołudnie.

–Otworzyłem bagażnik Citroëna i razem z Madeleine przeniosłem zmurszały worek przez jezdnię i ostrożnie ułożyłem go w samochodzie. Potem pobierałem narzędzia pożyczone od ojca

Madeleine i usadowiłem się za kierownicą. Ojciec Anton zdjął kapelusz, strząsnął śnieg i oznaj

mił:

–Czuję się dziwnie podniecony i zadowolony z siebie. Czy możecie to zrozumieć?

Uruchomiłem silnik.

–Przecież tego właśnie chciał ojciec dokonać przez trzydzieści lat, nieprawdaż? Chciał ojciec otworzyć czołg i przekonać się, co, u licha, w nim siedzi?

–Panie McCook – odparł kapłan – powinien był pan tu przyjechać dawno temu. Aby dokonać czegoś takiego, trzeba nadzwyczajnej prostoty, bezpośredniości.

–Nie jestem pewien, czy to komplement, czy nie.

–Nie miałem na myśli naiwności.

Jechaliśmy w zapadającym zmierzchu, a naokoło wirowały i opadały płatki śniegu. Gdy dotarliśmy do domu kapłana, stojącego w samym środku wioski, zegar kościelny wybijał piątą i prawie nic nie było widać z powodu śnieżycy. Kiedy podjeżdżaliśmy, gospodyni otworzyła drzwi i stanęła w progu z marsem na twarzy, splótnszy palce na fartuchu. Pomogłem ojcu Antonowi wejść na werandę.

–II a quatre vingt dix ans – zawarowała, biorąc staruszka pod rękę i prowadząc go do środka. – Et vous leforcez de sortir dam la neige pour jouer comme un petit garçon.

–Antoinette – odezwał się ojciec Anton gładząc ją po rękę uspokajająco. – Dawno nie czułem się tak zdrowo.

Madeleine i ja otworzyliśmy bagażnik Citroëna i wyjęliśmy worek.

–Tak, tak, dajcie go tutaj! – zawołał ojciec Anton z mrocznego hallu. – Antoinette,

przynieś mi, proszę, klucze od piwnicy!

Antoinette przyjrzała się podejrzliwie czarnemu workowi, który nieśliśmy przez padający śnieg..

–*Qu'est ce que c'est?* – zapytała.

–*Ces t un sac de charbon* – odparł ojciec Anton z uśmiechem.

Rzucając za siebie ostatnie spojrzenie pełne ogrom nieufności Antoinette poszła po klucze od piwnicy, a Madeleine i ja ułożyliśmy nasz diabelski ciężar na podłodze w hallu.

–Jeżeli to istotnie są kości – odezwał się ojciec Anton – znam ceremonię, za pomocą

której można je zniszczyć. Kości demona mają podobną moc, jak ożywiony demon. Tak podają

księgi. Ale można je w taki sposób rozrzucić, że demon już nie odżyje. Czaszkę należy pochować

w jednej katedrze, kości rąk i nóg w trzech innych. Pozostałe kości chowa się w rytualnym porządku w okolicznych kościołach.

Wyjąłem chusteczkę i wytarłem nos. Było tak zimno, że prawie go nie czułem.

–A gdybyśmy zapytali Pentagon, w jaki sposób się tego pozbyć? To przecież oni są odpowiedzialni za to, że się tutaj w ogóle znalazł – powiedziałem.

Ojciec Anton spojrzał na leżący u swych stóp czarny worek i potrząsnął głową.

–Nie wiem. Wydaje mi się, że najważniejszą rzeczą jest teraz odprawienie jak najszybciej egzorcyzmów.

Wróciła Antoinette z kluczami od piwnicy. Podała je ojcu Antonowi sznurując w niezadowoleniu usta.

–Chętnie zjem talerz twojego krupniku, Antoinette – odezwał się kapłan. Staruszka zmiękla więc nieco i udała się do kuchni, by przygotować krupnik.

Podniosłem z Madeleine worek, który poddawał się nam jak poduszka.

–Chodźcie za mną – powiedział ojciec Anton.

Gdy szliśmy powłócząc nogami wzdłuż korytarza, nieoczekiwanie spojrzałem za siebie,

tam gdzie leżał przed chwilą worek. Poczułem się tak, jakby pod koszulą, po gołych plecach, zsunął mi się lód.

Na drewnianej posadzce widniały ślady osmalenia, jak gdyby wypalone rozgrzanym pogrzebaczem. Tam, gdzie leżał czarny worek, znaczył się wyraźny zarys niewielkiego, przykurczonego szkieletu.

–Ojcie – zaszepotałem.

Ksiądz odwrócił się i zobaczył ślady.

–Połóżcie worek, ale ostrożnie – polecił. A gdy z uwagą umieściliśmy zbutwiałą czarną szmatę z powrotem na deskach, zawrócił skrzypiąc butami i klęknął z bolesnym trudem. Palcami

wodził po śladach wypalonych na parkiecie, dotykając ich z taką czcią i pieczęcią, jakby wyobrażały niezwykły, średniowieczny, mosiężny nagrobek.

–Czy wie ksiądz, co to jest? – zapytałem przystanąwszy za nim.

Nie podniósł głowy.

–O tak – odezwał się cicho. – Wiem. To znak demona. Widzi pan, ten dom jest święty. Od wielu lat jest naczyniem modlitwy i błogosławieństwa. Kości demona nie mogą tu spocząć, nie pozostawiwszy śladu.

–To wygląda na bardzo mały szkielet. Przypomina szkielet dziecka.

–Nie jest mniejszy od tych demonów i gargulców, które widzimy w postaci rzeźb w średniowiecznych kościołach, przyjacielu. Zapominamy, że wiele z nich było po cichu rzezane z natury. Modelowano je na ciałach tych Stworów. Na górze mam pamiętniki kamieniarza, który pracował w Chartres. Píše w nich, że zakonnicy przynosili mu czaszki i kości stworzeń, których nigdy nie potrafił zidentyfikować.

Podeszła Madeleine i wzięła mnie za ramię.

–Co zrobimy? – zapytała cicho. – A jeżeli to zechce wydostać się na wolność?

–Musimy natychmiast zanieść worek do piwnicy – rzekł ojciec Anton. – Zamknę go tam siłą krzyża i mocą, w którą przyoblekł mnie Pan Nasz Jezus Chrystus. Potem, gdy tylko nadarzy się okazja, będziemy musieli rozebrać szkielet na części i rozrzucić go tak, jak każe „Sepher Ha Zohar”, najważniejsza księga kabały.

Wróciliśmy do czarnego worka i tym razem dźwignęliśmy go we trójkę. Tak szybko, jak się tylko dało, ponieśliśmy go do rzeźbionych dębowych drzwi u końca korytarza, prowadzących do piwnicy. Ojciec Anton wybrał największy klucz i włożył go w zamek. Za drzwiami cuchnęło wapieniem i pleśnią.

–Uważajcie na schody. Są bardzo stare i bardzo nierówne – oznajmił kapłan i włączył światło.

Podobnie jak podziemia w większości francuskich domostw, bez względu na ich rozmiary, ogromna piwnica ojca Antona była podzielona na kilka pomieszczeń. Przez jedno z półotwartych

drzwi dostrzegłem stojaki z butelkami wina, przez inne narzędzia ogrodnicze i fragmenty średniowiecznych murów. Ale ojciec Anton poprowadził nas do dalszych zakątków piwnicy, pod ciężkie, nabijane ćwiekami z czarnego żelaza odrzwia, które otworzył ozdobnym kluczem.

W pomieszczeniu tym panowała zupełna ciemność i brakło powietrza. Nie było w nim żadnych okien. W jednym z kątów walało się kilka potłuczonych doniczek i przerdzewiała wyżymaczka. Ułożona z glinianych płyt podłoga i pobielane wapnem ściany były zakurzone.

Ojciec Anton zapalił jedyną gołą żarówkę, która oświetlała tę część piwnicy, i powiedział:

–Połóżcie worek tutaj. W tym pomieszczeniu zazwyczaj przechowywano meble i rzeczy wartościowe. Ma bardzo mocny zamek.

Położyliśmy czarny wór na środku podłogi i odstąpiliśmy od niego z wyraźną ulgą. Ojciec Anton sięgnął za pazuchę płaszcza i wyjął podniszczone etui na okulary.

–Najpierw musimy dowiedzieć się, co to za demon – rzekł. – Potem postaramy się go odwołać. Panie McCook, w sąsiednim pomieszczeniu jest sierp. Czy zechciałby mi go pan przywieść?

Poszedłem po sierp, kapłan zaś niecierpliwie krążył wokół obwisłego worka, z którego wystawały różne guzy i grudy, przypatrywał mu się przez okulary w złotych oprawkach i od czasu do czasu pokasywał w zimnym, piwnicznym powietrzu.

Znalazłem pięć sierpów różnych rozmiarów, a ponieważ urodziłem się w Missisipi, wybrałem największy. Wróciłem z nim do ojca Antona, a on uśmiechnął się i powiedział:

–Może pan rozciąć worek? Czy ja mam to zrobić?

Spojrzałem na Madeleine. Była zmęczona i spięta, ale najwyraźniej tak samo jak ja chciała się dowiedzieć, co też za straszdyło kryło się w tym worku. Skinęła ku mnie głową.

–Dobrze, ja rozetnę – powiedziałem.

Nachyliłem się nad workiem i wepchnąłem czubek sierpa w stary materiał. Wszedł z łatwością. Pociągnąłem i wór rozerwał się bez trudu z przytłumionym westchnieniem, gdy jedno włókno oddzielało się od drugiego po kilkusetletnim oczekiwaniu na nie wiadomo co, w takich miejscach, których wolałem sobie nie wyobrażać.

W worku pełno było pyłu i kości. Cofnąwszy się przyglądałem się temu z ciekawością graniczącą z przerażeniem, ponieważ szczątki te nie dawały się rozpoznać jako kości ludzkie czy zwierzęce. Znajdowały się wśród nich wąskie żebra, pałkowate kości udowe, długie kosteczki palców w kształcie szponów. Wszystko to nabrało matowobrązowej barwy i było nadzwyczaj porowate. Powiedziałbym tak na oko, że szczątki te miały jakieś sześćset czy siedemset lat, albo i więcej. Kiedyś wykopałem szkielet Indianina w majątności swego ojca w Louin w hrabstwie Jasper i tamten szkielet wydawał się tak samo wysuszony jak ten.

Wszakże to nie kości tułowia tak mnie przeraziły, mimo że same w sobie były groteskowe. Wystraszyła mnie czaszka... Brakowało jej żuchwy. Swym dziwnym kształtem przypominała dziób. Tkwiły w niej skośne oczodoły i rząd małych, ostrych zębów podobnych do stalówek. Z tyłu głowy widniały szczątkowe różki i gdyby nie ta górna szczęka kojarząca się z płazem,

powiedziałbym, że to czaszka kozła.

Madeleine chwyciła mnie za rękę i mocno ścisnęła.

–Co to takiego? – zapytała drżącym z lęku głosem. – Dan, co to jest?

Ojciec Anton zdjął okulary i złożył je z cichym brzękiem. Popatrzył czerwonymi od mrozu

i zmęczenia oczyma, ale z jego przepojonej współczuciem twarzy bił religijny hart. Od siedemdziesięciu lat był kapłanem, dłużej, niż ja i Madeleine liczyliśmy sobie lat. I chociaż osiągnął już starczy wiek, a w ciągu tych siedemdziesięciu lat widział wiele cudów i demonicznych objawień, miał siłę wtedy, gdy my osłabiliśmy.

–Właśnie tego się spodziewałem – oznajmił.

Uniosłem brew.

–Ksiądz się czegoś spodziewał? To znaczy, że ksiądz już wcześniej odgadł, co to takie go?

Skinął głową.

–Po naszej rozmowie o trzynastu czołgach przez godzinę, może dłużej, przeglądałem tom zatytułowany „Pseudomonarchia Daemonum”. Natrafiłem na wzmiankę o *les treize diables de*

***Rouen*. Niewiele znalazłem w niej informacji. Ale z tego, co pisze Jean Wier, dowiedziałem się,**

że w 1045 roku Rouen sterroryzowało trzynaście diabłów, które przyniosły ze sobą ogień, choro

by, smutek i katastrofy. Było to trzynastu uczniów Adramelecha, wielkiego kanclerza piekieł, ósmego demona w hierarchii złych Sephirothów.

Sięgnąłem do kieszeni płaszcza po zwietrzałe papierosy marki „Lucky Strike”.

–Czy to niezwykle, że diabły trzymają się trzynastkami?

–Dosyć niezwykle.

–A skąd wzięło się trzynaście jedenastowiecznych diabłów w trzynastu amerykańskich czołgach podczas drugiej wojny światowej? To wszystko razem jest bez sensu.

Kapłan wzruszył ramionami.

–Nie wiem, panie McCook. Może gdybyśmy znali tę odpowiedź, znalazłbyśmy i inne.

–A co stało się z diabłami z Rouen? – zapytała Madeleine. – Czy jest coś w książce na ten temat?

–O, tak. Zapieczętowano je w lochu silnym zaklęciem, a nałożył je na nie średniowieczny egzorzysta Cornelius Prelati. Ponieważ książka spisana jest w średniowiecznej francuszczyźnie, trochę mi trudno zrozumieć, w jaki sposób i na jak długo to uczyniono. Autor używa słowa „coudre”. Najpierw myślałem, że oznacza ono to, iż diabły uwięziono ściśnięte razem, bok przy boku. Ale gdy zobaczyłem ten worek, zrozumiałem, że mogłoby chodzić o coś innego. Jak pan zapewne wie, monsieur, po francusku „coudre” oznacza „zaszywać”.

–Diabły pozaszywano w worki. Tak jak tego – szepnęła Madeleine.

Ojciec Anton nie odpowiedział, ale uniósł ręce, jakby chciał rzec: c'est possible. Przez dłuższy czas staliśmy nad kośćmi w ciszy.

–Co moglibyśmy jeszcze zrobić? – zapytała w końcu Madeleine.

Ojciec Anton posłał swoją źle dopasowaną sztuczną szczękę.

–Musimy rozrzucić kości po okolicy, tak jak radzi kabała. Oczywiście, nie możemy tego zrobić dzisiaj wieczór. Poza tym muszę skontaktować się z poszczególnymi kościołami i poprosić o pozwolenie na pochówek.

–Przecież to zajmie pół wieku – jęknąłem.

Ojciec Anton skinął głową.

–Wiem. Ale obawiam się, że to konieczne. Nie mogę po prostu zakopać kości takiej kreatury na poświęconej ziemi, nie powiadomiwszy parafii.

Madeleine wzięła mnie za rękę. Zrobiła to bardzo naturalnie, bardzo łatwo i bardzo miło.

–Dan – powiedziała – może powinieneś przenocować dziś u ojca Antona. Nie chciała bym, aby został sam z tym czymś.

Kapłan uśmiechnął się.

–To miło z waszej strony, że martwicie się o mnie. Ale naprawdę to niekonieczne.

–Ma się rozumieć – powiedziałem. – Zostanę. Jeżeli tylko ksiądz nie ma nic przeciwko temu.

–Oczywiście, że nie mam. Możemy razem po obiedzie zagrać w szachy.

–Odwiozę cię do domu – rzekłem do Madeleine.

Ojciec Anton wyłączył światło w tym pomieszczeniu, w którym leżały rozsypane kości

demona. Przez chwilę staliśmy u drzwi, zerkając za siebie w egipskie ciemności. Mógłbym przysiąc, że poczułem lekki powiew, cuchnący gorzkawo tym samym smrodem, który poznałem w czeluściach czołgu. Z pewnością było to niemożliwe. Pomieszczenie nie miało okien. Mimo to odniosłem niepokojące wrażenie, jakbym obudził się w nocy, czując na twarzy oddech jakiegoś stworzenia.

Ojciec Anton zamknął ciężkie drzwi na klucz. Potem stanął przed nimi i przeżegnał się. Odmówił też modlitwę, jakiej w życiu nie słyszałem.

–Diable – szepnął – ty, który nie poznałeś smaku jada, nie piłeś wody, nie skosztowa

łeś sypkiej mąki ani świętego wina, pozostań wewnątrz, rozkazuję ci. Bramo, nie otwórz się, by

wypuścić demona; zamku, nie porusz się; progu, nie pozwól, by przez ciebie przestąpiono. Albo

wiem nadejdzie dzień Pana, kiedy powstaną zmarli i liczebnością swą przewyższą żywych, w

Jego imię. Amen.

Stary kapłan przeżegnał się po raz wtóry, a za nim Madeleine. Przez chwilę żałowałem, że nic nie wiedziałem o tej religii, podpowiedziałyby mi bowiem słowa i znaki, za pomocą których zdołałbym zabezpieczyć się przed demonami nocy.

–Chodźcie – rzekł ojciec Anton. – Poczęstuję was calvadosem, zanim mademoiselle Passerelle odjedzie do domu.

–Przyda mi się – oznajmiłem i poszliśmy na górę, rzucając ostatnie spojrzenie na drzwi, za którymi leżały czartowskie kości.

Po kilku drinkach z ciasteczkami odwiozłem Madeleine do domu, do gospodarstwa jej ojca, uliczkami Pont D'Ouilly. Śnieg nieco ustał. Dolina Orne leżała zimna i cicha. Okalające ją wzgórza wybielały, przypominając meble okryte prześcieradłami przed kurzem. Wstawał błądy księżyc, ale świecił słabiej niż poprzedniej nocy. Szarośnieżne pola przecinały ślady ptaków i łasic.

Zatrzymałem samochód u bramy. Madeleine zapięła kurtkę.

–Wejdiesz? – zapytała.

–Może jutro. Obiecałem zagrać w szachy z ojcem Antonem. Chyba na to zasłużył. Skinęła głową i wzięła mnie za rękę.

–Nie wiem, jak wam obu dziękować. Czuję się tak, jakby zdjęto ze mnie i z mojej rodziny wielki ciężar.

Przetarłem oczy. Zaczynałem odczuwać zmęczenie po tym wszystkim, czego dokonaliśmy dziś po południu – i fizyczne, i psychiczne. Ramiona bolały mnie od dłuta i młotka, wciąż miałem się niepewnie po klaustrofobicznych przeżyciach wewnątrz czołgu.

–Podziękujesz mi jutro – powiedziałem – kiedy będę w stanie zrozumieć, czemu, u licha, przyłożyłem do tego rękę.

Madeleine uśmiechnęła się.

–A myślałam, że Amerykanie są z natury chętni do pomocy.

–Może raczej są z natury ciekawscy.

Pochyliła się ku mnie, co nie było trudne, ponieważ citroen jest tak mały, że człowiek czuje się w nim jak sardynka w puszcze. Musnęła wargami mój policzek, a potem pocałowaliśmy się. Nagle uświadomiłem sobie, że dziewczyny z Normandii znakomicie smakują. Polowanie na demony wydawało się całkiem opłacalne.

–Francuzi całują się przecież w policzki – rzuciłem cicho. Madeleine przyjrzała mi się.

–Tylko wtedy, gdy wręczają sobie medale.

–Czy nie to właśnie uczyniłaś? Przez dłuższy czas nie odpowiadała.

–*Peut-etre, monsieur. Qui sait?* – odezwała się wreszcie. Otworzyła drzwi i wysiadła w

śnieg. Przez chwilę stała patrząc to w górę, to w dół zaśnieżonej cichej drogi. Potem schyliła się i zajrzała do samochodu.

–Zobaczymy się jutro?

–Jasne. Wpadnij rano do ojca Antona. Chyba będziemy musieli dłużej potelefonować, żeby obdzwonić tych wszystkich księży i pozbyć się kości.

W mroźnym powietrzu jej oddech stał się obłoczkiem, rozjaśnionym światłem reflektorów Citroëna.

–Śpij dobrze, Dan – powiedziała. – I jeszcze raz dziękuję.

Zatrzasnęła drzwi i minawszy słupy udekorowane czapami ze śniegu, weszła na podwórze.

Przez chwilę obserwowałem ją, ale się nie odwróciła. Wykręciłem i odjechałem w kierunku Oully, rzucając szybkie spojrzenie na shermana, który tkwił w żywopłocie niby porzucona czarna poczwarka jakiegoś monstrualnego owada.

W bibliotece, wypełnionej szeregami oprawnych w skórę ksiąg, zawieszonych smętnymi portretami, panowało okropne zimno, toteż ojciec Anton zezwolił rozrzutnie na rozpalenie na kominku ognia z dwóch wiązowych polan, gdy po obiedzie graliśmy w szachy. Siedzieliśmy w pobliżu buzującego ognia popijając napoleona z wielkich koniakówek, rozmawiając niespiesznie i grając długo, prawie do dwunastej.

–Nieźle pan gra – zauważył ojciec Anton, dając mi mata po raz trzeci z rzędu. – Ale nie ćwicz pan i jest pani zbyt niecierpliwy. Zanim zrobi pan ruch, trzeba pomyśleć – a potem raz jeszcze pomyśleć.

–Usiłuję. Staram się. Ale chyba mam inne rzeczy na głowie.

–Na przykład naszego demona? Niepotrzebnie.

–Powiedzmy, że trudno mi o nim zapomnieć.

Ojciec Anton wziął szczyptę tabaki i ceremonialnie wciągnął ją do lewej dziurki nosa.

–Mój przyjacielu, diabły żywią się lękiem. Im bardziej człowiek się ich obawia, tym straszniejsze się stają. Nie powinien pan myśleć o tym, co mamy w piwnicy, jak o czymś bardziej

zajmującym niż garść starych kości, które, jakiś kundel zakopał na polu kapusty.

–Spróbuję.

Ojciec Anton zbił pionkiem wieżę, po czym rozsiadł się wygodniej w swoim pikowanym,

obitym skórą fotelu. Gdy ze zmarszczonymi brwiami przyglądałem się szachownicy usiłując coś zaradzić, zanosilo się bowiem na czwartego mata w trzech posunięciach, starzec popijał napoleona w zamyśleniu.

–Czy jest to dla pana niespodzianką? – odezwał się po jakimś czasie. – To, że demony

rzeczywiście istnieją? Mają ciało i kości?

Podniosłem oczy znad szachownicy. Ojciec Anton patrzył w ogień, a płomienie odbijały się w szklach jego okularów.

–Nie wiem – odparłem. – Raczej tak. Nie uwierzyłbym, gdybym nie zobaczył na własne oczy.

Kapłan wzruszył ramionami.

–Wie pan, wydaje mi się to dziwne, że w tak pragmatycznym wieku jak ten, w którym obecnie żyjemy, wieku, w którym uparcie szuka się dowodów w postaci rzeczy lub zjawisk, na macalne objawienia religii, czyli demony i diabły, są wyśmiewane.

–Ależ proszę księdza. Niewiele osób widziało demona na własne oczy.

Kapłan odwrócił głowę i popatrzył na mnie z powagą.

–Czyżby? Demony i diabły ewoluowały tak jak reszta świata. Nadzwyczaj wiele z nich wciąż kryje się w różnych zakątkach ziemi.

–Czy to samo odnosi się do aniołów? – zapytałem. – To znaczy, czy mamy kogoś po naszej stronie?

Ojciec Anton potrząsnął głową.

–Anioły nigdy nie występowały w konkretnej postaci. Termin ten oznacza pewien stan energii boskiej, a to straszliwa energia, w ścisłym rozumieniu tego przymiotnika. Wiem, że aniołowie są posłańcami Boga oraz że często chronią nas przed złem i przed pokusami mocy piekielnych. Wiem wszakże na ich temat wystarczająco dużo, by utrzymywać, że po tej stronie życia wolałbym się z nimi nie spotkać. Są straszliwe – a i to mało powiedziane.

–Czy można je przywołać, tak jak demony?

–Nie w taki sam sposób. Ale skoro to pana interesuje, mam w swoich zbiorach książkę z inwokacjami. Stanowiła, o dziwo, ulubioną lekturę wielebnego Taylora, gdy ten przebywał tutaj w czasach wojny. Może to, że dał się wmieszać w sprawy demonów we własnym kraju, na tyle go strwożyło, iż szukał wsparcia u boskich zastępów.

Na kilka minut zapadło milczenie, po czym wykonałem następny ruch. Za wysokimi oknami znowu zaczął sypać bezszelestnie gęsty śnieg, okrywając grubą pokrywą północną Francję.

Krajobraz zaczął nieco przypominać panoramę Księżycy. Przez Polskę, Niemcy i Belgię wiał wschodni wiatr, pędząc niskie chmury, niosąc długą, szarą i mroźną zimę.

Ojciec Anton przyjrzał się szachownicy badawczo.

–*Ce n'est pas mail ça* - powiedział, kiwając głową w uznaniu. Następnie jego koścista, naznaczona plamami wątrobowymi dłoń przesunęła królową w pobliże mojego króla. –

Malheureusement, c'est o' l'echec et le mat.

Jednym ruchem unieruchomił mego króla, toteż pozostało mi tylko unieść ręce i poddać się.

–Myszę, że dostałem dobrą nauczkę. Nigdy nie należy grać w szachy z dziewięćdziesięciolatkami.

Duchowny uśmiechnął się.

–Musimy zagrać jeszcze, jeżeli pozostanie pan w Normandii Szwajcarskiej. Jest pan dobrym przeciwnikiem.

–Dziękuję – powiedziałem, zapalając lucky strike'a. – Ale obawiam się, że bardziej pasuje do mnie baseball.

Dokończyliśmy napoleona. Rzeźbiony mahoniowy zegar nad kominkiem wybił dwunastą. Polana osunęły się sypnąwszy skrami. Wokół nas, jak w każdym ciemnym dworku kościelnego sługi, stojącym w sercu malutkiej wioski, spoczywającej między poszarpanymi, obsypanymi śniegiem normandzkimi wzgórzami, panowała cisza.

–Dziś dokonał pan rzeczy wymagającej odwagi – odezwał się ojciec Anton. – Musi pan o tym wiedzieć. Wiem, że Madeleine to docenia, ale ja również. Bardzo mi przykro, że przez te wszystkie lata nie znalazł się między nami mężczyzna, który miałby tyle odwagi, aby dokonać tego, czego pan dokonał, to znaczy, otworzyć czołg.

–Wie ksiądz, powiadają, że niewiedza jest rozkoszą. Gdybym był wiedział tyle, ile ksiądz o diabłach i demonach, prawdopodobnie trzymałbym się od nich z daleka.

–Mimo to jestem panu wdzięczny. I chciałbym, aby na dzisiejszą noc włożył pan to, mój krzyż. Będzie pana ochraniał.

Zdjął z szyi swój wielki srebrny krucyfiks z wytłoczoną postacią Chrystusa i podał mi go. Krzyż był ciężki. Przez chwilę trzymałem go w ręku, a potem zwróciłem.

–Nie mogę tego nosić. To należy do ojca. Ojciec tak samo jak ja potrzebuje ochrony.

Kapłan uśmiechnął się. – Nie, monsieur. Chronią mnie moja wiedza i umiejętności.

Przede wszystkim zaś mój Bóg.

–Uważa ksiądz, że to... może nas zaatakować?

Stary kapłan wzruszył ramionami.

–Z diabłami nigdy nic nie wiadomo. Jeszcze nie wiem, z jakim mamy tutaj do czynienia, choć domyślam się, że to jeden z tych trzynastu demonów z Rouen. Może być mocarny albo słaby, podstępny lub gniewny. Póki nie przeprowadzimy siedmiu badań, nie dowiemy się niczego.

–Siedmiu badań?

–Istnieje siedem odwiecznych sposobów na sprawdzenie tego, skąd wywodzi się diabeł – z ziemi czy z piekieł; w jaki sposób szerzy swoje zło – ogniem czy plagami; czy stoi wysoko w hierarchii złych Sephirothów, czy też jest tylko ich sługą, który pełza po ziemi.

Podniosłem się z krzesła i przeszedłem na drugą stronę pokoju. Na zewnątrz sypał śnieg, wirując w ciemnościach nocy. Podwórze przed domem ojca Antona przypominało miejsce straceń, choć jego bieli nie poznały jeszcze ślady stóp i plamy krwi.

–Czy pan się boi? – zapytał kapłan zachrypniętym głosem. Namyslałem się przez chwilę.

–Chyba tak – odparłem wreszcie.

–To niech pan tutaj uklęknie, monsieur, odmówię za pana modlitwę. Odwróciłem się. Starzec siedział przy gasnącym ogniu, a na jego twarzy malowało się

prawdziwe zmartwienie.

–Nie, dziękuję, ojcze – powiedziałem łagodnie. – Dziś wieczór zdam się na szczęście.

Miałem spać w niewielkim pokoiku na najwyższym piętrze, w wysokim, pomalowanym na zielono żelaznym łożu. Ojciec Anton pożyczył mi obszerną białą koszulę nocną, białe skarpety i egzemplarz „L’Invocation des Anges”, oprawny w skórę, cuchnący kurzem, abym miał co czytać przy świetle chwiejącej się nocnej lampki.

Powiedzieliśmy sobie dobranoc na drugim piętrze, tam gdzie sypiał ojciec Anton, po czym skrzypiąc wszedłem na i górę i ponurym, wąskim korytarzem ruszyłem do swojego pokoju. Antoinette zostawiła światło mimo oszczędności ojca Antona, za co byłem jej wdzięczny. Pędziłem korytarzem, jakbym miał na karku dziesięciu złych Sefhirothów, dopadłem drzwi i zamknąłem je za sobą na klucz.

Pokoik był skromny, ale niezły. Prócz łóżka stała tam jeszcze tania, sosnowa toaletka z lustrem, a także jedna z tych pojemnych francuskich szaf, w której powiesiłem swój pomięty płaszcz i koszulę. W rogu znajdowała się umywalka. Przez okrągłe okienko ujrzałem zaśnieżone dachy Ouilly. Umyłem się twardym szarym mydłem, wypłukałem usta wodą i naciągnąłem nocną koszulę ojca Antona. Swym wyglądem przypominałem zapewne Flipa z tego filmu, w którym wraz ze swym kompanem musiał spędzić noc w domu, gdzie straszny.

Gdy wgramoliłem się do łóżka, sprężyny zajęczały w proteście. Przez chwilę siedziałem prosto nasłuchując, przyzwyczajając się do odgłosów domu i zewnętrznego świata. Potem otworzyłem książkę, którą mi pożyczył kapłan, i zacząłem czytać.

Mój francuski okazał się tak słaby, że przeczytanie pierwszej strony zajęło mi dobre pół godziny, a były to długie przeprosiny autora, Henriego St. Ermina, za banalny styl i brak polotu pisarskiego. Absolutnie się z nim zgodziłem. Pomiąłem więc tekst i zacząłem oglądać sztychy.

Z wolna zrozumiałem, o co chodziło ojcu Antonowi, gdy nazwał anioły strasznymi. W książce znajdowały się ryciny, które przedstawiały anioły, w postaci intensywnego źródła światła, z rozpostartymi skrzydłami. Anioły przypominające drapieżne, dumne bestie. Anioły, których oko ludzkie nigdy nie dojrzało, a które pojawiwszy się nocą w postaci rozszałanych burz, niszczyły domostwa złych ludzi. Z podpisów pod rycinami jasno wynikało, że człowiek musi wezwać do wykonania określonej pracy na ziemi odpowiedniego anioła, w przeciwnym bowiem razie, by posłużyć się metaforą, może się okazać, że podłączył dwudziestowatową żarówkę do elektrowni atomowej. Jeden z podpisów ostrzegał przed „aniołem, który przychodzi w płaszczu z chmur, pełnym twarzy tych, co zgrzeszyli i żalowali za grzechy”.

Na dworze, pośród śnieżycy, zegar kościelny wybił drugą. Zamknąłem więc tę mało krzepiącą bajkę na dobranoc, wyłączyłem światło i położyłem się, starając się zasnąć. W ciemności budynek zdawał się głośniejszy niż przy zapalonym świetle. Na strychu ponad mną to coś smygalo, to się szamotało, a krokwie i stemple trzeszczały i skrzypiały, narzekając niczym powykręceni przez artretyzm starszankowie zapełniający poczekalnie lekarskie.

Zasnąłem może na jakieś dziesięć minut i obudziłem się słysząc, jak mój zegarek cyka obok na nocnym stoliku. Dom ucichł wreszcie i znowu zmorzył mnie sen, ale tym razem zacząłem majaczyć. Śniłem, że otwieram niezliczoną liczbę drzwi w jakimś ponurym budynku, a za każdymi z tych drzwi czai się coś strasznego. Prawie nie byłem w stanie unieść dłoni, aby nacisnąć klamkę, ale zmuszała mnie do tego jakaś potworna ciekawość, co też takiego tam się kryło. Za dziesiątymi czy jedenastymi drzwiami znalazłem wąski korytarz. Na końcu owego korytarza stał ktoś zwrócony do mnie plecami. Ktoś malutki jak dziecko.

Zacząłem posuwać się do przodu na miękkich nogach, chcąc zobaczyć, kto to taki. Przez cały czas wiedziałem, że jest to coś przerażającego, ale jakaś siła gnała mnie naprzód, musiałem iść.

Gdy podszedłem bliżej, owa postać odwróciła się ku mnie. Przez krótką chwilę widziałem twarz z wyszczerzonymi, koźlimi zębami i obrzydliwymi żółtymi ślepiami. Przerażony obudziłem się natychmiast i stwierdziłem, że siedzę w łóżku na baczność, spocony i dygocący z zimna, z koszulą omotaną wokół stóp. Zegar wybił trzecią.

Włączyłem światło i wysunąłem się z łóżka. Przez chwilę nasłuchiwałem, ale dom wydawał się względnie cichy. Może wydarzenia poprzedniego dnia nadszarpnęły mi nerwy.

Podszedłem na palcach do drzwi i przycisnąłem ucho do drewnianej wykładziny. Słyszałem jedynie lekki, jakby smutny jęk przeciągu, który bezustannie grasował po domu, stukając okiennicami i dzwoniąc w żyrandolach, oraz pospolite skrzypnięcia klepek i zawiasów.

Dom przypominał stary okręt płynący poprzez rozkołysany ocean, pozbawiony zupełnie ryb.

–*Monsieur* - szepnął głos.

Odsunąłem się od drzwi, zeszywniały ze strachu. Byłem przekonany, że głos dolatywał z

zewnątrz, tuż zza drzwi. Głos był suchy, bezpłciowy, należał albo do starej kobiety, albo do dziwnaczego eunucha. Gdy cofnąłem się, szukając bezpiecznego oparcia w łóżku, głos odezwał się znowu:

–*Monsieur*.

–Kto tam?! – zawołałem ochryple. – Czy to wy, ojciec Antonie?

–*Oczywiście* - odparł głos. – *A któż to mógłby być.*

–O co chodzi? Jest późno.

–*To mój dom. Chodzę tam, gdzie chcę.*

Przygryzłem wargę w niepewności.

–Wcale nie jestem pewien, czy jesteś ojcem Antonem.

–A kimże mógłbym być?

–Nie wiem. Belzebubem? Głos zarechotał.

–Może powinieneś otworzyć drzwi, by się przekonać. Czekałem czując, jak serce galopuje mi nierównymi susami w klatce piersiowej. Wkrótce

usłyszałem, jak na zewnątrz coś zaszurało, i głos ponownie się odezwał:

–Monsieur?

–O co chodzi.

–Monsieur, proszę otworzyć. Mam tu coś, co chcę panu pokazać.

–Nie, dziękuję. Leżę w łóżku. Porozmawiamy rano.

–Czy pan się boi, monsieur? Nie odpowiedziałem. To coś lub ktoś, co stało za drzwiami, wcale nie musiało wiedzieć,

jak bardzo się boję. Rozejrzałem się po pokoju w poszukiwaniu jakiegokolwiek broni, wreszcie chwyciłem znad umywalki tani świecznik z metalowego stopu. Nie był specjalnie ciężki, ale dzierżąc go w garści poczułem się lepiej.

–Śliczna dziewczyna, co? - ciągnął głos.

–Która dziewczyna?

–Madeleine.

–Czy nie moglibyśmy porozmawiać o tym jutro? Jestem zmęczony. A w ogóle to chciałbym wiedzieć, kim jesteś.

Głos zaśmiał się.

–Mówiłem. Jestem ojcem Antonem.

–Nie wierzę.

–Nie wierzysz, że księża lubią seks tak samo, jak wszyscy inni ludzie? Nie wierzysz, że gdy patrzę na Madeleine, myślę o urodzie jej ciała? Przy niej robi mi się gorąco, monsieur! O tak, przy niej jestem napalony niczym kozioł w czasie rui! A co, czyżbyś się nie czuł podobnie?

Dygotałem z nerwów. Zrobiłem jeden niepewny krok w kierunku drzwi, stąpając po nagich klepkach, i wrzasnąłem tak głośno, jak tylko umiałem:

–Odejdź! Wynos się stąd! Nie chcę tego słuchać!

Na chwilę wszystko się uspokoiło. Zapadła cisza mącona hulającym przeciągiem. Pomyślałem, że może to coś poszło sobie, ale po chwili odezwało się lepkiem, zadowolonym tonem:

–Wystraszyłem cię, co? Naprawdę cię nastraszyłem!

–Wcale mnie nie nastraszyłeś. Po prostu zakłócasz mi nocny odpoczynek.

Od drzwi ciągnął przez pokój lekki powiew. Nic miałem wątpliwości, że czuję w nim gorzkawy, mdlący smród demona. Może był to tylko skutek mojej wyobraźni. Może to wszystko mi się śniło. Stałem tak, bezbronny, odziany tylko w nocną koszulę i te przekłete, idiotyczne skarpetki, ściskając w dłoni lekuchny świecznik i mając nadzieję, że to, co szeptało zza drzwi, za tymi drzwiami pozostanie albo, jeszcze lepiej, zostawi mnie w spokoju.

–Musimy porozmawiać, monsieur - powiedział głos.

–Wydaje mi się, że nie mamy o czym.

–Ależ oczywiście, że mamy! Musimy porozmawiać o dziewczynie. Nie chcesz porozmawiać o dziewczynie? Nie miałbyś ochoty zasiąść na godzinkę lub dwie. Jak człowiek światowy, i porozmawiać o jej cyckach czy też wewnętrznych fałdkach jej płci?

–Wynos się stąd! Nie chcę tego słuchać!

–Ależ oczywiście, że chcesz. Jesteś zafascynowany. Masz stracha, ale fascynuje cię to.

Moglibyśmy porozmawiać na temat różnych sposobów współżycia dziewcząt ze zwierzętami i płazami. Jaki to ból – i jaka rozkosz! Przecież musimy ją mieć na wielkie zgromadzenie, prawda? Bez niej się nie obejdzie.

Wycofałem się drżąc w kierunku łóżka. To coś, co stało za drzwiami, spowodowało, że czułem, jak te lubieżne słowa pełzały po mnie niby wszy. Palcami szukałem księgi o aniołach, która leżała na stoliku przy łóżku. Wreszcie ją namacałem. Odnalazłem też, powodowany zwykłym przesądnym strachem, właściwym ludziom zacofanym, obrączkę z włosów, którą dała mi Eloise, aby ta strzegła mnie przed diabłami i demonami.

Uniosłem księgę i powiedziałem przez ściśnięte gardło:

–Rozkazuję ci odejść. Jeżeli nie odejdiesz, wezwę anioła, aby cię wypędził. Nie będę zważał na niebezpieczeństwo, po prostu go wezwę.

Głos zachichotał.

–Nie wiesz, o czym mówisz! Wezwać anioła! Jak w ogóle możesz wierzyć w anioły?

–Mogę, ponieważ właśnie zaczynam wierzyć w diabły.

–Uważasz, że jestem diabłem? Zaraz udowodnię ci, że to nieprawda! Otwórz tylko drzwi, a zobaczysz!

Wciąż trzymałem uniesioną księgę. – Ani mi się śni. Jeżeli masz ochotę porozmawiać, porozmawiamy rano. Teraz chcę, abys sobie poszedł. Wszystko mi jedno, czy jesteś ojcem Antonem, czy nie. Zabieraj się!

Przez dłuższy czas trwała tępa cisza. Wreszcie dobiegł mnie cichy stukot. Z początku nie wiedziałem, co to może być, ale kiedy spojrzałem znowu na drzwi, z przerażeniem stwierdziłem, że klucz powoli obraca się w zamku. Jedna po drugiej otwierały się zapadnie zamka, wreszcie mosiężna zasuwka u szczytu drzwi odsunęła się, jakby pociągnięta magnesem.

Gardło mi się ścisnęło. Uniosłem świecznik nad głowę, zamierzając zdzielić najsilniej, jak umiałem to, co kryło się po drugiej stronie drzwi. Klamka opadła. Najpierw drzwi uchyliły się z lekka, by w końcu otworzyć się na oścież. Przez pokój przeszedł dobrze mi znany lekki, gorzkawy powiew.

W korytarzu panowała absolutna ciemność. Budynek drgał niespokojnie. Czekałem i czekałem ze świecznikiem uniesionym nad głowę, ale nic się nie stało. Nikt się nie pojawił. Nikt się nie odezwał.

–Jesteś tam? – zapytałem.

Nikt nie odpowiedział. Przełknąłem i wydawało mi się, że odgłos ten odbił się głośnym echem w świecie.

Postąpiłem krok w kierunku drzwi. Może to coś czekało, żebym za nim ruszył. Może nie powinienem tego czegoś zawieść. Przecież demon to tylko demon. Chrapliwy głos pośród nocy. Szept we wraku czołgu. Nic więcej ponad kupkę rozsypanych kości, które ojciec Anton zamknął we własnej piwnicy.

Dotarłem do drzwi. Najlepiej byłoby skoczyć na drugą stronę korytarza, wówczas zdołałbym się obrócić i pierwszy uderzyć, jeżeli to coś czaiło się przy drzwiach z pazurami.

Odezwałem się głośno, lecz niepewnie:

–Jesteś tam? Odpowiadaj! Jeżeli jesteś tak piekielnie sprytny, to odpowiedz!

Nic tam nie było. W owej chwili panowała taka cisza, że słyszałem, jak cyka zegarek leżący na stoliku przy łóżku. Chrząknąłem.

Ścisnąłem świecznik w dłoni, przysiadłem nieco, wreszcie rzuciwszy się w drzwi

przeskoczyłem po malowanych deskach na drugą stronę korytarza. Obróciłem się podnosząc ramię i napinając mięśnie.

Nie dojrzałem niczego. Korytarz był pusty. Poczułem drżenie zarówno ze strachu, jak i z ulgi.

Prawdopodobnie najsmardziej byłoby zejść i sprawdzić, czy nic się nie stało ojcu Antonowi. Przecież ten szepczący głos twierdził, że jest starym kapłanem, i jeżeli demon w całym domu pootwierał drzwi, to zapewne otworzył też drzwi do pokoju duchownego. Podciągnąłem skarpetki, które opadły mi wokół kostek, i ruszyłem ciemnym korytarzem aż do schodów.

Piętro niżej zmęczony, stary zegar francuski odliczał zimne godziny wczesnego ranka, a ze starego olejnego portretu patrzył smętnie jakiś kardynał o fizjonomii tak szczęśliwej jak łeb stuletniego konia.

Zacząłem schodzić po schodach, szeleszcząc cicho nocną koszulą. W pewnym momencie przystanąłem i nasłuchiwałem, czy nie doleci do mnie nic dziwnego. Raptem zawarczał zegar ścienny i wybił pół godziny. Zamarłem. Ale gdy głos kurantów ucichł, znowu zapanowała cisza. Zszedłem na drugie piętro i skierowałem się korytarzem do sypialni ojca Antona.

W korytarzu było bardzo ciemno. W jakiś nieuchwytny sposób panująca w nim aura wydawała się inna, jakby dopiero co ktoś przeszedł tędy i zmącił chłodne, nocne powietrze. Poruszałem się tak cicho, jak tylko potrafiłem, ale mój oddech zdawał się ogłuszająco głośny. Każda deska w podłodze inaczej skrzypiała.

Gdy dotarłem do połowy korytarza, dostrzegłem jakiś cień na końcu, więc przystanąłem i wyteżyłem wzrok. Trudno było zorientować się w ciemnościach, co to takiego, ale to coś przypominało dziecko. Stało ono odwrócone do mnie plecami, najwyraźniej wyglądając przez niewielkie ołowiane okienko na ośnieżone podwórko. Nie poruszyłem się. Może to dziecko stanowiło złudzenie – tylko nietypową kompozycję światła i cienia. Z odległości dziewięciu metrów wydawało się jednak bardzo rzeczywiste. Wyobraziłem sobie, jak odwraca się ku mnie, i przez krótką chwilę niczym w jakimś koszmarze pojawiła się przede mną koźła twarz z wyszczerzonymi zębami i obrzydliwymi żółtymi ślepiami.

Postąpiłem krok do przodu bardzo ostrożnie. Powiedziałem: – Ty! – ale z gardła wydobył mi się tylko szep.

Postać ani drgnęła. Stała tam, samotna i smutna na swój sposób, niby duch nad doczesnymi szczątkami kogoś, za kogo nikt nigdy nie wypowiedział słów modlitwy. Wciąż patrzyła na podwórze, trwając w bezruchu, niema.

Postąpiłem jeszcze jeden krok i jeszcze jeden.

–Czy to ty? – odezwałem się.

Postać wydawała mi się prawdziwa i cielesna, ale gdy podszedłem bliżej, zakapturzona głowa zamieniła się w cień padający od szczytu okna. Niewielkie ciało rozmyło się w trójkąt bladego światła odbitego od śniegu na podwórzu. Szybko podszedłem do okna i przekonałem się, że nie ma tam nic ani też nikogo.

Rozejrzałem się, ale wiedziałem, że to bezcelowe. Ze strachu głowę miałem nafaszerowaną przesadami, widziałem więc różne rzeczy tam, gdzie ich wcale nie było.

Wróciłem pod drzwi sypialni ojca Antona, odczekałem chwilę, wreszcie cichutko zapukałem.

–Ojcie? To ja. Dan McCook. Nikt się nie odezwał, toteż po chwili zapukałem znowu.

–Ojcie Antonie, śpisz?

Nikt nie odpowiadał. Ostrożnie nacisnąłem klamkę. Drzwi nie były zamknięte, więc popchnąłem je i spojrzałem w ciemności zalegające sypialnię. Pachniało tam naftaliną i jakimś mentolowym specyfikiem, którym kapłan prawdopodobnie nacierał się na noc. Po jednej stronie stała wysoka mahoniowa szafa, po drugiej komoda, a nad nią wisiał duży hebanowy krucyfiks z Chrystusem z kości słoniowej. Naprzeciwko, tuż przy ścianie, stało dębowe łóżko ojca Antona.

Dostrzegłem bladą dłoń na kapie i białe włosy na poduszce.

Przeszedłem bezgłośnie po wytartym dywaniku i stanąłem metr czy dwa na wprost śpiącego. Choć był obrócony do mnie tyłem, wydawało mi się, że wszystko jest w porządku. Zaczynałem już podejrzewać, że dokuczają mi tylko nocne zwidy i brak snu.

–Ojcie? – wyszeptałem. Kapłan nie poruszył się, nie obrócił się ku mnie.

–Tak? – ozwał się jednak. Mocniej ścisnąłem świecznik. Wydawało mi się, że to odezwał się ojciec Anton, choć nie

byłem tego taki pewien. W rozbrzmiewającym głosie wyczułem jakąś oschłość, a także tę sardoniczną nutę, którą już znałem. Podszedłem bliżej do łóżka, by się nachylić i zajrzeć staremu kapłanowi w twarz.

–Ojcie Antonie? Czy to wy?

Kapłan zawahał się sekundę, po czym uniósł się z posłania w taki sposób, jakby podciągały go niewidzialne sznurki. Zwrócił się ku mnie, oczy miał szklane, a siwą czuprynę w nieładzie.

–Co się stało? Dlaczego pan mnie budzi? – odezwał się tym samym nienaturalnym głosem.

Czułem, że coś jest nie w porządku, straszliwie nie w porządku. Dziwny był sposób, w jaki

ojciec Anton siedział w tej swojej białej nocnej koszuli, jak gdyby nie obowiązywała go siła ciężenia, jak gdyby absolutnie nic go nie podtrzymywało. I na dodatek ta reakcja, spokojna, lecz nieprzyjemna. W niczym nie przypominał roztrzepanego starego kapłana. Wydawał mi się niezwykle opanowany, a jego oczy obserwowały mnie tak, jakby należały do kogoś innego.

Cofnąłem się kilka kroków.

–Chyba się pomyliłem – powiedziałem. – Tylko zły sen, to wszystko.

–Pan się boi – rzekł. – Widzę, że pan się boi. A czemuż to?

–To nic – powiedziałem. – Chyba się nie wyspałem, i tyle. Już wracam do siebie na górę...

–Wcale nie musi pan iść. Nie chce pan porozmawiać? O tej porze nocy jestem bardzo samotny, a pan nie?

Twarz ojca Antona była na wskroś biała. Poruszał szczęką mechanicznie sztywno niczym kukła bruchomówcy. Gdy tak z nim rozmawiałem, miałem wrażenie, że patrzę na źle zdubbingowany film.

–No tak – odezwałem się. – Wolałbym jednak sobie pójść. W każdym razie dziękuję.

Ojciec Anton uniósł rękę.

–Nie wolno panu iść. – Obrócił sztywno głowę w kierunku drzwi, które same okręciły się na zawiasach i zamknęły bezgłośnie.

Uniosłem świecznik.

–No, no – pogroził mi ojciec Anton. – Po co ta wojowniczość. Przecież możemy się zaprzyjaźnić. Możemy sobie nawzajem pomóc.

–Wcale nie jesteś ojcem Antonem – odezwałem się cicho.

Kapłan zaśmiał się nagle, odrzucając głowę w tył w geście, który mnie przeraził.

–Oczywiście, że nim jestem. A kogóż to przypominam?

–Nie wiem. Ale nie jesteś ojcem Antonem. Siedź tam lepiej, ja się stąd wynoszę, i nic mnie przed tym nie powstrzyma.

–Dlaczego miałbym cię zatrzymywać? – powiedział ojciec Anton. – Jesteś dobrym i prawym człowiekiem, Pomogłeś mi się wydostać, więc teraz ja tobie pomogę.

Dygotałem, jakbym miał zapalenie płuc. Wciąż trzymałem nad głową świecznik i cofałem się ku drzwiom.

–Tylko trzymaj się z dala ode mnie – ostrzegłem. Ojciec Anton dziwacznie wzruszył ramionami.

–Niech mnie pan źle nie zrozumie, monsieur.

–Świetnie rozumiem. Nie wiem, czym jesteś ani co usiłujesz osiągnąć, ale trzymaj się z dala.

Oczy kapłana załśniły.

–Wiesz, jeżeli nie odnajdziemy tamtych dwunastu, możemy mieć straszliwe kłopoty.

–Jakich tamtych dwunastu?

–Dwunastu braci. Wiesz, że jest nas trzynastu. Przecież ci powiedziałem. Trzynastu. Tak długo byliśmy rozdzieleni, że teraz znowu musimy być razem.

Nadal się cofałem, ledwie powłócząc nogami.

–Nie wiesz, gdzie są? – zapytałem.

Ojciec Anton zakołysał się. Potem podniósł na mnie swe dziwne oczy i powiedział:

–Ukryto ich. Zaszyto i zapieczętowano jak poprzednio. Jedynie mnie z nimi nie zabrano.

A teraz musisz mi pomóc ich odnaleźć. Ty i dziewczyna, razem. Dziewczyna jest nam potrzebna.

Potrząsnąłem głową jak paralityk.

–Nie mam zamiaru pomagać ci w czymkolwiek. Wynoszę się stąd, idę po pomoc.

Ojciec Anton wystawił jedną drgającą nogę spod pościeli, potem drugą. Wstał niepewnie.

Ramiona zwisały mu u boków. Wyszczrzył do mnie zęby. Przez mgnienie oka wydawało mi się, że z ust wysunął mu się wąski, ciemny ozór, rozdwojony jak u węża, ale wnet go schował, i nie wiedziałem, czy przywidziało mi się, czy nie.

–Będziemy musieli odszukać wielebnego Taylora w Anglii – powiedział ojciec Anton

cichym, szeleszczącym głosem. – Potem będziemy musieli dowiedzieć się, gdzie Amerykanie

ukryli pozostałych braci. Mój pan, Adramelech, będzie głęboko zadowolony, mogę cię zapewnić.

Wynagrodzi cię tak, jak nigdy dotąd nie wynagrodził nikogo na ziemi. Możesz otrzymać niepoję

te bogactwa. Możesz mieć władzę tysiąca. Możesz spędzić lata na zaspokajaniu wszelkich żąd

–spożywać najlepsze jadła, pić najprzedniejsze wina, posiadać każdą kobietę, współżyć z kimkolwiek lub czymkolwiek zechcesz, twoja witalność zaś stanie się nieograniczona.

Nie wiedziałem, co mam mówić i robić. Wydawało mi się, że coś całkowicie opętało ojca Antona. Ale czy tak stało się w istocie? Może był to tylko atak nerwowy wywołany nocnymi koszmarami? Może kapłan wziął na noc zbyt wiele pigułek nasercowych czy też za dużo wypił. Nie wierzyłem, patrząc na tego stareńkiego, ledwo trzymającego się na nogach księdza, że rozmawiam z diabłem.

Ojciec Anton niepewnie postąpił krok w moją stronę. Cofnąłem się znowu.

–Ojcie – odezwałem się. – Ojciec jest chory. Niech się ojciec położy na chwilę, a ja wezwę lekarza.

–Chory? – zasyczał. – Nie jestem chory. Jestem wolny.

–Nie waż się zbliżyć! Jeżeli podejdziesz bliżej, będę musiał uderzyć, a wcale tego nie chcę.

–Bawisz mnie – zaszeptał ksiądz. – Ale nigdy nic długo mnie nie bawi. Ojciec Anton nie był zabawny. Na szczęście nie miał wiele sił. Ten, kto w nas wierzy, o wiele łatwiej się poddaje, niż ten, co w nas nie wierzy.

–Opętałeś ojca Antona? Opętałeś go?

–Można tak powiedzieć.

–To znaczy?

Ojciec Anton jeszcze się przybliżył. – Opętanie to jest raczej czymś fizycznym niż psychicznym. Władam w tej chwili ojcem Antonem, ponieważ przejąłem jego ciało.

Zrobiło mi się zimno od złego przeczucia.

–Nie rozumiem. Jak to przejąłeś jego ciało?

Ubrany na białą ksiądz ruszał się niepewnie. Jego twarz była szara i tępa. Gdyby nic te

ciemne, świdrujące oczy, miałbym wrażenie, że patrzę na trupa.

–Człowiek, podobnie jak demon, jest tworem mechanicznym – odezwał się głos, jeszcze mniej przypominający głos ojca Antona. Kojarzył mi się on z tonami dobywającymi się z czołgu, toteż wiedziałem – mimo że usilnie starałem się wytłumaczyć sobie, iż wcale tak nie jest – że to właśnie jest ten diabeł, którego staraliśmy się zamknąć w piwnicy, ten uczeń Adramelecha, który niegdyś przyniósł zarazę i rozpacz do Rouen.

Nie odezwałem się. Ocenilem, że jestem jakieś pięć czy sześć kroków od drzwi. Stary kapłan nadal stapał na sztywnych nogach w moim kierunku.

–Z wewnątrz mogę manipulować jego członkami jak marionetką – powiedział diabeł. –

Mogę patrzeć przez jego oczodoły i oddychać przez jego nozdrza. Tu, wewnątrz, znalazłem bez

pieczne schronienie, monsieur. Ciepłe, krwiste i już słodko pachnące rozkładem. Mógłbym nawet

uwieść tę jego zaszuszoną gosposię za pomocą jego własnego obwisłego penis!

Gapilem się na kapłana z rosnącym przerażeniem.

–Nie łiesz? – zapytałem, mając nadzieję na inną odpowiedź niż ta, której się spodziewałem. – Mój Boże, jeżeli łiesz...

–Twój Bóg nic ci nie pomoże. Nie pomógł ojcu Antonowi.

–No to gdzie jest ojciec Anton? – domagałem się odpowiedzi. – Co z nim zrobiłeś? Sztywna postać przymaszerowała tak blisko, że mogłem dotknąć jej ręką.

–Prawie na nim stoisz – odparł demon szorstkim, gardłowym głosem.

Z początku nie miałem ochoty odwracać wzroku od diabła. Potem szybko musnąłem spojrzeniem podłogę za sobą i dojrzałem coś, od czego ścisnął mi się żołądek i zaczęło mnie mdlić. Obok komody spoczywały śluzowate pasma wnętrzości ojca Antona, nakrapiane skrzepami, ciemnoczerwonymi nerkami i błękitnąwą galaretą wątroby. Diabeł wybebeszył starego człowieka i wpełzł do pustego ciała niby jakiś obrzydliwy pasożyt.

Demon stał bez ruchu. Znowu spojrzałem na niego w przerażeniu, zdjęty mdłościami, i wydusiłem:

–Zabiłeś go.

Diabeł wydał z siebie zadowolony pomruk.

–Raczej wlałem w starego idiotę nowe życie. I tak już był prawie martwy. Serce nie wytrzymałoby, szczególnie po tym, jak przegoniliście go po śniegu.

Zawahałem się, przygryzając wargę. Jeżeli ten diabeł potrafił rozplatać ojca Antona, ze mną mógłby zrobić coś równie potwornego. Szybko skierowałem wzrok na hebanowy krucyfiks zawieszony na ścianie zastanawiając się, czy wszystko, co kiedykolwiek widziałem na filmach o wampirach, jest prawdą. Czy rzeczywiście można odpędzać demony i duchy nieczyste świętym krzyżem?

Wyminąwszy galaretowate szczątki ojca Antona sięgnąłem ponad komodę i zerwałem krucyfiks ze ściany. Potem skierowałem go prosto w twarz demona i wrzasnąłem z taką odwagą, na jaką było mnie tylko stać:

–Odejdź! W imię Pańskie rozkazuję ci odejść!

Jednym silnym uderzeniem stary kapłan wytrącił mi krzyż z dłoni. Zawarczał i zasyczał, i przybliżył się do mnie, a oczy miał ciemne i okrutne jak u krokodyla.

Zamachnąłem się i palnąłem go w twarz świecznikiem. Głowa odskoczyła mu na bok. Podstawa świecznika uszkodziła ciało, ale krew nie popłynęła, ponieważ serce ojca Antona już nie pracowało. Jego ożywiony trup tylko wzruszył ramionami, wciąż idąc naprzód.

–Bawi mnie twoja agresja – wyszeptał. – Zaraz się przekonamy, czy moja cię rozbawi.

Odsuwałem się wiedząc, że nic zdążę do drzwi na czas. Nie odrywałem oczu od szarej, posiniaczonej twarzy ojca Antona i zacząłem żałować, że w ogóle dowiedziałem się o istnieniu tego przeklętego czolgu i że jeszcze na dodatek zachciało mi się go otwierać.

–Taka szkoda, wiesz – powiedział ojciec Anton. – Tak wiele mógłbyś mi pomóc. Prze trwałem przez stulecia tylko dzięki temu, że chroniłem się przed ludźmi moralnymi i sumienni mi. Obawiam się, że będę musiał zrobić z tobą to samo co z tamtymi.

Została mi już tylko jedna deska ratunku. Sięgnąłem do kieszeni nocnej koszuli i wyciągnąłem małą włosianą obrączkę, którą dostałem od Eloise, a która miała świadczyć o spłaceniu przeze mnie powinności wobec członków hierarchii piekielnej.

Zapadła napięta cisza. Ojciec Anton wzniosł oczy, patrząc na włosy z nieskrywane złowrogim

wyrazem twarzy. Przez chwilę myślałem, że wyrwie mi je i odrzuci na bok jak krucyfiks. Ale znowu pojawił się ten rozdwojony język, który przesunął się z boku na bok, jakby z obawą. Kapłan obserwował mnie przenikliwie i złowrogo. Byłem tak zdenerwowany, że nie mogłem się odezwać.

–No cóż – powiedział ojciec Anton, nie spuszczać ślepi z obrączki. – Widzę, że nie

jesteś aż tak naif, jak mi się wydawało. Nie jesteś wiedźmą ani nekromantą, a mimo to masz przy

sobie loczek pierwородnego. Ciekaw jestem, w jaki sposób dostał się w twoje ręce?

–Nie twoja sprawa. Po prostu trzymaj się ode mnie z daleka.

Ojciec Anton jak automat podniósł drgające łapy w geście pojednania.

–Po co mielibyśmy się kłócić, monsieur. Po co bić. Ale musisz pamiętać, że tylko raz możesz się zasłonić tą włosianą obrączką. Potem, za każdym razem, gdy się nią posłużysz, będziesz musiał złożyć w ofierze Molochowi innego pierwородnego. Władza tego pierścienia zniknie wraz ze światłem jutrzejszego dnia.

–Nic mnie to nie obchodzi. Do tego czasu znajdziesz się za kratkami.

Ojciec Anton znowu rzucił łbem i zaśmiał się w głos. Potem bez jakiegokolwiek ostrzeżenia drzwi rozwarły się i zamknęły z hukiem, a okna eksplodowały gradem szklanych odłamków. Pofrunęły zdarte z łóżek prześcieradła, w domu wył wściekły huragan stukając sprzętami po pokojach.

Najgorsze było to, że razem z meblami huragan porwał ciało ojca Antona z rozkrzyżowanymi ramionami i miotał nim we wszystkich kierunkach. Wreszcie wyjący wicher rzucił je twarzą w lustro toaletki, a ostre szklane zadziory rozplatały oblicze kapłana, jakby było ono tuszą kurczęcia.

Huk zelżał. Opuściłem ramię, którym zakryłem sobie oczy. W pokoju panowały głębokie ciemności, chociaż przez łopoczące zasłony przebijała się już z zewnątrz smuga szarego światła odbitego od śniegu. Przez powybijane szyby wpadało intensywne zimno.

W przeciwległym rogu, na dębowym słupku łóżka ojca Antona siedziało coś niewielkiego i niewyraźnego jak cień. Nie widziałem tego dobrze, dostrzegłem jednak kikutowate różki i oczy skośne jak u kozła. Gdy to coś przemieszczało się na swojej grzędzie, doleciał mnie szelest podobny do szmeru wydawanego przez suchą, wyprawioną skórę.

–Monsieur – zaszeptał cień.

–O co chodzi? – zapytałem zmrożony.

–Muszę cię ostrzec, monsieur, abyś mi więcej nie przeszkadzał. Następnym razem nic cię nie zdoła ochronić.

–Następnego razu nie będzie – wtrąciłem.

–Monsieur – powiedział diabeł. – Zamierzam odnaleźć moich braci z twoją pomocą czy bez. Chociaż, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, a co złe, zrobisz wszystko, aby mi pomóc.

–A co z Madeleine?

–Ona też musi z nami pójść.

–To nie wchodzi w grę. Diabeł zaszeleścił niby papier stary jak samo piekło.

–Dobijemy targu – wyszeptał. – Jeżeli pomożecie mi odnaleźć moich braci, ty i

Madeleine, zwrócę temu staremu idiocie życie.

–Koszmarne!

Diabeł zaśmiał się.

–Koszmar to słowo wymyślone przez ludzi, które prawie zawsze stosuje się do opisanie diabelskiej działalności. Tak, w tym sensie to koszmarne. Ale Adramelech potrafi coś takiego zrobić.

–A ty? Czy ty byś to potrafił?

–Nie, ja nie mam takiej władzy.

Zważyłem świecznik po raz wtóry w dłoni. Zastanowiłem się, co też mógłby uczynić ten diabeł w czasie, jaki byłby mi potrzebny do przedostania się na drugą stronę pokoju i zmiecenia go z grzędy.

–Wydawało mi się, że tylko Bóg ma taki dar – powiedziałem.

Diabeł poruszył pazurami.

–Życie to nie dar, mój przyjacielu. To przekleństwo. Adramelech świetnie potrafi rzucać takie przekleństwa.

Miałem zupełnie sucho w ustach.

–Jak mam ci wierzyć? Ufać? – zapytałem.

Przez chwilę trwała cisza. Zimowy wiatr uniósł i opuścił zasłony. Przez parapet sypnęło

kilkoma płatkami śniegu. Diabeł poruszył się i odezwał owym dobrze mi znanym, gardłowym, bezpłciowym głosem.

–Przecież nie wątpisz w moje umiejętności?

Ostrożnie ruszyłem po zawiniętym chodniku, chcąc podejść do diabła jak najbliżej.

–Wątpię w to, że istniejesz – powiedziałem. – Wątpię w to, że jesteś czymś więcej niż zwykłym, złym snem.

Diabeł zarechotał.

–Patrz – powiedział. – Tylko popatrz.

Zaległa cisza. Cienie zasłon wznosiły się i opadały niby skrzydła przerażających stworów.

Raptem dom przeszył wysoki, straszliwy krzyk. W chwilę potem usłyszałem stukot przewracanych mebli i brzęk tłuczonego szkła. Krzyk ów zaś przeszedł w jęklive wycie nasuwające na myśl zwierzę w agonii.

Obróciłem się. Znowu z trzaskiem rozwarły się drzwi. Z głębi korytarza doleciał mnie najpierw cicho pohukujący powiew powietrza, a potem odgłos czyichś potykających się stóp i bolesne pojękiwania.

Trzasnęła elektryczność i pokój zalała powódź jasnego, błękitnawego światła, które natychmiast zgasło. Zagrzmiało tak intensywnie, że omal nie upadłem. Znowu wściekle rozbłysło światło, jeszcze jaśniej niż za pierwszym razem. W szeroko otwartych drzwiach pojawiła się jakaś postać z desperacko uniesionymi ramionami, z twarzą w białych plamach demonicznego światła. Była to stara służąca Antoinette w nocnej koszuli zalanej strugami krwi, z ciałem – ręce, nogi, brzuch – naszpikowanym nożami, widelcami, nożyczkami i prętami do szaszłyków. Zupełnie jakby wszystkie ostre przedmioty z całego domu wyleciały z szuflad i się w nią wbiły.

Głos starej kobiety zginął w następnym grzmocie, gdy jęknąwszy: – Ojczy Antonie, ratuj mnie! – padła na kolana ze szczękiem nożyc i trzonków sztućców.

Oszołomiony i wściekły zwróciłem się do diabła:

–Taką masz władzę? Szlachtujesz stare kobiety? Przeklęty maniak!

Tym razem głos dobiegł do mnie z innego miejsca – z wierzchołka ciemnej mahoniowej szafy na ubrania, na którym niczego nie mogłem dostrzec.

–Gdyby to się panu przydarzyło, monsieur, przyznałby pan, że mam władzę. Albo Madeleine. Mógłbym sprawić, aby coś takiego przytrafiło się Madeleine. Wszystkie widły i wszystkie

noże do kastracji wbiłyby się w jej ciało w sekundę. Na jedno pana słowo.

–Kim jesteś? Jakiego rodzaju diabłem? – zapytałem dygocąc.

Demon roześmiał się.

–Jestem Elmek, znany też pod imieniem Asmorod, władca noży, sztyletów i brzytw.

Podoba ci się moje dzieło, ty, co płonąć tłumionym gniewem dzierzysz tępą maczugę.

Cisnąłem świecznikiem tam, skąd dolatywał mnie głos diabła, ale trafiłem w drzwi szafy i moja broń opadła bezużytecznie ze stukotem na podłogę.

–Stoi przed tobą wybór, monsieur – oznajmił diabeł. – Albo będziesz mi pomagać, al

bo będziesz mi przeszkadzać. Jeżeli mi pomożesz, Adramelech ci to wynagrodzi. Jeżeli zechcesz

mi przeszkadzać, zapewniam cię, że te trupy pozostaną trupami, a twoja bezcenna Madeleine zamieni się w siekane mięso.

Przycisnąłem dłonie do czoła. Słyszałem, jak Antoinette dusi się i zachłystuje własną krwią, ale nic nie mogłem zrobić. Jeżeli starałbym się dłużej opierać diabłu, posiekałby wszystkich na kawałki, nie wyłączając Madeleine, Eloise i Jacquesa Passerelle’a. A następnie, odczekawszy, aż słońce wzejdzie i zajdzie, usiekłby mnie! Doszedłem do wniosku, że muszę uspokoić demona, by uzyskać możliwie jak najwięcej czasu. Poszukiwania dwunastu demonicznych braci mogłyby ewentualnie potrwać kilka miesięcy, a w tym czasie znalazłbym może jakiś sposób, by go unicestwić egzorcyzmami na dobre.

Spuściłem oczy starając się nadać twarzy odpowiednio zrezygnowany i posłuszny wyraz.

–Dobra – powiedziałem. – Umowa stoi. Co mam robić?

Diabeł zaszleścił z zadowolenia.

–Miałem nadzieję, że dostrzeżesz sensowność mojej argumentacji. Rzeczywiście jesteś dobrym i prawym człowiekiem.

–Ja tylko staram się uratować kilka osób – odparłem.

–Ależ oczywiście. To godne pochwały. W życiu tyle jest godnych pochwały dokonań i wielka szkoda, że zazwyczaj są one przyczyną bólu. Ja jestem diabłem samobójców, co sobie podrzynają gardła albo przecinają żyły na nadgarstkach, wiedziałeś o tym? Czuję się zawsze uhonorowany, gdy ktoś się tak ładnie potnie.

–Powiedz mi tylko, co mam robić.

–Oczywiście – rzekł diabeł. – Wszystko w swoim czasie.

–Co ja mam zrobić z tymi ciałami? Co będzie, jeżeli zaczniesz wypytywać mnie policja?

–To bardzo proste. Gdy stąd wyjdziemy, dom spłonie. Nie będzie to wielki pożar, ale wystarczająco duży, by strawił wszystko, co znajduje się w tym pokoju oraz w pokoju na końcu korytarza, gdzie sypiała ta dama. Dojdzie do wielkiej tragedii. Wszyscy zmartwią się tym, że zginął stary ksiądz, ale przecież był już taki niedołężny. Może upuścił świecę na kapę, a może z kominka wypadło na dywanik polano. Nikomu nie przyjdzie do głowy, by ciebie o cokolwiek pytać. Nie masz żadnego motywu, który mógłby skłonić cię do czegoś takiego, toteż nikt nawet nic pomyśli, że miałeś z tym coś wspólnego.

–Na litość Chrystusa, przecież ja ich wcale nie zabiłem!

–Ach, ilu morderców tak się zaklinało! – zaśmiał się diabeł. – Ile czarownic zapewniało o swojej niewinności! Ilu hitlerowców twierdziło, że wykonywali jedynie rozkazy!

Zacisnąłem usta twardo rozkazując sobie w duchu, żeby trzymać lęk i gniew mocno na uwięzi. Gdyby ten diabeł kiedykolwiek powziął podejrzenie, że cała ta moja współpraca to jedynie pozory, prawdopodobnie w ułamku sekundy pociąłby mnie na szaszłyki. Wciąż miałem przed oczyma potworny obraz Antoinette i wiedziałem, że ów las noży i nożyczek będzie śnił mi się po nocach po kres mych dni. Od drzwi nie dobiegał już żaden dźwięk, toteż uznałem, że stara kobieta wyzionęła ducha.

–W jaki sposób przedostaniesz się do Anglii? – zapytałem diabła.

Elmek milczał chwilę.

–W piwnicy jest kufer wzmocniony miedzią i ołowiem – powiedział w końcu. – Niegdyś używano go do przewozu szat i kielichów liturgicznych, wtedy kiedy król udawał się w podróż po kraju i składał wizyty w zamkach francuskich baronów. Z przyjemnością skorzystam z tego środka lokomocji, choć może to brzmieć ironicznie. Dziś po południu zajmiesz się organizowaniem przeprawy przez kanał. Musisz tylko wyjąć kufer z piwnicy i zabrać go ze sobą.

–A jeżeli chcąc nie chcąc zapomnę o tobie? Jeżeli zostawię cię tutaj?

–Wtedy zostaną tutaj te dwa trupy, a twoja bezcenna Madeleine umrze najstraszliwszą

śmiercią, jaką mi się uda obmyślić. I ty również.

Na zewnątrz strzaskanego okna niebo zaczynało szarzeć. Nadchodził świt.

–Dobrze – zgodziłem się. – Jeżeli tego żądasz.

–Właśnie tego żądam. Z przyjemnością spotkam się po raz wtóry z wielebnym Taylorem. Stałem w zrujnowanym pokoju i zastanawiałem się, co powinienem teraz zrobić. Włosianą

obrączkę miałem wciśniętą na palec. Nie byłem w stanie rozejrzeć się po otaczającej mnie jatce. W ustach czułem gorzkawy smak żółci.

–Możesz odejść. Ubierz się – powiedział demon. – Im prędzej przygotujesz się do podróży, tym lepiej.

Uniosłem głowę i spojrzałem w mroczny róg, gdzie skrył się mój prześladowca.

–Gdybym w ciebie nie uwierzył, gdybym wyparł się tego, że w ogóle istniejesz – czy zniknąłbyś?

Elmek znowu się roześmiał.

–Gdybym nie uwierzył w twoje istnienie, gdybym wyparł się tego, że w ogóle istniejesz, zniknąłbyś?

Otarłem dłonią spoconą i brudną twarz. Czułem się tak źle, byłem tak zrozpaczony, jak nigdy dotąd w życiu.

Do gospodarstwa Passerelle'ów dotarłem tuż po siódmej, walcząc z zimną, gęstą mgłą. Zaparkowałem citroena na błotnistym podwórzu, podszedłem do drzwi stajni i zapukałem. Pojawił się czarno-biały pies o skołtunionych kudłach, który obwąchawszy moje kolana odszedł powoli i zniknął za rogiem obory.

W drzwiach stanął Jacques Passerelle, wycierając dłonie w ręcznik. U paska zwisały mu szelki, a przy lewym uchu widniała kropka białej pianki do golenia. Palił gauloise'a i kasłał.

–Pan McCook? *Qu'est-ce se passe?*

–Czy zastałem Madeleine? To pilne.

–Doi krowy. Tam, trzecie drzwi z tamtej strony. Źle pan wygląda. Noc szaleństw?

–Nie uwierzy pan, ale spędziłem tę noc u ojca Antona. Jacques roześmiał się.

–Ci księża! Są gorsi od reszty!

Ominąłem najtłuszcjsze błotne koleiny i dotarłem do obory. Wewnątrz było ciepło, pachniało piżmem i krowami. Madeleine siedziała na stołeczku. Miała na sobie niebieską chustkę,

dzinsy i ubłocone gumki. Ze znajomością rzeczy pociągała za sutki wymienia krowy, a cienkie strużki mleka dzwoniły o boki aluminiowego wiadra. Na chwilę wsparłem się o wrota obory.

–Madeleine – powiedziałem wreszcie.

Podniosła głowę zdziwiona. W roboczych łachach czuła się na luzie, wyglądała świeżo i wyjątkowo pociągająco. W normalnych okolicznościach nie byłbym w stanie się jej oprzeć.

–Dan! *Quelle heure est-il?*

–Siódma dziesięć.

–Dlaczego przychodzisz tak rano? Czy coś się stało?

Skinąłem głową, usiłując zapanować nad sobą. Byłem w szoku, mdliło mnie.

–Nie wiem, jak ci to powiedzieć – wydusiłem wreszcie z siebie.

Przerwała pracę i odstawiła wiadro na brukowaną posadzkę. Miała bladą, spiętą twarz, wyglądało na to, że niewiele więcej ode mnie spała.

–Ojciec Anton? Nic mu się nie stało? – zapytała. Poruszyłem głową.

–Czy on nie...

Byłem tak wycieńczony, że oparłem głowę o framugę wrót, a odezawszy się ledwie zdołałem wykrzesać z siebie głuchy, umęczony, monotony głos. Czuję się tak, jakby wypruto ze mnie wnętrzości niczym ze śledzia i odsączono na sicie.

–Diabeł wy dostał się w jakiś sposób z piwnicy. Usłyszałem go w nocy. Zszedłem na dół.

Zabił ojca Antona! Potem na moich oczach zabił Antoinette, żeby udowodnić swoją moc!

Madeleine podeszła do mnie i dotknęła mojego ramienia.

–Dan! Ty nie mówisz poważnie! Proszę!

Podniosłem głowę i spojrzałem na nią.

–Jestem poważny. Byłem tam. Widziałem rozplatanego ojca Antona, widziałem, jak

umierała Antoinette. Twierdzi, że zwie się Elmek i że jest władcą ostrych noży. Oznajmił, że jeśli

nie pomożemy mu odnaleźć jego braci, posieka nas na kawałki.

–Nie wierzę.

–No, to uwierz do cholery, bo to prawda! Jeżeli nie masz ochoty skończyć jak Antoinette, wymyśl jakąś wymówkę dla ojca i nastaw się na bezterminowe wczasy.

Zmarszczyła brwi.

–O co ci chodzi?

–O to, że pozostało nam tylko tyle czasu, ile zechce nam darować ten diabeł. Nalega, abyśmy pomogli mu znaleźć jego braci. Mamy szansę na przeżycie tylko wtedy, jeżeli będziemy udawać, że z nim współpracujemy. On chce dziś po południu jechać do Anglii. Jeżeli wyruszymy o ósmej, zdążymy prawdopodobnie na prom w Dieppe.

Madeleine zdawała się absolutnie oszołomiona.

–Dan, ja nie mogę tak po prostu wyjechać! Co mam powiedzieć papie? Przecież jestem tu po to, by mu pomagać!

Czułem się tak zmęczony i zdenerwowany, że miałem ochotę płakać.

–Madeleine – naciskałem. – Nie prosiłbym cię o to, gdybyśmy nie mieli noża na gardle. Jeżeli ty nie masz zamiaru tłumaczyć się przed ojcem, to ja będę musiał pójść do niego i powiedzieć mu prawdę.

–Ależ, Dan, to się wydaje takie nierealne.

–A nie uważasz, że myślę tak samo jak ty? – zapytałem. – Nie uważasz, że wolałbym zająć się swoją cholerną robotą i zapomnieć o tym, że coś takiego w ogóle się wydarzyło? Widziałem jednak wszystko na własne oczy, Madeleine. Demon istnieje i oboje ryzykujemy życie.

Blade normañskie oczy wpatrywały się we mnie z powagą. Wreszcie Madeleine powoli zsunęła chustkę z włosów i powiedziała:

–Ty mówisz poważnie.

–O tak, do jasnej cholery, mówię poważnie.

Spojrzała przez drzwi na mgliste podwórze. Za wzgórzami, za bezlistną koronką gałęzi

wiązów, nad Suisse Normande jarzyło się pośród szarych chmur słońce.

–No dobrze – powiedziała. – Powiem ojcu. Spakuję się w pół godziny.

Ruszyłem za nią roztrącając we wszystkie strony stado ubłoconych gęsi. Weszliśmy do domu. Jacques Passerelle stał w korytarzu wyłożonym czerwonymi płytkami, usiłując zrobić we włosach równy przedziałek. Madeleine podeszła do niego od tyłu i objęła go w pół. Spojrzał na jej twarz w lustrze i uśmiechnął się leciutko.

–Skończyłaś już dojenie? – zapytał.

Potrząsnęła głową.

–Bardzo mi przykro, ale Dan przyjechał z pilną sprawą. Muszę na kilka dni wyjechać do Anglii.

Stary Passerelle zmarszczył brwi. – *Angleterre? Pourquoi?* Madeleine spuściła oczy.

–Nie umiem kłamać. To ma coś wspólnego z czołgiem. Musimy zdobyć pewne informacje dla ojca Antona.

Jacques odwrócił się i przytrzymał córkę za rękę.

–Czołg? Dlaczego musicie jechać do Anglii z powodu czołgu?

–Ponieważ tam jest ten ksiądz, ojciec. Wielebny Taylor, ten, co był tutaj podczas wojny. On jest jedynym człowiekiem, który zna prawdę o czołgu.

–Nie zabawimy długo, monsieur Passerelle – dodałem. – Najwyżej tydzień. Potem, przysięgam, odwiozę pańską córkę z powrotem do domu.

Jacques potarł swój błyszczący, wygolony podbródek.

–Nie wiem, co powiedzieć. Ten czołg przynosi tylko kłopoty, same kłopoty.

–Niech mi pan wierzy, ta wyprawa oznacza jego koniec. Jak tylko wrócimy z Anglii, więcej pan o nim nie usłyszy. Nigdy.

Jacques Passerelle pociągnął nosem. To, co powiedziałem, nie sprawiło na nim żadnego wrażenia. Zwrócił się do Madeleine i zapytał:

–Dlaczego właśnie ty? Czy pan McCook nie mógłby pojechać sam? Wydaje mi się, że zawsze robisz różne rzeczy, które powinni robić inni. A co z ojcem Antonem?

Madeleine spojrzała na mnie z prośbą w oczach. Wiedziałem, że nie chce opuszczać ojca i gospodarstwa w samym środku zimy. Ale potrząsnąłem głową. Ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę, to znowu sprzeciwić się temu diabłu. Obrączka z włosów będzie mnie chronić tylko do zachodu słońca, potem stanę się tak samo bezbronny, jak Madeleine.

–Monsieur – powiedziałem. – Naprawdę musimy jechać oboje. Przykro mi.

Wieśniak westchnął.

–Cóż, trudno, jeżeli musicie, Zatelefonuję do Gastona Jumeta i poproszę go, żeby przez ten czas pomagała mi Henriette. Mówicie tydzień, nie dłużej?

–Okolo tygodnia – powiedziałem, chociaż nie miałem pojęcia, ile czasu zajmie nam odnalezienie dwunastu niesławnych braci Elmeka.

–No dobrze – powiedział, pocałował córkę i uściskał mi dłoń. – Jeżeli to sprawa tak bardzo ważna. A teraz zapraszam pana na calvados i kawę.

Gdy Madeleine pakowała się, siedziałem w kuchni przy stole z Passerelle'em i Eloise. Na zewnątrz znowu zaczęło śnieżyć. Padał rzadki, mokry śnieg, który powoli zsuwał się po szybach

okiennych. Rozmawialiśmy o gospodarstwie rolnym, o krowach, o tym, co należy robić, kiedy rzepa zaczyna pleśnieć w ziemi.

Po chwili Jacques Passerelle jednym haustem wypił swój calvados, otarł usta nakrapianą chusteczką i oznajmił:

–Muszę wracać do roboty. Do końca tygodnia powinienem zaorać dwa pola. Życzę wam dobrej podróży. *Bon voyage.*

Uściskał mi dłoń i znikł w korytarzu. Tam naciągnął gumowce i grubą kurtkę. Ostrożnie zamieszałem kawę, czekając, aż ojciec Madeleine znajdzie się poza zasięgiem głosu, po czym powiedziałem:

–Eloise?

Stara kobieta skinęła głową.

–Wiem.

–Wiesz? Skąd wiesz?

Nic nie powiedziała, ale sięgnęła do kieszeni fartucha i wyjęła z niej zniszczoną fotografię w kolorze sepii, przedstawiającą młodego kleryka, który trzymał w garści słomkowy kapelusz,

mrużąc oczy od słońca.

Długo przyglądałem się zdjęciu, wreszcie stwierdziłem:

–Ojciec Anton.

–Tak, monsieur – odrzekła Eloise. – Znałam go wiele lat. W młodości byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Tak bliskimi, że wcale nie musieliśmy mówić, aby się porozumieć. Wczorajszej nocy ojciec Anton przemówił do mnie w pewien sposób. Obudziwszy się w nocy poczułam, że go straciłam. Wiedziałam, że nie żyje.

–Nie powiedziałaś Jacquesowi?

–Nikomui nie powiedziałam. Nie byłam pewna, czy to prawda. Miałam nadzieję, że nie. Ale gdy zobaczyłam ciebie, zrozumiałam wszystko.

Wyjąłem włosianą obrączkę, którą od niej dostałem. – Słuchaj, Eloise! Czy nie masz więcej takich włosów? – zapytałem.

Podniosła siwą głowę i przyjrzała mi się przez zaproszone mąką szkła.

–Chcesz więcej? Czemu?

–Diabeł jest na wolności, Eloise. To on zabił ojca Antona. On też chce, abyśmy pojechali do Anglii.

–Chce?

–Jeżeli nie zrobimy tego, czego żąda, zakłuje nas na śmierć. Madeleine i mnie. Zwie się Elmek i jest diabłem noży.

Eloise drżącymi dłońmi wzięła ode mnie zdjęcie ojca Antona. Była tak poruszona, że przez chwilę nie mogła mówić. Nalałem jej szklaneczkę calvadosu. Wypiła połowę, zakasłała, a potem spojrzała na mnie z twarzą tak straszliwie odmienioną, że się sam wystraszyłem.

–Czy cierpiał? – wyszeptała. – Czy biedny ojciec Anton cierpiał?

–Nie wiem. Wydaje mi się, że nie. Ale widziałem, jak umierała Antoinette, jego gospodyni. Skończyła w straszliwych boleściach.

–Co się teraz stanie? Co zrobimy?

–Niewiele możemy zrobić prócz tego, co nam każe. Diabeł spali ciała, aby nikt się nie dowiedział, co tam się stało. Eloise, to niezmiernie ważne, abyś nikomu o tym nie wspomniała.

Eloise płakała.

–A co z Madeleine? – zapytała, ocierając oczy fartuchem. – Czy demon nie skrzywdzi

Madeleine?

Wziąłem ją za rękę.

–Nie, jeżeli będziemy robić to, co nam każe. Przede wszystkim jednak muszę się dowiedzieć, w jaki sposób można go unicestwić za pomocą egzorcyzmów. Tymczasem musimy robić to, co chce, to jest pomagać mu w odnalezieniu jego dwunastu braci.

–Tylko jedną rzeczą mogę wam pomóc – powiedziała Eloise. – Zaczekaj chwilę.

Sztywno wstała z krzesła i przeszła po kaflowej posadzce do kredensu. Otworzyła jedną z

szuflad, przez chwilę szukała czegoś przesuwając blaszane pudełka i słoiki, wreszcie wydobyla niewielką puszczkę z wydrukowaną na wieczku nazwą popularnych francuskich pastylek na ból gardła. Przyniosła pudełko do stolika i ostrożnie je otworzyła.

Zajrzałem do środka. Nic znalazłem tam nic ciekawego, ledwie parę szczypt czegoś, co przypominało szary proszek.

–A to co? – zapytałem.

Eloise zacisnęła wieczko i podała mi puszkę.

–Powiadają, że to prochy szaty, w którą Chrystus był odziany, gdy Go krzyżowano. Nie mam potężniejszej relikwii.

–Co to może działać? Czy zdoła nas ochronić?

–Nic wiem. Niektóre relikwie mają rzeczywiście właściwości magiczne, inne są zwykłymi oszustwami. To wszystko, co mogę zrobić, wszystko, co mogę wam dać.

Eloise odwróciła się z oczami pełnymi łez. Nie wiedziałem, co zrobić, by ją pocieszyć. Wsunąłem pudełko z prochami do kieszeni i dokończyłem kawę. Kuchenny zegar wybił ósmą. Wiedziałem, że musimy się śpieszyć, jeśli chcemy złapać popołudniowy prom do Newhaven.

Madeleine zeszła po schodach trzymając w ręce walizkę. Wstałem od stołu i wziąłem ją od niej. Poglądziłem Eloise po ramieniu na pożegnanie.

–Co się stało? Dlaczego Eloise płacze? – zapytała Madeleine.

–Wie, co przytrafiło się ojcu Antonowi. I martwi się, że to samo spotka ciebie. Madeleine natchyliwszy się ucałowała staruszkę.

–Nie martw się – powiedziała. – Nie zajmie nam to wiele czasu. Pan McCook będzie się mną opiekował.

Eloise smętnie pokiwała głową.

–Chodź – odezwałem się. – Bo się spóźnimy. Wyszliśmy na podwórze. Wrzuciłem walizkę Madeleine do bagażnika. Mokry śnieg okrył nas niby wilgotny welon. Musieliśmy zabrać jeszcze jedną sztukę bagażu – średniowieczny kufer z piwnicy ojca Antona.

Wsiadliśmy do samochodu. Uruchomiłem silnik i ruszyłem. Podskakiwaliśmy na wąskich, oblodzonych drogach. Ogrzewanie pracowało na cały regulator, a wycieraczki z piskiem szorowały szybę tam i z powrotem.

Chociaż Francuzi zazwyczaj wstają rano, nie zauważyliśmy nikogo w wiosce dojeżdżając do domu ojca Antona. Zatrzymałem się przed wejściem, wysiadłem z samochodu, obszedłem go i otworzyłem drzwi Madeleine.

–Co mamy tutaj zrobić? – zapytała wysiadając.

–Diabeł – powiedziałem ponuro. – Musimy go zabrać ze sobą.

–Zabrać ze sobą? Nie rozumiem.

–Po prostu chodź i pomóż mi. Później ci wszystko wytłumaczę.

Madeleine przyjrzała się domowi. Zauważyła zbite okno w sypialni ojca Antona i łopoczące, wijące się na wietrze zasłony.

–Czy ojciec Anton jest tam na górze? A Antoinette? Skinąłem głową.

–Musimy się śpieszyć. Gdy tylko stąd wyjedziemy, diabeł podpali dom. Madeleine przeżegnała się.

–Powinniśmy wezwać policję, Dan. Nie możemy na to pozwolić. Wziąłem ją za nadgarstek i pociągnąłem w kierunku domu.

–Dan, tak powinniśmy postąpić! Nie można tak po prostu zostawić ojca Antona!

–Słuchaj – powiedziałem oschle. – Nie mamy wyboru. Jeżeli nie zrobimy tego, co każe

nam Elmek, zginiemy tak samo, jak tych dwoje. Czy rozumiesz? A poza tym to jedyny sposób na

to, żeby ojciec Anton przeżył.

Otworzyłem i popchnąłem ciężkie drzwi.

–Jak to? – zapytała Madeleine. – Jeśli on nie żyje, w jaki sposób miałby przeżyć?

Spojrzałem jej prosto w twarz.

–Ponieważ zawarłem pakt z diabłem. Jeżeli pomożemy Elmekowi odnaleźć tych dwunastu braci, wszyscy trzynastoro zawezwą demona Adramelecha, którego Elmek poprosi o ożwiwienie ojca Antona i Antoinette.

Madeleine stanęła jak wryta.

–Chyba w to nie uwierzyłeś?

–A w co miałem wierzyć? Widziałem tego diabła, Madeleine. Widziałem go na własne oczy. Widziałem Antoinette naszpikowaną nożami. Widziałem ojca Antona wypatroszonego niczym tusza wołowa.

–O Boże – powiedziała niskim, przejmującym głosem. – Ja tego nie wytrzymam.

–Musisz. Chodź.

Razem weszliśmy w długi, lśniący, dudniący echem korytarz. Zdjąłem z haka klucz od piwnicy, otworzyłem drzwi i wprowadziłem Madeleine w stęchlą ciemność. U dołu schodów znalazłem kontakt i włączyłem światło.

Miedziano-ołowiany kufer czekał na nas. Był ogromnie stary, zakurzony, prostokątny, zamknięty na trzy miedziane skoble. Miał może sześćset czy siedemset lat. Ozdobiono go miedzianymi intarsjami koni, jeźdźców w hełmach i lilijek.

–Czy to właśnie to? – szepnęła Madeleine. – Czy tam wewnątrz jest diabeł? Skinąłem głową.

–Będziesz musiała pomóc mi go podnieść. Jak myślisz, udźwigniesz?

–Od tygodni doję krowy i sprzątam obory. Chyba jestem dość silna. Pełni złych przeczuć podeszliśmy do kufra i stanęliśmy po bokach. Potem każde z nas

chwyciło wygiętą rączkę w obie dłonie i powoli unieśliśmy kufer nad posadzkę piwnicy. Był ogromnie ciężki. Ważył chyba ze sto kilo, a my musieliśmy jeszcze przenieść go do schodów, a potem wywlec na górę stopień po stopniu, aż na korytarz.

Trzy czy cztery minuty zajęło nam wyniesienie kufra na podwórze. Wcześniej już otworzyłem tylne drzwi Citroena, żeby kufer od razu zapakować.

Gdy przekładałem swoje walizki, Madeleine krzyknęła:

–Popatrz! Popatrz na to!

Tam, gdzie stał kufer, śnieg topniał. Nie utrzymał się ani jeden płatek. Zupełnie jakby śnieg unikał ze strachu naszego złowrogiego pakunku.

–Jeszcze tylko ten raz – powiedziałem suchymi ustami. Dźwignęliśmy kufer i umieściliśmy go w bagażniku.

Spojrzałem na zegarek. Jeżeli pojedziemy route nationale, tą która prowadzi z Caen, dotrzemy do Dieppe mniej więcej za trzy godziny. Zamknąłem bagażnik na klucz i wsiedliśmy do samochodu.

–Nie musisz brać w tym udziału, jeżeli nie chcesz – zwróciłem się cicho do Madeleine.

–Chodzi mi o to, że jeśli nie wierzysz, iż ten diabeł naprawdę jest zdolny wyrządzić ci krzywdę, możesz zaryzykować i zostać w domu.

–To znaczy?

Wzruszyłem ramionami.

–Nie jestem pewny. Ale zawsze czułem, że diabły mają tyle mocy, ile jesteśmy skłonni im przypisywać. Gdybyśmy nie bali się Elmeka, może nie byłby w stanie zrobić nam krzywdy.

Madeleine potrząsnęła głową.

–Ja w niego wierzę, Dan. Wierzę dłużej niż ty. I to przeze mnie zaczęło się to straszliwe zabijanie. Dlatego uważam, że moim obowiązkiem jest wytrwać do końca.

–Sama wybrałaś – powiedziałem, uruchamiając silnik. Wydostawszy się z zaśnieżonego podwórza, przejechałem pustymi, mroźnymi ulicami Pont D’OUILLY. Raz po raz spozierałem w lusterko na obły kształt średniowiecznego kufra. Chciałem także sprawdzić, czy z domu ojca Antona nie wydobywa się już dym. Kufer pozostał jednak niemy i zamknięty, a po kilku minutach jazdy wijącymi się drogami wioska zniknęła za drzewami i pagórkami, toteż tym razem nie zobaczyłem w akcji tajemniczych mocy Elmeka.

–Przykro mi, Dan – westchnęła Madeleine. – Gdybym tylko wiedziała.

–Jeszcze im pokażemy – odparłem. – Elmekowi i Adramelechowi, i całej tej przeklętej

bandzie.

Ale gdy zerknąłem na złowieszczy, wielki, antyczny kufer, wcale nie czułem się tak pewny siebie. Nawet nie potrafiłem odgadnąć, jakie koszmarnie okropieństwa planuje jego obrzydliwy mieszkaniec.

Przede mną pojawił się sprzedawca cebuli, jadąc zygzakami na rowerze. Ze złością nacisnąłem klakson.

–Cochon! – ryknął i pogroził mi pięścią, a potem zniknął za zasłoną śniegu.

Dieppe było szare i odrapane. Niczym się nie różniło od innych miasteczek portowych nad kanałem. Zatrzymaliśmy się na brukowanym rynku tylko na kilka minut, by wymienić parę franków na funty angielskie. Zbliżała się pora obiadu i mieliśmy wiele szczęścia, że zdążyliśmy do banku przed przerwą. We Francji obiad traktuje się z powagą. Potem ruszyliśmy w kierunku promu, mijając po drodze grupki kafejek i sklepików dla turystów oraz barów o nazwach w rodzaju „Le Bar Anglais” czy „Le Bar Churchill”, w których Anglicy na jednodniowych wycieczkach zostawiali swe ostatnie franki w zamian za bardzo pospolite *vin ordinaire*. Minąwszy żurawie i doki, płataninę kontenerów i ciężarówek, skręciliśmy wreszcie tam, gdzie na morzu kolorem przypominającym jasnozieloną zupę cumował czarnobiały statek z kominem pomalowanym na czerwono.

Kupiłem bilety i czekaliśmy nerwowo dwadzieścia minut w kolejce, zanim nasz citroen wpuszczono po metalowej rampie do wnętrza statku. Zaparkowaliśmy samochód w ładowni zapchanej mercedesami, audi i renault. Potem wspięliśmy się na górny pokład, by przetrwać trzy-ipółgodziną przeprawę.

Podróż morską przez kanał La Manche do Newhaven należy do najnudniej szych, jakie znam. Weszliśmy do restauracji, zamówiliśmy zupę z porów i cielęcinę w wystygłym sosie. Cały czas warczały silniki, a morze unosiło się i opadało na zewnątrz oszronionych solą okien.

–Coś ucichłeś – powiedziała Madeleine. Wycierałem talerz po zupie kawałkiem czerstwego francuskiego chleba.

–Myślałem o zeszłej nocy.

–Naprawdę było aż tak strasznie?

–Tak się bałem, że nie mogłem ruszyć ani ręką, ani nogą, jeśli o to ci chodzi. Popatrzyła przez okno.

–Czy uważasz, że moglibyśmy zniszczyć demona egzorcyzmami? Czy istnieje na niego jakiś sposób?

–No cóż, może wielebny Woodfall Taylor zna na to pytanie odpowiedź, jeżeli oczywiście wielebny Woodfall Taylor jeszcze żyje.

–O Boże, miejmy nadzieję.

Podano nam mięso i rozgotowane jarzyny do wyboru. Przynajmniej w tej pływającej restauracji serwowano przyzwoite wino. Dostała się nam butelka ciężkiego margaux o wspaniałym bukicie, które o mało co nie uśpiło mnie zapachem. Jadłem, ponieważ byłem głodny, ale każdy kęs smakował jak drewno.

–Może dałoby się po prostu wyrzucić kufer za burtę? – zapytała Madeleine.

Upiłem wina.

–Może tak. Ale nie wydaje mi się, aby diabły tonęły, a tobie? A jeżeli nas zabije, zanim uda się nam go wyrzucić? Albo potem? A poza tym powstrzymałaby nas prawdopodobnie załoga

statku. Kto lubi, by wyrzucać dziwne pudła do kanału.

Madeleine odłożyła widelec, chociaż prawie nie ruszyła cielęciny.

–Dan – powiedziała. – Ja się boję.

–Masz do tego absolutne prawo.

–Nie, Dan. Ja się naprawdę boję. Jakby miało się stać coś strasznego. Spojrzałem na nią z nad swojego kieliszka i nie wiedziałem, co powiedzieć. Nic mogłem

udawać, że będzie lepiej, ponieważ wszystko wskazywało na to, że będzie gorzej. Nawet nie mogłem udawać, że miałem jakiś plan, by nas wydostać z opalów. Grałem jedynie na czas, mając wciąż tę świadomość, że Elmek bez względu na okoliczności złoży nas oboje w ofierze Adrame-lechowi. Czemu miałby dotrzymać słowa, skoro w każdej chwili mógł nas rozsiekać na strzępy, my zaś byliśmy wobec niego zupełnie bezsilni? Statek kołysał się miarowo, a zastawa – solniczki, szklanki i popielnice – stukotała, dzwoniła i drżała w nieustannej kantacie.

Później staliśmy przy barierce i patrzyliśmy, jak nabiera ostrości biała smuga angielskiego wybrzeża. Najpierw pojawiło się siedem kredowych klifów nazywanych Siedmioma Siostrami, a potem łagodne zbocze, opadające ku zachodowi, do plaży Seaford i portu Newluwen. Prom obrócił się, by wejść rufą do niewielkiego portu. Ktoś niezrozumiale oznajmił po francusku przez głośniki, aby zejść do samochodów.

Mieliśmy podłe humory, gdy schodziliśmy pod pokład, gdzie stały zaparkowane samochody. Ani ja, ani Madeleine nie mieliśmy ochoty wracać do piekielnego stworu pozostającego pod

naszą opieką. Nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem, gdy czekaliśmy na otwarcie klapy w rufie promu, i żadne z nas nie obejrzało się do tyłu, aby spojrzeć na ciemny średniowieczny kufer, w którym gnieździł się diabeł. Wewnątrz promu czułem się tak, jakby te tony metalu nade mną miały zaraz opaść i mnie zgnieść.

Wreszcie dano sygnał do wyjazdu. Popołudnie było jasne i szare. Wiała wilgotna bryza z nad morza. Celnik przywołał nas gestem do wolnej zatoczki. Miał pogodną twarz. Podjechałem i zatrzymałem się.

Madeleine otworzyła okno od swojej strony. Celnik nachylił się ku niej. Charakteryzowała go ta typowa nieustępliwa grzeczność pracownika angielskich urzędów celnych, która zawsze wyprowadzała mnie z równowagi. Angielski celnik różni się nieco od lakonicznej paniusi w futrze z lotniska Johna Fitzgeralda Kennedy'ego, żującej gumę i domagającej się otworzenia wszystkich waliz.

–Jak długo państwo zamierzają pozostać w Wielkiej Brytanii? – zapytał.

–Nie wiem. Może tydzień, dwa.

–Urlop?

–Tak, właśnie.

Przysłonił sobie oczy, żeby go nie raziło odbite światło, i zajrzał od tyłu do samochodu. Potem obszedł wóz i nachylił się przy moim oknie. Otworzyłem je i siedziałem bez ruchu mając nadzieję, że to, co wykwitło mi na ustach, imituje spokojny i usłużny uśmiech.

–Czy zdaje sobie pan sprawę z tego, że nie wolno przemycać żywych zwierząt do Zjednoczonego Królestwa?

Pokiwałem głową jak idiota.

–Ależ oczywiście, wiem. Chodzi o wścieklicznę, tak?

–Właśnie, sir. A teraz, czy zechciałby mi pan powiedzieć, co ma pan w tym pudle, sir.

–Pudle? Ach, chodzi panu o kufer.

–Tak, sir.

–Nic takiego. Różne takie drobiazgi. Jestem kolekcjonerem antyków. Mam tam kilka książek, jedną czy dwie figurki. Drobiazgi.

Celnik zanotował sobie coś w zeszyciku z twardą podkładką. Potem piórem wskazał nam boczną zatoczkę. Stała już w niej para Niemców i mercedes, który przeszukiwano dokładnie.

Właśnie miałem coś dodać, gdy celnik zmarszczył brwi, przyjrzał mi się, a potem zaczął się rozglądać, jakby coś zgubił.

–Czy wszystko w porządku? – zapytałem. Potrząsnął głową, jakby stracił wątek.

–Tak, sir. Miałem coś powiedzieć, ale nic pamiętam co.

Nerwowo oblizałem wargi i rzuciłem spojrzenie na Madeleine. Przez chwilę panowała cisza.

–Bardzo dobrze, sir – powiedział wreszcie celnik. – Życzę panu miłego pobytu. – I

przykleił nalepkę na przednią szybę citroena. Włączyłem zapłon i wyjechaliśmy na miasto.

Gdy już nie widzieliśmy dźwigów portowych i statków, gwizdnąłem przeciągle z ulgi.

–Diabeł! – zaszepotała Madeleine. – Musiał wiedzieć, co się dzieje! Czy widziałeś, co zrobił z mózgiem tego faceta? Oczyszczył go zupełnie!

Szybko zerknąłem na brudny kufer ołowianej barwy. Począł mnie tak denerwować, że z tych nerwów wydawało mi się, iż swędzi mnie skóra, a prawe oko drga w nie kontrolowanym tiku. Nawet nie usiłowałem sobie wyobrazić, jak wygląda to coś, co siedzi tam w środku. Wystarczająco dużo widziałem w półmroku sypialni ojca Antona, wystarczająco wiele nasłuchiwałem się skrobania pazurów, szelestu ciała i schrypniętego, przesyconego złem, gardłowego głosu.

Jeździliśmy bez celu po Newhaven, które niewiele zdawało się sympatyczniejsze od Dieppe. Zewsząd otaczały nas marne domki z czerwonymi dachami i bramami w pierwiosnkowym koloru. Pośród nich tkwiły magazyny i sklepy.

–Co teraz zrobimy? – zapytała Madeleine.

–Nie wiem. Powinniśmy zapewne znaleźć jakiś hotel. Zerknęła na zegarek.

–Spróbujmy się dowiedzieć, gdzie mieszka wielebny Taylor, zanim poszukamy hotelu.

Puby są otwarte. Chodźmy się najpierw czegoś napić i coś zjeść, a potem pójdziemy do

miejsca

wej biblioteki. W Anglii mają takie wydawnictwo, które zawiera aktualny spis kleru. To

„Crockford”. Jeżeli wielebny Taylor jeszcze żyje, znajdziemy tam jego nazwisko.

Zaparkowaliśmy citroena na miejskim parkingu i przeszliśmy przez ulicę kierując się w stronę wielkiego, ciemnego wiktoriańskiego pubu „U Księcia Walii”. Cuchnęło w nim rozlanym piwem i tłuszczem do smażenia. Usadowiliśmy się przy rżniętym oknie, popijając angielskie jasne o

nazwie „Skol” i jedząc zimne paszteciki z parówkami, w których nie było parówek. Gastronomii angielskiej nie ma co równać z francuską. Gospodarz lokalu, grubas w kraciastej koszuli, z wąsami jak mors, stał za kontuarem nalewając sobie jedno piwo za drugim i prowadził

dyskurs nad względnymi zaletami A23 i A24, a były to, jak się okazało, szosy. Jedną z największych obsesji Anglików, oprócz krykieta, są drogi. Gdy sprawdzicie na własnej skórze stan ich dróg, zrozumiecie dlaczego.

Po tej skromnej uczcie poszliśmy szukać biblioteki. Okazało się, że mieści się ona w niewielkim budynku z czerwonej cegły niedaleko parkingu. Urzędująca w niej stara panna w jasno-błękitnym swetrze, w okularach, szykowała się już do zamknięcia biblioteki. Znalazła nam jednak egzemplarz „Crockforda” i położyła na swoim stole z twarzą tak cierpiącą, jakby była rezusem, który nabral w pysk octu. Przeglądaliśmy spis tak szybko, jak się tylko dało, ona tymczasem naciągnąwszy płaszcz wyłączyła światła w głębi sali.

Lecz nawet w takim pośpiechu udało się nam znaleźć to, czego szukaliśmy: Taylor, Percy Woodfall. Wikariusz u Świętej Katarzyny, wieś Strudhoe, niedaleko Lewes.

–To on! On! – wyszeptała Madeleine. – Jeszcze żyje!

Podniosłem głowę i zawołałem bibliotekarkę.

–Przepraszam panią, ale czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie leży Lewes? Czy to da leko stąd?

Sapnęła i pociągnęła nosem, a potem przyjrzała mi się, jakbym był niespełna rozumu.

–To osiem mil stąd. Trudno tam nie trafić. Znajdują się tam ruiny zamku.

–A Strudhoe?

–Cóż, doprawdy, to jeszcze bliżej. Jakies trzy mile stąd, jadąc drogą do Lewes, po prawej stronie. Między główną szosą a rzeką.

Zwróciłem się twarzą do Madeleine. Byłem chyba tak samo błądy jak ona. Jeżeli wielebny Taylor mieszkał tak blisko i jeżeli wielebny Taylor wiedział, gdzie umieszczono dwunastu braci Elmeka, mieliśmy szansę skończyć z tą groteskową, koszmarną sprawą jeszcze tego samego wieczoru.

Zimą dolina rzeki Ouse, płynącej przez Sussex, jest szara od mgły, toteż z trudem można dostrzec zarysy podłużnych grzbietów okolicznych wzgórz, które otaczają ją z obu stron. U szczytu doliny widnieją nieporządne dachy Lewes i czarne ruiny zamku. Gdzieś stamtąd wypływa Ouse i biegnie, chłodna i bezbarwna, pomiędzy wysokimi brzegami ku morzu. Gdy wyjechaliśmy z Newluwen w kierunku północnym, trzymając się zachodniego brzegu rzeki, było już za ciemno na to, by cokolwiek widzieć, ale rozpoznawaliśmy zamazane kształty kęp drzew i połacie topniejącego na polach śniegu.

Cały czas miałem otwarte okno w samochodzie. Angielska wieś zimą ma swój własny charakterystyczny zapach, zmieszany z ostrą wonią dymu drzewnego od ognia palonego na kominku. We Francji zaś zamrożone pola zawsze cuchną nawozem i szronem. Madeleine wyteżęła wzrok, aby nie przeoczyć znaku kierującego do Strudhoe, nerwowo przypominając mi, bym trzymał się lewej strony jezdnii. W bagażniku miedziano-ołwiany kufer obijał się z cichym, lecz złowieszczym stukotem o boki samochodu, gdy ten podskakiwał na krętych drogach.

–Jest! – powiedziała Madeleine. – Tam! Następna w prawo!

Spostrzegłem, jak w żółtym świetle francuskich reflektorów błyska i znika drogowy znak.

Nacisnąłem hamulec. Zakręt skrył się prawie zupełnie za zwisającymi gałęziami i wąskim kamiennym murem. Gdy zjeżdżałem z głównej szosy na drogę do wioski, poczułem się tak, jakbym zagłębiał się w króliczą norę.

Powoli minęliśmy bielone domy z dachami krytymi starym glinianym gontem, maluteńkie, otoczone murkami, ogródki i wąskie, brukowane cegłą chodniki. Wioska składała się z dwudziestu, może trzydziestu domów. Niemal wszystkie były wiekowe. Mało brakowało, a przejechałbym wieś i pojechał dalej, w pola, ale w porę uświadomiłem sobie, że dojechaliśmy na miejsce. Zatrzymałem samochód i zaciągnąłem ręczny hamulec.

–Ciekawa jestem, gdzie jest plebania – powiedziała Madeleine.

–Nie wiem. Chyba prościej będzie wysiąść i poszukać jej pieszo. Madeleine wyciągnęła rękę i mocno mnie ścisnęła.

–O Boże, Dan, boję się. Wyłączyłem silnik. Dopiero wówczas usłyszeliśmy ciche, subtelne szmery wydobywające

się z kufra w bagażniku. Siedzieliśmy spięci i niemi, patrząc na siebie w przerażeniu. Wtem rozległ się straszliwy, szeleszczący szept Elmeka.

–*Blisko, nieprawda?* Nie odpowiedziałem. Elmek naciskał.

–Blisko, nieprawda? Madeleine skinęła na mnie, zachęcając do odpowiedzi. Odezwałem się z wysiłkiem:

–Tak. Tak, jesteśmy blisko.

–Spisałeś się dobrze. Szybko odszukałeś wielebnego Taylora. Wynagrodzę cię, przecież wiesz. Obdarzę cię mocą, którą będziesz mógł łamać kręgosłupy, jeśli zechcesz. Albo wbijać noże i brzytwy w dziewczęta. Sprawiłoby ci to przyjemność, co?

Przymknąłem oczy w desperacji, ale Madeleine ścisnęła moją dłoń i szepnęła:

–Powiedz tak, Dan. Wystarczy powiedzieć tak.

–Tak, Elmeku – powiedziałem głośno. – Sprawiłoby mi to przyjemność. Elmek zaśmiał się.

–Teraz pójdziesz szukać wielebnego Taylora? - rzekł. – Czuję go! Jest blisko!

–Tak, pójdziemy go poszukać.

–Ale nie zrobisz nic niemądrego, prawda? Jestem pewien, że w domu wielebnego Taylora jest tak dużo noży, jak u ojca Antona. Tylko wspomnij Antoinette. Ale wrzeszczała! Jakież te wszystkie noże i różna sprawiały jej ból!

Przełknąłem z trudem.

–Tak – wykrztusiłem. – Sprawiały. Bardzo wielki ból.

Diabeł zaśmiał się miękkim, skrzypiącym głosem, od którego ciarki przeszły mi po plecach.

–Chodźmy, Madeleine – powiedziałem. – Chodźmy odnaleźć wielebnego Taylora. –

Otworzyłem drzwi samochodu.

Gdy wysiadałem, Elmek szeptał ze swojego zamkniętego kufra:

–Pamiętaj, słońce już zaszło! Twoja włosiana obręczka już cię nie chroni! Postępuj rozważnie!

Wygramoliłem się z samochodu. Nocne powietrze było zimne. Na wprost rogu starego, oszalowanego deskami domu stała pojedyncza latarnia, mętnie świecąc przez czapę z mgły. Od pobliskiej rzeki ciągnął przejmujący do szpiku kości ziąb, a powietrze poruszało się, jakby ocierały się o nas niewidzialne duchy. Zakasłałem.

Razem szliśmy stromą ulicą. Rozglądaliśmy się w prawo i w lewo, ale wioska zdawała się opuszczona. Dalej, po drugiej stronie rzeki, oświetlone okna migwały pośród drzew.

–Tu jest tabliczka, Dan – powiedziała Madeleine.

Spozierałem w mgłę. Na jednym z kamiennych murów wisiała białą malowana tabliczka z

napisem: „Kościół pod wezwaniem Świętej Katarzyny. Plebania”. Wskazywała pod górę, w mrok. Na chwilę odwróciłem się, by spojrzeć na naszego Citroëna, zaparkowanego pod kątem obok niskiego żywopłotu.

–Dobrze – rzekłem. – Lepiej pójdźmy zobaczyć, czy wielebny Taylor jest w domu.

Miałem takie uczucie, jakbym przeżuwał włochate gąsienice. Wyciągnąłem rękę i pochwyciłem dłoń Madeleine, Szliśmy tak wolno, że już wolniej nie było można. Po kilku zaledwie krokach pojawił się za domami kościół – stary, z wieżą, z bramą okrytą mchem i cementarzem pełnym poprzekrzywianych nagrobków. Tuż obok stała plebania w stylu królowej Anny, wyłożona od frontu lśniącymi czarno-niebieskimi ceglami. Z okien szedł ciepły blask. Białą werandę porastało bezlistne wino. Imponujące drzwi wejściowe lśniły czernią niczym trumna.

Przeszliśmy przez ulicę i podeszliśmy do werandy tak cicho, jak się dało. Wydawało się nam, że popełnilibyśmy świętokradzwo, gdybyśmy przemaszerowali przez ową mglistą angielską wioskę, głośno rozmawiając. Madeleine pochyliła się, chcąc odczytać grawerowaną tabliczkę przytwierdzoną do drzwi. – To tu, Dan – szepnęła. – Wielebny Percy Woodfall Taylor.

Przyciągnąłem ją do siebie i ucałowałem w policzek. Pachniała francuskimi perfumami i mydłem.

–Masz zimny nos – powiedziała.

Uniosłem ciężką mosiężną kołatkę i uderzyłem dwukrotnie. Po drugiej stronie ulicy ktoś włączył światło w sypialni,

Usłyszałem, jak wewnątrz otwierają się i zamykają drzwi. Ktoś szedł do wejścia. W zamku obrócił się klucz i na chodnik padła smuga światła, a w szczelinie pojawiła się twarz starszego człowieka.

–Słucham?

–Czy to pan jest wielebnym Woodfallem Taylorem? – zapytałem niepewnie.

–Tak, to ja. Czy chciał się pan ze mną widzieć? Zakasłałem.

–Przykro mi, że przeszkadzam, ale muszę z księdzem porozmawiać o pewnej bardzo ważnej sprawie.

Starzec przyjrzał mi się podejrzliwie. Zdołała go grzywa białych, sztywnych włosów. Twarz miał w rumieńcach, jak gdyby dobrze wypolerowaną, tak charakterystyczną dla angielskiego kleru. Anglikańscy duchowni zawsze kojarzyli mi się ze skrzynką kalifornijskich jabłek. Szyję starego człowieka obejmowała koloratka. Na nogach miał bambosze. Jego wyświecone szare spodnie wyglądały tak, jakby prasował je pod materacem. Z obu stron nosa widniały głębokie wgniecenia od okularów. Prawdopodobnie dlatego wpatrywał się teraz we mnie tak uważnie.

–Pan jest Amerykaninem? – zapytał wikariusz głosem o nienaganej wymowie. – Czy jesteście mormonami? Obawiam się, że mormonom nie mam nic do powiedzenia.

–Nie jestem mormonem, proszę księdza – zapewniłem.

–Przyszedłszy w sprawie sił nieczystych – wtrąciła Madeleine.

Kapłan obrócił ku niej mięsistą głowę o mocno zarysowanych szczękach w sztywnej koloratce i zamrugał powiekami.

–To bardzo dziwne.

–Dziwne? Czemu? – zapytałem. Zacząłem podejrzewać, że starzec, podobnie jak Eloise, przeczuwał coś, czy może nawet odebrał psychiczne przesłanie.

–No cóż – westchnął wielebny Woodfall Taylor. – Byli tu panowie w tej sprawie we wtorek.

Patrzyłem na niego, a on na mnie, nic nie rozumiejąc.

–Chodzi państwu o nieczystości, tak? Służby komunalne opróżniały szambo we wtorek.

O to chodzi?

Gdyby nie to, że sprawa Elmeka ciążyła mi niezmiernie, chyba bym się roześmiał.

–Nie takie nieczystości mamy na myśli. Chodzi nam o siły nieczyste zamknięte w czołgu.

Tym czołgu, nad którym ksiądz modlił się podczas wojny w Normandii. – Tylko tyle zdołałem z siebie wydusić.

Usta otworzyły mu się z wolna, jakby jakaś niewidzialna, silna dłoń ciągnęła mu szczękę w dół.

–W Normandii? Czółg w Normandii? – odezwał się zdumiony. Pokiwałem głową.

–Czółg otwarto, proszę księdza. Diabeł wy dostał się na wolność. Patrzył na mnie tak, jakby oglądał horror w zwolnionym tempie. Potem otworzył drzwi na

oścież i niemal wwlókł nas do środka, do zagraconego przedpokoiku, w którym stały stojak na parasole, wielki zegar i wieszak, obwieszony księżymi przeciwdeszczowcami i kapeluszami. Zatrzasnął za nami drzwi i zamknął je na klucz.

–Lepiej chodźcie do pokoju – powiedział zmartwiony i wprowadził nas do saloniku. –

Mojej żony nie ma, ponieważ dziś wieczorem organizuje akcję wśród urzędników parafialnych

na rzecz instytutu kobiecego. Prawdopodobnie tak jest lepiej.

W saloniku pachniało dymem fajkowym i płonącymi polanami. Przed szerokim, otwartym kominkiem smażył się rudopomarańczowy kot i stały trzy mocno zużyte fotele. Jedną ze ścian zajmowały rzędy książek typu: „Z siecią i pojemnikiem zbieracza w Lahore” czy „Droga Chrystusa”, tom IX, a nad kominkiem wisiał olejny obraz w błotnistych kolorach pogórza Sussex Downs ukazanego od strony Fulking.

–Proszę siadać, proszę. Zaraz poproszę gosposię, żeby zrobiła kawy. Mam też whisky, jeżeli państwo wolą.

–Wspaniały pomysł, whisky – odparłem. – Przyjechaliśmy z Francji dzisiaj rano.

Wielebny podszedł do antycznego kredensu i wyjął trzy szklanki różnego kształtu. Do każdej nalał nie rozcieńczając wodu 69, a potem przyniósł je w drżących dłoniach do kominka. Swoją porcję przełknął z miejsca i otarł wargi pogniecioną chusteczką.

–Na zdrowie! – powiedział.

–Potrzebujemy księdza pomocy – odezwała się Madeleine. – Wiemy co nieco o diable, ale niewiele. Jego obecność odbiła się straszliwie na naszej wiosce.

–No tak – rzekł wielebny Taylor. – Mówiłem im, że to się źle skończy. Powtarzałem setki razy. Ale nie, nie słuchali. Mówili – zrób swoje, a my zajmiemy się tym, co do nas należy.

–My, czyli kto? – zapytałem.

Wielebny Taylor przyjrzał mi się zdziwiony.

–Ależ, mój drogi chłopcze, absolutnie nie mogę ci tego powiedzieć. To wykluczone. Obowiązuje mnie ustawa o tajemnicy państwowej i póki nie otrzymam innych instrukcji, muszę jej przestrzegać.

–Proszę księdza – wtrąciłem. – Nie chciałbym, aby to zabrzmiało jak groźba, ale ta młoda dama i ja jesteśmy w poważnym niebezpieczeństwie związanym z owym czło-
giem. Obawiam się, że trzeba będzie posłać w diabły ustawę o tajemnicy państwowej.

Zaległa cisza. Jedno z polan trzaskających na kominku obsunęło się i spadło, pryskając iskrami w górę.

–Obawiam się, że właściwie nigdy nie rozumiałem znaczenia tego zwrotu – odparł wie-
lebny Taylor.

Madeleine nachyliła się mocno.

–Proszę księdza – powiedziała z naciskiem. – Musi ksiądz nam pomóc. Diabeł grozi, że nas zabije, jeżeli nie pomożemy mu odnaleźć jego braci.

–Zwie się Elmek – dodałem cicho. – Demon ostrych noży. Jeżeli nie uda się nam połączyć wszystkich trzynastu diabłów, zginiemy najgorszą ze śmierci.

Wikariusz opadł na fotel wciskając plecy w oparcie. Spoglądał to na Madeleine, to na mnie.

–Wiecie o tym, prawda? Już o tym wiecie?

–Nie o wszystkim. Znamy tylko kilka szczegółów, do których udało nam się dotrzeć we Francji, wiemy też to, czego domyślał się ojciec Anton.

–Ojciec Anton! – Twarz wielebnego Taylora się rozjaśniła. – Nie miałem pojęcia, że on jeszcze żyje! To zadziwiające! Jak się czuje? Był tak dobry dla mnie podczas wojny. To prawdziwy dżentelmen wśród kleru.

–Ojciec Anton zginął zeszłej nocy, proszę księdza. Zginął, kiedy Elmek wy dostał się na wolność.

Wielebny Taylor spuścił oczy.

–Och – westchnął bardzo cicho. – Tak mi przykro.

–Proszę księdza – odezwałem się. – Ucierpi więcej osób, jeśli ksiądz nie zechce nam opowiedzieć o tych diabłach. Ojciec Anton uważał, że najprawdopodobniej chodzi o te trzynaście diabłów, które terroryzowały Rouen w 1045 roku. Egzorcyzmował je Cornelius Prelati i pozaszy-wał w worki, ale ojciec Anton niczego ponadto już się nie dowiedział.

Wielebny Taylor smutno wytarł nos.

–Mądry człowiek z ojca Antona. Tak, miał absolutną rację. Chodzi o trzynaście diabłów z Rouen. *Les treize diables de Rouen.*

–Ale w jaki sposób dostały się one do amerykańskich czołgów? – zapytała Madeleine. – Nic z tego nie rozumiem.

Wielebny wzruszył ramionami.

–Sam niewiele rozumiem. To wszystko wydarzyło się bardzo dawno temu, kiedy byłem jeszcze gorliwym, młodym wikariuszem i właśnie otrzymałem parafię w Sussex.

–Czy może nam ksiądz o tym opowiedzieć? – poprosiłem. – Zatrzymamy to dla siebie, skoro ksiądz rzeczywiście martwi się ustawą o tajemnicy państwowej.

Wielebny Taylor podniósł na mnie wzrok.

–Cóż, chyba nie stanie się nic złego, i tak już ogromnie dużo na ten temat wiecie. Czy zechcą państwo jeszcze whisky? Nie? Ale ja sobie naleję.

Czekaliśmy w milczeniu, gdy wikariusz nalewał dla siebie jeszcze jednego drinka. Po chwili wrócił do nas, siadł przy ogniu i zatopił źrenice w rozżarzonych wgłębieniach pieńków i gałęzi niczym człowiek wspominający piekło.

–Musicie wiedzieć, że ta część Sussex najdotkliwiej ucierpiała podczas inwazji Normanów w 1066 roku. Zajęto całą dolinę, a Lewes stało się siedzibą Williama de Warrenne’a, jednego z najbardziej zaufanych dowódców Wilhelma Zdobywcy. De Warrenne zbudował w Lewes zamek, a na południowych stokach miasta kazał wznieść ogromne zabudowania, które weszły w skład jednego z największych ośrodków kościelnych w Anglii. W swoim czasie był on potężniejszy nawet niż katedra w Canterbury.

Wielebny Taylor przełknął pół szklanki whisky i otarł wargi rękawem.

–Oczywiście, gdy Henryk VIII zerwał z Rzymem, parafię zlikwidowano, a większość kamienia z zabudowań miejscowi rozkradli na domy. Przez całe wieki plebania skrywała niektóre

ze swych sekretów. Dopiero gdy inżynierowie zaczęli rozkopywać w czasach wiktoriańskich teren pod budowę kolei do Brighton, odkryto wiele interesujących rzeczy.

Spojrzałem na tarczę zegara stojącego na kominku. Wybiła ósma. Zastanawiałem się, na jak długo wystarczy cierpliwości Elmekowi siedzącemu w średniowiecznym kufrze. Madeleine dotknęła mojej dłoni, nie miałem więc wątpliwości, że myśli o tym samym.

–Najpierw odnaleziono grobowiec – ciągnął wielebny Taylor – żony Williama de Warrenne’a, Gundrady. Dotąd nie wiadomo, gdzie została pochowana. O tym odkryciu wiele mówiono i pisano. Ale doszło też do odkrycia, które przemilczano. Kopiając głębiej natknięto się na zapieczętowany loch, wyrżnięty w kredowej skale. Znalaziono w nim trzynaście ogromnie starych worków z kośćmi.

–Trzynaście diabłów – wyszeptała Madeleine.

–Właśnie – przytaknął wikariusz. – Trzynaście diabłów, uczniów Adramelecha. A ze słów wrytych na pokrywie lochu wynikało, że przywiózł je zza morza, z Rouen, William de Warrenne. Były to diabły wojny, ukryte w dziwacznych zbrojach. Wypuszczono je pod Senlac, tam gdzie rozegrała się bitwa o Hastings, a one rzuciły się na Harolda i jego angielskich żołnierzy z taką wściekłością, że ci przegrali bitwę zaledwie w kilka godzin.

Wielebny Taylor zwrócił się ku mnie, a jego rumiana twarz stała się jeszcze czerwiejsza od ognia.

–Zapewne znacie tę opowieść, jak to łucznicy Wilhelma śląc strzały w powietrze dosięgli

Anglików. Tyle że to wcale nie były strzały. Były to diabły. A owa bestia, co wydarła Haroldowi

oczy, wywodziła się z piekieł.

Wyjąłem papierosa, pierwszego w tym dniu, i zapaliłem.

–Przecież działo się to dziewięćset lat temu – zauważyłem. – Co ksiądz może mieć z tym wspólnego?

Wielebny Taylor podniósł na mnie wzrok.

–Najstarsze zapisy kościelne twierdzą, że William de Warrenne dobił targu z diabłami.

Uzgodnił, że gdy pomogą zdobyć Normanom Anglię, odda Adramelechowi w ofierze swą żonę

Gundradę. Dlatego diabły przybyły do Lewes i dlatego Gundrada umarła w owym czasie. Ale

w tej parafii mieszkali wielcy egzorcyciści, toteż udało im się okiełznać złe duchy i znowu zaszyć je

w worki. Dopiero gdy inżynierowie kolejowi odpieczętowali loch, diabły ponownie ujrzały światło dnia.

–Co z nimi się stało?

Wielebny Taylor dokończył whisky. – Zabrano je nocą do podziemi kościoła Świętego

Tadeusza i zapieczętowano. Dokonało tego siedmiu księży katolickich. Podobno właśnie w taki sposób można było zapobiec ich ucieczce.

–Ojciec Anton – szepnąłem – usiłował sam zapieczętować diabła w piwnicy. Mój Boże, gdybyśmy wiedzieli o tym wcześniej.

–Jeden kapłan nie ma takiej władzy – powiedział wielebny Taylor. – Musi ich być siedmiu i muszą wezwać na pomoc serafów. Trzynaście diabłów Adramelecha to nie igraszka.

–A co stało się potem? – zapytała Madeleine. – W jaki sposób dowiedzieli się o nich Amerykanie?

–Nigdy nie ustaliłem tego na pewno, moja droga – odpowiedział wikariusz. – Kiedy odkryłem tę historię, opisałem ją w krótkim artykule zamieszczonym w magazynie parafialnym. Był to rok 1938. Trudno mi uwierzyć, aby mój mały artykułik dotarł do Waszyngtonu. W 1943 roku jednak skontaktowali się ze mną pewni bardzo tajemniczy dżentelmeni z Ameryki. Zadawali mi ogromną liczbę pytań o diablach i o lochach. Chcieli też wiedzieć, co należy zrobić, żeby diabły nie wymknęły się spod kontroli.

–I powiedział im ksiądz? – zapytałem.

–Powiedziałem wszystko, co wiedziałem, lecz nie było tego wiele. Przez jakiś czas wcale

o tej sprawie nie myślałem, Ale w styczniu 1944 roku otrzymałem list od biskupa Angmeringa,

którym ten poinformował mnie, że siły alianckie interesują się z powodów patriotycznych diablami z Rouen, w związku z czym powinienem im udzielić wszelkiej możliwej pomocy.

Wielebny Taylor był najwyraźniej poruszony wspomnieniami. Wstał z fotela i zaczął chodzić po dywanie leżącym w saloniku, splótłszy dłonie na plecach.

–Przyjechali tutaj razem z katolickimi księżmi i zabrali te trzynaście worków. Nie wie

działem, gdzie je zabierają, ale błagałem, by traktowali je z ostrożnością. Powiedziałem im, że

z

diablami nie wolno igrać, lecz odpowiedzieli, że doskonale zdają sobie z tego sprawę i że właśnie

dlatego są im one potrzebne.

Znowu usiadł i przetarł kostkami palców oczy.

–Następnie zaś otrzymałem rozkaz, by udać się do Southampton i zgłosić do pułkownika armii amerykańskiej o nazwisku Sparks. Pamiętam, że był to człowiek bezceremonialny. Bardzo oficjalny i energiczny. Oznajmił mi, że moje diabły zostaną wykorzystane przez siły amerykańskie w tajemnej misji. Utworzą dywizję specjalną. Wrócono im życie zaklęciami z kabały oraz obiecano wielką nagrodę, jeżeli zechcą walczyć po stronie aliantów przeciwko barbarzyńcom. Nigdy nie dowiedziałem się, co to miała być za nagroda, ale podejrzewam, że... mogła mieć coś wspólnego z... cóż, z ofiarami z ludzi. Zapytałem kiedyś o to jednego z oficerów amerykańskich, ale ten uśmiechnął się i odparł, że to w imię wolności.

–Więc ksiądz udał się do Francji z tą dywizją? – zapytałem wielebnego Taylora.

–Tak, chociaż większość czasu spędziłem na tyłach. Ponieważ byłoby niepraktyczne ciągnąć za sobą siedmiu księży rzymskokatolickich, na mnie spadła odpowiedzialność za to, żeby każdy z diabłów pozostał w swoim czołgu. Posłużyłem się srebrnymi krzyżami, poświęconymi przez siedmiu kapłanów, oraz świętymi zaklęciami stosowanymi przy odprawianiu egzorcyzmów. Jak wiecie, tylko raz potrzebowano mojej pomocy, kiedy jeden z czołgów uszkodził gąsienicę i usunięcie go okazało się niemożliwe.

Madeleine powoli potrząsnęła głową.

–Czy kiedykolwiek pomyślał ksiądz o tym, że diabeł, którego ksiądz zostawił w tym czołgu, może sprowadzić nieszczęście na tych, co mieszkali w pobliżu?

Wielebny Taylor zmarszczył brwi.

–Zapieczętowałem go... i powiedziano mi, że czołg jest niezniszczalny.

–Ale ze wszystkich trzynastu diabłów ten był jedynym, który nie otrzymał nagrody, tak? – zapytałem.

–Prawdopodobnie tak.

–Więc należało się spodziewać, że będzie niezadowolony i kłopotliwy.

–No cóż, tak.

Zmęczony, opadłem plecami na oparcie fotela i przesunąłem palcami po włosach.

–To, co ksiądz zrobił, ściągnęło na tamtą społeczność liczne plagi. Trzydzieści lat najróżniejszych plag. Mleko kwaśniało, gniły jajka, a teraz, odkąd diabeł znalazł się na wolności, już dwoje ludzi straciło życie. Troje, jeżeli doliczymy matkę tej młodej damy.

Zmieszany wikariusz oblizwał usta. Odezwał się niskim głosem:

–Czy mógłbym coś uczynić, aby wam pomóc? Aby was ochronić czy wesprzeć?

–Niech nam ksiądz powie, gdzie są pozostałe diabły. Wielebny Taylor zamrugał oczami.

–Pozostałe diabły? Ależ nie mam najmniejszego pojęcia. Zabrano je zaraz po wojnie i nigdy nie dowiedziałem się, co się z nimi stało. Domyślałem się, że po otrzymaniu nagrody zapieczętowano je i wywieziono do Ameryki.

–Do Ameryki? Chyba ksiądz żartuje! Mamy tam w samochodzie diabła, który... Oczywiście wielebno wyszły na wierzch.

–Macie go tutaj? Macie Elmeka pod moim domem? Wciągnąłem głęboko powietrze. Wcale nie zamierzałem mu tak od razu tego powiedzieć.

Odezwałem się głosem na tyle opanowanym, na ile udało mi się go opanować:

–Jest w ołowianym kufrze w bagażniku. Zmusił nas do tego, abyśmy go przywieźli do Anglii, grożąc nam śmiercią przez posiekanie czy też poćwiartowanie. Chce dołączyć do swych braci.

Wikariusz był tak podenerwowany, że wstał z fotela, po czym natychmiast usiadł.

–Ależ mój drogi panie – wysapał – czy ma pan choć pojęcie o tym, jak niebezpieczna jest ta bestia?

–Widziałem, jak zabijał gosposię ojca Antona, widziałem, co zrobił z samym ojcem Antonem.

–Mój Boże – powiedział wielebny Taylor. – To dlatego chcieli ich Amerykanie. To diabły wojny, diabły przemocy. Trzyście diabłów w czołgach starczyło za trzy dywizje okrutnych żołnierzy. Przeszły jak burza po wzgórzach Suisse Normande w kilka zaledwie dni. Niemcy po prostu nie mogli ich zatrzymać. Nie byłem na linii frontu, więc nie widziałem na własne oczy ich dzieła, ale dotarły do mnie straszliwe opowieści niektórych niemieckich jeńców. Żołnierze nieprzyjaciela umierali na trąd i beri-beri! Choroby tropikalne na północy Francji! Niektórzy płonęli niczym pochodnie. Inni topili się we własnej krwi, choć na ich ciałach nie pojawiła się ani

jedna rana. To było straszne i poczułem ulgę, gdy Patton kazał z tym skończyć.

–Dlaczego skończył? – zapytała Madeleine.

Wielebny Taylor skrzywił się.

–Gdy przedarł się już przez Normandię, doszedł do wniosku, wzięwszy pod uwagę ewentualny sąd wojenny, że w przyszłości wyjdzie na tym lepiej, jeśli jego czołgi nie pozostawią

za sobą zbyt wiele ciał ludzi, którzy zginęli w podejrzanych i nienaturalnych okolicznościach.

Głęboko zaciągnąłem się papierosem.

–Nic rozumiem jednego. Czemu Kościół był gotów przystać na coś takiego? Przecież te diabły są nieprzyjaciółmi Kościoła, nieprawdaż!?

–W czasach wojny ludzie mierzą wszystko inną miarą – powiedział wikariusz. – Wierzę, że biskup uważał, iż postępuje tak, jak powinien. Poza tym Amerykanie zapewnili go, że po tym wszystkim zabiorą i zlikwidują diabły! To nas uspokajało.

Westchnąłem ze zmęczenia.

–Ale nie ma ksiądz pojęcia, gdzie je wywieziono i kto je zabrał?

–Wiem, że gdy wywożono je do Anglii, opiekował się nimi pułkownik Sparks. Lecz gdzie on je zabrał i w jaki sposób, nie powiedziano mi nigdy. Była to wyjątkowo tajna operacja. Gdyby cokolwiek przedostało się do prasy, wybuchłaby gigantyczna afera.

–Sprowadzono je z powrotem do Anglii – zauważyła Madeleine. – To znaczy, że nie zabrano ich bezpośrednio z Francji do Ameryki?

–Nie. Osobiście widziałem je ostatni raz w Southampton, gdy je wyładowywano ze statku. Zwykłych dokerów odsunięto od tej roboty, kazano im trzymać się z dala.

–Więc czemu ksiądz myśli, że zabrano je do Ameryki? A może wciąż tu są? Wielebny Taylor podrapał się w głowę.

–Pewnie tak. Jest tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć.

–To znaczy?

–No cóż, musielibyście porozmawiać z pułkownikiem Sparksem. Zawsze przysyła mi

kartkę z życzeniami na Boże Narodzenie, chociaż po wojnie nigdy już się nie spotkaliśmy.

Gdzieś tu mam jego adres.

Madeleine i ja spojrzeliśmy na siebie ze smutkiem, wielebny Taylor zaś podszedł do biurka i zaczął grzebać w nieporządnym stercie papierów w poszukiwaniu kartek z życzeniami od pułkownika armii amerykańskiej. Dochodziła już ósma dwadzieścia i zacząłem czuć się dziwnie niespokojny. Obawiałem się, że Elmek nie da nam wiele więcej czasu na poszukiwania.

–Wiecie, byłem przekonany, że są tutaj – odezwał się wielebny Taylor. – Nigdy niczego nie wyrzucam.

Wysunąłem następnego papierosa i już zamierzałem podnieść go do warg, gdy Madeleine wykrzyknęła:

–Dan! Patrz! Twoja ręka!

W pierwszym momencie nie mogłem sobie uzmysłwić, o czym mówi, ale gdy spojrzałem na papierosa, którego trzymałem w dłoni, stwierdziłem, że jest on przesiąknięty ciemnoróżową cieczą... Była to krew. Na końcu mego palca pojawiła się niewielka, głęboka ranka.

–To Elmek – powiedziała Madeleine spiętym, zdesperowanym głosem, – O Boże, Dan, to jego ostrzeżenie!

Wyciągnąłem chusteczkę i obwiązałem nią palec, jak umiałem, ale wkrótce cienka kretonowa materia przesiąkła na wskroś.

–Proszę księdza, byłbym wdzięczny, gdyby się ksiądz pospieszył.

–Przepraszam, czy pan coś mówił? – zapytał kapłan, podnosząc głowę z nad papierzysek.

–Proszę się pospieszyć. Wydaje mi się, że Elmek zaczyna tracić cierpliwość. Wielebny Taylor przetasował następną stertę.

–O, proszę! – odezwał się wreszcie. – Kartka z zeszłego roku. Przypuszczam, że Sparksowie nadal mieszkają pod tym adresem.

Podał mi bożonarodzeniową kartkę. Madeleine rozłożyła ją przed sobą. Niemalże w tej samej chwili palec przestał krwawić, a rana zablizniła się. Została mi w garści karmazynowa chusteczka, na palcu zaś nie było najmniejszego śladu.

–Mój drogi chłopcze, czyżbyś się skaleczył? – zapytał wielebny Taylor.

Połączenie transatlantyckie z Silver Spring w stanie Maryland nie należało do najlepszych. Głos dobiegał słabo, natomiast trzaski słyszałem wyraźnie. W Stanach było wczesne popołudnie i pan Sparks, emerytowany pułkownik, kosił trawę w ogrodzie. Jego sprzątaczką ociągała się i robiła straszne ceregiele, w końcu jednak zdecydowała się wezwać go do telefonu. Z przyjemnością pomyślałem, że to nie ja w tym kwartale będę płacił rachunek telefoniczny wielbego.

–Halo? Kto mówi? – odezwał się wreszcie ostry głos.

Madeleine przyglądała mi się uważnie, gdy odpowiedziałem:

–Przepraszam, że zawracam panu głowę. Nazywam się Dan McCook i jestem w tej chwili u wielbego Woodfalla Taylora.

–Ach tak? To niespodzianka! Nie widziałem księdza Taylora od 1945 roku. Jak się miewa? Czy dzwoni pan po to, by mnie poinformować o tym, że wielbny nie żyje? Oby nie!

–Nie, nie, nic takiego. Wielbny Taylor miewa się dobrze. Dzwonię w związku z tamtą sprawą, w której i pan, i wielbny Taylor kiedyś braliście udział. Mam na myśli dzień „D”, dzień, w którym rozpoczął się najazd na Normandię.

Zaległa cisza przerywana trzaskami.

–Czy pan mnie dobrze słyszy? – zapytałem.

–Oczywiście, że słyszę. Co pan o tym wie?

–No cóż, chyba prawie wszystko.

–Rozumiem. Mam nadzieję, że zdaje sobie pan sprawę z tego, że to sekret Pentagonu.

–Tak. Oczywiście. Ale w tej chwili potrzebuję pana pomocy.

–Pomocy? Jakiego rodzaju pomocy? Nagle poczułem, że dłoń trzymająca słuchawkę staje się lepka. Znowu krwawiłem, miałem

pocięte całe dłonie... a krew sączyła się wzdłuż mankietów.

–Och, Dan! – krzyknęła Madeleine. – Powiedz mi, żeby się pospieszył, bo Elmek cię zabije!

–Dobrze, dobrze... – wyszeptałem. – Nie są to poważne rany. On tylko usiłuje mnie nastraszyć.

–Jest pan tam? Jest pan tam jeszcze? – rozległ się w słuchawce głos Sparksa.

–Tak, przepraszam. Niech pan posłucha. Muszę wiedzieć, gdzie zabrano dwanaście

pozostałych worków. Jeden został w Normandii. Gdzie jest reszta? Czy przewieziono je do Stanów? Czy też są w Anglii?

Znowu zaległa cisza.

–Nie wiem... – odezwał się po chwili Sparks – czy wolno mi to panu powiedzieć.

–Proszę pana, to kwestia życia lub śmierci. Diabeł, którego pozostawiono w Normandii, wy dostał się z czołgu. Musimy odnaleźć pozostałe.

–No cóż, panie McCook. Nazywaliśmy je NPP, skrót od Niewojaskowy Personel Pomocniczy. Nigdy nie mówiono o nich jako o, hm, diabłach. Tylko NPP.

–Dobrze, panie Sparks. Niech będzie NPP. Ale gdzie ten wasz NPP zabrano? Do Stanów?

–Nie – odparł niechętnie. – Do Anglii i, niech użyję wojskowego języka, zamrożono. Mniemam, że generał Eisenhower chciał go wywieźć do Stanów, ale w tamtym czasie problemy związane z jego transportem i przechowywaniem okazały się nie do przewyciężenia. Niewiele o nim wiedzieliśmy, więc zostawiliśmy go na miejscu.

–To znaczy?

–Początkowo zamierzaliśmy umieścić wszystkie diabły w kościele Świętego Tadeusza, tam, skąd pochodziły. Zawarliśmy jednak umowę z biskupem, że będzie je miał z głowy. Wobec czego przetransportowaliśmy je do Londynu i zamknęliśmy pieczętując w budynku należącym do brytyjskiego Ministerstwa Wojny.

–Czy to znaczy, że one tam nadal są? Teraz?

–O ile wiem. Nigdy nie dotarły do mnie inne informacje.

Krew na mojej ręce zaczynała przysychać. Madeleine patrzyła na mnie zmartwiona. Przez drzwi widziałem, jak wielebny Taylor nalewał sobie następną szklanekę whisky. Wcale nie miałem mu tego za złe.

–Panie Sparks – powiedziałem schrypniętym głosem – czy pan wie, gdzie ten dom się znajduje? Mniej więcej?

–Ależ oczywiście. Huntington Place osiemnaście, tuż przy Cromwell Road.

–Jest pan pewny?

–Absolutnie. Musiałem tam pięć czy sześć razy pójść. Oparłem się o ścianę wyłożoną tapetą w brązowe kwiatki i przymknąłem oczy.

–Proszę pana – powiedziałem. – Nie wiem, jak mam panu dziękować.

–Niech pan nie próbuje. I tak nie powinienem panu o tym mówić.

–Jeżeli ujdziemy z życiem, złożę panu osobiście wizytę z butelką brandy.

Dłuższą chwilę trwała cisza. Spoza trzasków dobieg! mnie jakiś inny głos. Wreszcie usłyszałem pułkownika Sparksa.

–Nie rozumiem. Jeżeli ujdziecie z życiem?

Nie wiedziałem, co odrzec. Odłożyłem więc słuchawkę i zwróciłem się do Madeleine:

–Wiedział, gdzie są. Musimy jechać do Londynu.

Wielebny Taylor wyszedł do przedpokoju. Jego twarz była jeszcze bardziej rumiana niż poprzednio.

–Na pewno nie napijecie się jeszcze? A może kanapki? Gospościa zaraz idzie do domu, ale zdążyłaby nam zrobić kanapki z ozorkiem.

–Ksiądz jest bardzo miły, ale musimy natychmiast wyjechać. Wikariusz popatrzył na mnie niepewnie.

–Czy pułkownik Sparks wiedział, gdzie się znajdują? Czy panu powiedział? Skinąłem głową.

–Wiedział, gdzie je zabezpieczono po wojnie. Ale czy tam nadal są, czy nie, to inna sprawa. Musimy się przekonać.

–Dobry Boże – odezwał się wielebny Taylor – to bardzo niepokojące. Mówiłem im, że wszystko się źle skończy.

–To nie księdza wina. Ksiądz nic nie wiedział – powiedziała Madeleine.

–Czuję się jednak straszliwie odpowiedzialny – odrzekł zmartwionym tonem wielebny Taylor.

– Mam wrażenie, że to moje niedbalstwo zabiło biednego ojca Antona.

–Cóż, może ksiądz naprawić szkodę – zaproponowałem. – Proszę nam powiedzieć, w jaki sposób moglibyśmy uchronić się przed tą trzynastką i przed Adramelechem.

Twarz wielebnego Taylora stała się jeszcze bardziej przygnębiona.

–Mój drogi, nie wiem, co mam powiedzieć. Tylko dlatego w czasie wojny udało nam się

utrzymać diabły w ryzach, że współpracowaliśmy z wieloma księżmi. Jeśli zaś chodzi o samego Adramelecha, no tak, nie wiem, co mógłbym wam powiedzieć. Adramelech jest jednym z największych i najstraszniejszych Sephirothów. Być może, któryś z boskich Sephirothów mógłby wam pomóc, a według tego, co o nich napisano, są równie nieokiełznani, jak ci diabelscy. Odpowiednikiem Adramelecha w zastępach Boga jest Hod, seraf glorii i majestatu. Czy udałoby się wam wezwać na pomoc Hoda, naprawdę nie umiem powiedzieć. To wszystko jest tak piekielnie

mistyczne.

Zapaliłem następnego papierosa. Tym razem palce miałem nietknięte. Może Elmek wiedział, że uzyskaliśmy informację, której przyszliśmy tu szukać, i że wkrótce spotka swoich złowrogich braci.

–Naprawdę ksiądz w to wszystko wierzy? – zapytałem. – W Adramelecha i Hoda? We wszystkie te diabły? Nigdy nie sądziłem, że Kościół protestancki uznaje diabły.

Wielebny Taylor wepchnął ręce do kieszeni i wyglądał na zbitego z pantaląku.

–Rzadko który protestancki kapłan przyzna, że diabły fizycznie istnieją – powiedział. –

Ale każdemu anglikańskiemu księdzu przedstawiane są, w ścisłej tajemnicy, rzeczywiste dowody

na istnienie diabłów. Nie zdołam teraz objaśnić, jak rzecz opisują księgi, ale mogę was zapewnić,

że dowody, jakie osobiście otrzymałem na istnienie zarówno złych, jak i dobrych Sephirothów, są więcej niż przytłaczające. Demony i diabły istnieją, panie McCook, i istnieją także anioły.

W tejże chwili poczułem, jak przez dom przechodzi drzenie o niskiej częstotliwości. Przypominało ono wibrację powstałą w wyniku przejazdu jakiegoś złowrogiego pociągu, pogwizdującego posępnym niskim tonem. Spojrzałem na sufit i dostrzegłem cienkie pęknięcie, które biegło od jednej gipsowej sztukaterii do drugiej.

Wielebny Taylor również podniósł głowę.

–A co to takiego? – Zamrugał oczyma. – Czy państwo też to odczuliście?

–Tak, ja czułam – powiedziała Madeleine. – Może przelatywał ponaddzwiękowy odrzutowiec.

Wielebny Taylor zmarszczył brwi.

–Nie wydaje mi się, aby to miejsce znajdowało się na trasie przelotu concorde’a, moja droga. Ale zapewne mógł...

Warkot powtórzył się, tym razem był głośniejszy. Podłogi zatrzęśły się, a z kominka wypadło rozżarzone polano. Wielebny Taylor pośpiesznie zdjął z haka szczypcę i ułożył polano z powrotem na ruszcie.

–Jestem przekonany, że to Elmek – powiedziałem. – Zaczyna się denerwować. Chodź, Madeleine, powinniśmy odejść, zanim wydarzy się coś straszniejszego.

Wielebny Taylor podniósł dłoń.

–Nie powinniście odchodzić w obawie o mnie. Jestem tak samo odpowiedzialny za to, co się stało, jak inni. Może mógłbym w czymś wam pomóc.

Podszedł do biblioteki i przez trzy czy cztery minuty szukał tam czegoś. Wreszcie wyciągnął niewielką książeczkę, cienką niczym Nowy Testament, oprawną w czarną skórę. Wystawała z niej postrzępiona jedwabna zakładka. Trzymając książeczkę w wyciągniętej ręce jak dalekowiedz, zwilżył kciuk i przewrócił sześć czy siedem stron. Madeleine i ja czekaliśmy cierpliwie, a zegar wybił dziewiątą.

–Ach, oto jest. Wezwanie aniołów.

–Mam w walizce francuską książkę o tym samym – powiedziałem. – „L’Invocation des Anges” autorstwa Henriego St. Ermina. Problem polega na tym, że niewiele z tego rozumiem.

Dom znowu zadrżał. Porcelanowy osiołek z koszem na grzbiecie, w którym tkwił zasuszony kaktus, zsunął się z półki i roztrzaskał na posadzce. Spadła książka, potem druga, a szyby rozdzwoniły się w oknach takim dźwiękiem, od którego ścierpły mi zęby.

–„L’Invocation des Anges” to właśnie to, czego wam trzeba – oznajmił wielebny

Taylor, z lekka się zatchnąwszy. – Ale ta oto książeczka pomoże wam zidentyfikować każdego

z dwunastu diabłów po kolei, a następnie wezwać do każdego odpowiedniego anioła, aby ten go odwołał. Czy ojciec Anton wspomniał wam o siedmiu próbach?

–Chodzi księdzu o siedem prób na określenie tożsamości diabła? Tak, mówił nam.

Wielebny Taylor poważnie pokiwał głową.

–Ogromnie inteligentny człowiek, ten ojciec Anton. Nie umiem nawet tego wyrazić, jak mi przykro z powodu jego śmierci. W każdym razie miał absolutną rację. Gdy odnajdziecie diabły, będziecie musieli je po kolei zidentyfikować, a potem odesłać, wspomagając się „L’Invocation des Anges”. Idzie o to, że to diabły francuskie, będą więc bardziej podatne na francuskie zaklęcia.

–Gdyby udało nam się je odesłać – zapytała Madeleine – czy przeszkodziłoby to im w wezwaniu Adramelecha?

Wielebny Taylor popatrzył na nią z powagą.

**–Należy mieć taką nadzieję, moja droga. Ale diabły to diabły, i nigdy nie można przewi-
dzieć, jak się zachowają ani do jakich sztuczek się uciekną. Weźmy na przykład tę straszliwą
bestię Elmeka...**

Zasłony okienne nagle załopotały, jakby zadął w nie wiatr, lecz my go nie odczuliśmy. Przerażony zwróciłem się w stronę okna i jestem przekonany, że przez sekundę widziałem w ciemnościach panujących na dworze skośne, złowieszcze ślepie demona noży. Żyrandol przybladł chorobliwie, tak że prawie nie mogliśmy siebie dojrzeć, a przez pokój przepłynął gorzki smród zgnilizny.

Wielebny Taylor zadrżał. Potem uniósł dłoń, nakreślił w powietrzu znak krzyża i zawołał:

**–Odejdź, diable! Zaklinam cię, odejdź, duchu nieczysty! Bóg Ojciec, w Jego Imię opuść
nas! Bóg Syn, w Jego Imię odejdź! Bóg Duch Święty, w Jego Imię precz z tego miejsca! Drzyj
i
pierzchaj, bezbożny, gdyż oto jest...**

Rozległo się wycie tak przeraźliwe, aż podskoczyłem ze strachu, albowiem wydało mi się, że jakaś potworna bestia pożera cały pokój. Zasłony uniosły się i znów załopotały, a ustawione w szeregu książki spadały niczym kostki domina, rozlatując się po dywanie. Madeleine chwyciła mnie za ramię, wielebny Taylor wzniósł zaś w górę obie ręce, by zasłonić się przed huraganem demonicznej nienawiści.

–Tak rozkazuje ci Bóg! – wrzasnął wielebny Taylor. – Tak rozkazuję ci ja!

Okna rozprysły się i sypnęły chmurą ostrych jak żyletki odłamków. Połyskujący wybuch

przeleciał przez pokój i trafił w kapłana, siekąc jego uniesione dłonie, zdzierając sutannę z piersi i ramion, tnąc twarz i ręce aż po żywe nerwy. Nim upadł, dostrzegłem, jak spomiędzy posiekanego mięsa wyjrzały białe kości przedramion.

Cudownym czy też diabelskim zrządzeniem szkło ominęło Madeleine i mnie, nie drasnawszy nas prawie zupełnie. Patrzyliśmy przerażeni, jak wielebny Taylor opada na podłogę, rozsiekany na krwawe strzępy. Madeleine wcisnęła twarz w moje ramię. Zbierało się jej na wymioty.

Ostatnie szklane drzazgi opadły dzwoniąc na podłogę. Przez okna dął mroźny wiatr.

Przycisnąłem do siebie Madeleine i powiedziałem:

–Elmek. Nie odpowiedział.

–Elmek! – powiedziałem głośniej. Z zewnątrz, gdzieś z głębi ciemności, doleciał mnie oschły śmiech. Może był to śmiech, a

może tylko szelest bezlistnych gałęzi, pomiędzy którymi pojękiwał wiatr.

Kiedy drzwi do saloniku rozwarły się, skamieniałem ze strachu. Wyjrzała zza nich rumiana kobieta w turkusowym płaszczu i turbanie i zapytała: – Czy wszystko w porządku? Co za hałas! Czy mi się wydawało, że słyszę brzęk szkła?

Prawie trzy godziny trzymano nas na posterunku policji w Lewes. Większość czasu przesiedzieliśmy na twardych drewnianych ławkach w pomalowanym na zielono korytarzu, czytając raz po raz te same plakaty o zapobieganiu przestępstwom. Nadinspektor o kamiennej twarzy i przyciętych czarnych wąsach, w butach tak wypolerowanych, że rozum ludzki z trudnością mógł to pojąć, zadawał nam pytania, oglądał nasze paszporty, ale od początku było wiadomo, że straszna śmierć wielebnego Taylora musi zostać uznana za wypadek.

Oczywiście, wypadek nietypowy, mimo to jednak wypadek.

Elmek, skryty w swoim ołowiano-miedzianym kufrze, nie zamierzał poddać się niczemu, tym bardziej jakimś tam proceduralnym wymogom brytyjskiej policji.

Pięć minut przed północą nadinspektor wyszedł ze swojego gabinetu i podał nam nasze paszporty.

–Czy to znaczy, że możemy iść? – zapytałem.

–Na razie tak, proszę pana. Ale proszę nam zostawić adres docelowy. Być może będzie pan musiał wystąpić jako świadek w sądzie.

–No dobrze. Hotel „Hilton”.

Nadinspektor wyjął srebrny ołówek i zapisał. – W porządku, proszę pana. Dziękujemy za pomoc. Poinformujemy o wydarzeniu ambasadę, grzecznościowo.

–Oczywiście.

Nadinspektor schował swój ołówek i przez chwilę przyglądał się nam oczami, które wyglądały tak, jakby je marynowano w chlorku. Byłem pewny, że nie ma pojęcia, w jaki sposób okno wielebnego Taylora eksplodowało do wewnątrz z tak niszczyielską siłą ani dlaczego ja i Madeleine odnieśliśmy tylko powierzchowne rany. Nie znalazł jednak najmniejszego śladu materiałów

wybuchowych, broni, wiedział, że nie mieliśmy żadnego motywu czy możliwości, żeby zaszlach-tować kapłana odłamkami szkła. Zdołałem usłyszeć, jak jeden z konstabli mrucał coś do drugiego o „nietypowych próżniach” i „szansach jednej na tysiąc”, domyśliłem się więc, że śmierć tę złożą na karb jakiegoś niezwyklego wybryku angielskiej pogody.

–Czy wyjeżdża pan z kraju? – zapytał nadinspektor. – Przynajmniej w najbliższych dniach?

–Nie. Nie, Będziemy na miejscu.

–W porządku, proszę pana. Na razie to wszystko, proszę pana. Życzę państwu dobrej nocy.

Opuściliśmy posterunek i ruszyliśmy w kierunku parkingu na zboczu. Jedynym samochodem tam stojącym był nasz citroen. Wsiadliśmy ostrożnie, zajmując małe sztywne siedzenia. Madeleine ziewnęła i przesunęła palcami po swych ciemnoblon włosach. Rzuciłem okiem na bagażnik i powiedziałem:

–Jeżeli Elmek nam pozwoli, wypoczniemy trochę. Zeszłej nocy wcale nie spałem i zapewne jutro też niewiele będzie czasu na relaks.

Z ciemnego średniowiecznego pudła nie doszedł mnie żaden dźwięk. Albo diabeł spał (nie miałem pojęcia, czy diabły śpiąją, czy nie), albo wyrażał milczącą zgodę na odpoczynek. Włączyłem silnik i udaliśmy się na poszukiwanie jakiegoś miejsca na nocleg.

Przez pół godziny jeździliśmy po ciemnych uliczkach Lewes, aż wreszcie Madeleine na skraju miasteczka, na bramie akurat naprzeciwko odstrasającego kamiennego muru miejscowego więzienia, zauważyła wywieszkę: „Noclegi i śniadania”. W pewnym oddaleniu od drogi, na końcu podjazdu wysadzanego krzewami laurowymi, stał wiktoriański dworek z czerwonej cegły. W pokoju frontowym na parterze ktoś oglądał telewizję. Skręciłem citroenem na podjazd, zaparkowałem i podszedłem do drzwi wejściowych, by zapukać.

Czekałem długo na mrozie, aż wreszcie otworzyła mi malutka, przygarbiona staruszka w różowym welurowym szlafroku, z papilotami na głowie.

–Wie pan – oznajmiła – jest bardzo późno. Szuka pan pokoju? Staralem się nie przypominać rozkudłanego szaleńca czy zbiega z więzienia naprzeciwko.

–Jeżeli to możliwe. Przyjechaliśmy dzisiaj z Francji i właściwie jesteście wykończeni.

–No cóż, nie mogę kazać wam zapłacić pełnej stawki. Uciekły wam trzy godziny snu. Przez chwilę patrzyłem na nią z niedowierzaniem, ale zdołałem tylko wykrztusić:

–Nic nie szkodzi. To wspaniale. Zapłacę za cały nocleg, jeżeli pani zechce. Zawołałem Madeleine i staruszka wpuściła nas do domu. Zimnymi schodami weszliśmy na

pięterko wyłożone zielono-kremowym linoleum. Na ścianie pod zakurzoną i wystrzępioną abazurą wisiała kopia „Gęsi” pędzla Petera Scotta. Staruszka otworzyła drzwi z klucza i wprowadziła nas do typowej, lodowatej sypialni angielskiej, w której stało wysokie, dwuosobowe żelazne łóżko pomalowane na kremowo, tania szafa na wysoki połysk, znajdowały się tam również popękana umywalka i gazowy piecyk, któremu brakowało połowy elementów grzewczych.

–Niech będzie – powiedziałem zmęczony. Usiadłem na łóżku i zdjąłem buty, zanim ko bięcina zdążyła cokolwiek powiedzieć. Materac sprawiał takie wrażenie, jakby napchano doń kłębów drucianej siatki ogrodzeniowej, ale w tym momencie wydawało mi się, że trafiłem do nieba. Staruszka zostawiła nas, a my rozebraliśmy się, umyliśmy w wodzie o temperaturze bliskiej zera i padliśmy na łóżko. Nie pamiętam, abym zasypiał, ale zapewne stało się to dość szybko, bo nawet nie zdążyłem objąć ramieniem nagich pleców Madeleine.

Obudziły mnie odgłosy szurania. Przez chwilę nie byłem pewien, czy mi się coś nie śni. Ale wnet znowu je posłyszałem. Uniosłem głowę z nad poduszki i rozejrzałem się wokół. Wstrzy-

małem oddech, usiłując przy tym uciszyć nad wyraz głośne pompowanie krwi przez własne serce. Pokój był bardzo ciemny, dusząco ciemny, i chociaż wyteżądałem wzrok, nie mogłem niczego dostrzec. Podniosłem się na łokciu. Sprężyny jęknęły niczym wymęczona orkiestra. Wreszcie zaległa cisza.

–Elmek? – szepnąłem, choć wcale nie miałem na to ochoty. Panowała niczym nie zmaczona cisza. Madeleine poruszyła się we śnie i odwróciła.

–Elmek? – szepnąłem jeszcze raz. Ponownie coś zaszurało, zaszleściło. Dźwięk zdawał się dolatywać zza łóżka. Usiadłem

czując, jak skóra cierpi mi ze strachu, i usiłowałem zobaczyć, kto się czai w ciemności w nogach łóżka.

Znowu zapadła cisza. Mimo to zdawało mi się, że słyszę lekkie drapanie po zniszczonym linoleum oraz szelest, a także widzę, jak w mroku przemieszcza się jeszcze ciemniejszy cień.

Zamarłem. Czuję, że Madeleine już nie śpi. Wyciągnęła rękę i uścisnęła moją dłoń, zbyt wystraszona, by mówić. Nachyliłem głowę w jej kierunku i powiedziałem, jak umiałem najciszej:

–Nie panikuj. Jest tu gdzieś, ale trzymaj się.

Skinęła głową i przełknęła ślinę. W ciszy nocnej czekaliśmy, aż diabeł znowu się poruszy.

Trzymaliśmy się mocno za ręce, to wstrzymując, to biorąc krótkie, płytkie oddechy.

–Dan! Okno! Dan! – powiedziała nagle Madeleine.

Zwróciłem się w kierunku okna i drgnąłem wstrząśnięty.

Na tle zasłon rysowała się jakaś sylwetka, wysoka postać niby zgęstniały cień, nieruchoma i cicha. Gdy tylko spojrzałem, moja dłoń poczęła szukać rozpaczliwie lampki nocnej, ale niechcący palce zaplątały się w sznurze, i lampka spadła z hukiem na podłogę. W straszliwej ciszy, która zaległa, rozbrzmiał kobiecy głos.

–*Czyście odpoczęli?*

Głos był dziwny, gardłowy. Właściwie zbyt niski jak na kobietę, ale zbyt wibrujący jak na mężczyznę. Ciemna postać poruszyła się i bezszelestnie przemieściła przez pokój. Ledwie dostrzegłem bladą twarz, wydawała się smugą szarości w mroku.

–Kim jesteś? – zapytałem rozkazująco. – Kim jesteś?

Postać nie odpowiedziała od razu. Odniosłem wrażenie, że zazgrzytała zębami, wydając denerwujący, wysoki dźwięk.

–*Wiesz - odezwała się w końcu – przybieramy najróżniejsze kształty, wykorzystując najróżniejsze substancje. Nie boisz się?*

–Elmek?

–*Elmek lub Asmorod, lub Kaphis. Mamy więcej mian, niż minęło nocy od ukrzyżowania. Nie myśl sobie, że ta twoja książka jest w stanie nas nazwać.*

–A co ty o tym wiesz?

Postać wydała z siebie chrapliwy, ordynarny śmiech.

–Wiem, że tracie czas na religijne głupoty. Anioły! Odebrało wam chyba rozum.

Zawarłeś pakt ze MNA, mój przyjacielu, i z moim panem, Adramelechem, wielkim kanclerzem piekiel, pawiem i węzem. Nie wspominaj mi o aniołach!

–Co z nami zrobisz? – zapytała Madeleine. – Przecież nie dotrzymasz danego słowa?

Rozległ się chrzęst, jakby bestia wyłamywała sobie palce czy gryzła kości. W chwilę później odezwała się o wiele głębszym, lecz mniej wyraźnym i raczej męskim głosem:

–Układy zawiera się na dobre i złe. Układy zawsze zawierano na dobre i złe. Kapłani i biskupi zawierali z nami umowy i nie czuli się rozczarowani. Wiesz, walczyliśmy nie tylko pod Senlac. Byliśmy przy Karolu Wielkim i Joannie d’Arc. Nic dziwnego, że Anglicy ją spalili! Po wiadano, że w trakcie bitwy wokół jej głowy wirowały potworne diabły, i to prawda, mon ami.

Dopiero teraz Kościół uznał, że należałoby powtórnie napisać własną historię, zaprzeczając przy tym istnieniu tych wszystkich piekielnych sprzymierzeńców, których wykorzystywał w swych tak zwanych świętych wojnach.

Madeleine drżała ze strachu. Objąłem ją ramieniem i przycisnąłem do siebie, ale diabłu to nie przeszkodziło.

–Pomyśl o hiszpańskiej inkwizycji! - zaszeptał. – Pomyśl o salach tortur w Anglii i we

Francji. Każda miała własnego diabła! W zamierzonych czasach wolne diabły bez przeszkód po

ruszały się po ziemi, i wciąż po niej chodzą! Układały się z ludźmi dla wspólnej korzyści, ponieważ człowiek jest, gwiazdom dzięki, w takim samym stopniu złym stworzeniem jak dobrym.

W jednym rogu pokoju, przy drzwiach, dojrzałem nagle błękitnawe światełko. Jego blask kojarzył mi się z nocną fosforyzacją oceanu. W chwilę potem, ku mojemu przerażeniu, w ciemnościach zaczęło się coś dziać. Patrzyłem jak zauroczony. W mroku pojawiła się bestia o wargach rozciągniętych w wilkołaczym uśmiechu, ni to diabeł, ni to rozpustne babsko, ni to obrzydliwa, pokryta śluzem meduza. W pokoju cuchnęło czymś gorzkim, a błękitnawe światełko pełgało niby wstrętne poświata unosząca się nad zgniłymi rybami.

W następnej chwili ujrzałem wszystko, co mnie tylko przerażało czy napełniało odrazą.

Zobaczyłem coś na kształt dłoni kobiecych uwodząco sunących po lśniąącym udzie, które w końcu okazało się nie udem, lecz spazmatycznie skręconymi, wijącymi się mackami. Ujrzałem wargi ułożone jak do pocałunku, które okazały się nie wargami, lecz ropiejącymi ranami. Zobaczyłem, jak wokół ust śpiącej kobiety tłoczą się szczury. Ujrzałem, jak żywe ciało odrzynano od żywych kości, w pierw pasma skóry i ścięgien, potem ociekające krwią mięso.

–Madeleine krzyknęła.

–Elmek! – wrzasnąłem i sturlałem się z łóżka w kierunku upiornej postaci.

Nastąpił paraliżujący wybuch białego światła. W tym samym momencie poczułem, jakby

ktoś zdzielił mnie w głowę trzonkiem od kilofa. Oszołomiony i oślepiiony upadłem na bok, na zimne linoleum, obijając boleśnie ramię o nóg? łóżka. Usiłowałem wstać, ale poczułem następne uderzenie, tym razem czymś ciężkim i miękkim.

–Dan! – krzyknęła Madeleine. – Jest w łóżku! Jest w łóżku!

Półprzytomny, otarłszy krew z rozciętej wargi, chwyciłem się brzegu materaca i stanąłem

na równe nogi. Madeleine w przerażeniu walila w koce, jakby coś wśliznąwszy się pod nie usiłowało owinać się wokół jej stóp. W ohydym świetle bladej fosforescencji widziałem przez pół sekundy, jak coś wynurza się spod kocy, by sięgnąć po jej nagą nogę. To coś przypominało czarny pazur i było włochate niczym obrzydliwy gigantyczny pajak. Trzepnąłem w to coś, krzycząc ze strachu i wściekłości, potem chwyciłem Madeleine za nadgarstek i wyszarpnąłem ją z łóżka na podłogę, ciągnąc przez pół pokoju.

Przez koszmarną chwilę wydawało mi się, że to coś, co siedzi pod kocami, zacznie zaraz ku nam pełznąć. Ale usłyszałem, jak z łóżka spada coś ciężkiego. W chwilę potem rozległo się drapanie pazurów po podłodze. Błękitnawe światło rozmigotało się na nowo, a potem zbladło niczym latarka na zużytych bateriach. Gorzki smród demona zaczął niknąć. Posłyszałem cichy szmer powiewu, szelest wiatru tam, gdzie go być nie mogło... i zapadła cisza. Oboje przycupnęliśmy na podłodze, dysząc z przerażenia. Nasłuchiwaaliśmy długo, ale w pokoju nie było niczego, nic doszedł nas żaden dźwięk, więc w końcu podnieśliśmy głowy.

–Chyba sobie poszedł – powiedziałem cicho.

–O Boże, to było straszne! – wyszeptała Madeleine. – O mój Boże, tak się strasznie

bałam!

Włączyłem górne światło. Podeszedłem do łóżka i zacząłem szturchać kapę potłuczoną lampką nocną. Wreszcie zebrałem tyle odwagi, aby podnieść i odwrócić koce. Nic nie znalazłem.

Jeżeli to wszystko nie było jakąś potworną iluzją, to tamto coś zapewne się wyniosło.

Madeleine podeszła do mnie i dotknęła moich pleców.

–Chyba już nie zasnę – powiedziała. – Nie w tym łóżku. Może jedźmy już do

Londynu?

Znalazłem swój zegarek tam, gdzie go zrzuciłem na podłogę. Była piąta trzydzieści. Wkrótce zacznie świtać.

–Dobrze – odparłem. Nie czułem się wcale lepiej niż wtedy, gdy kładliśmy się spać. – I

tak wygląda na to, że Elmek nas popędza. Przypomnij mi, abym pamiętał, że diabły rzadko kiedy

sypiają.

Madeleine wciągnęła dżinsy na gołe ciało i rozczesała włosy przed brudnym lustrem.

–Więcej takich numerów nie wytrzymam – powiedziałem. – Nie wiem, czemu on to robi.

–Może chęłpi się przed nami – zauważyła Madeleine. – Podobno diabły to próżne stworzenia?

–Być może o to właśnie chodzi. Uważam jednak, że sprawia mu po prostu przyjemność nasze przerażenie. Zamierza wycisnąć z nas ostatni gram strachu i bólu, zużyć nas do końca.

Madeleine wciągnęła przez głowę szary sweter w podłużne, wrabiane pasy. W pokoju było tak zimno, że widziałem zarys jej sutek przez grubą szetlandzką wełnę.

–Nie wiem – rzekła. – Odnoszę wrażenie, że jest podniecony, jakby w ten sposób obja

wiał swą radość na spotkanie z braćmi. Te wszystkie przechwałki o tym, co diabły działy w

przeszłości, i ta postać, cokolwiek to było. Albo to coś ze splecionych ośmiornic, węzów i tym

podobnych stworzeń. Zupełnie jakby w ten obrzydliwy sposób pokazywał, co potrafi.

Przyczesalem włosy i ogoliłem się bez mydła tępą żyletką, najlepiej jak umiałem, obmywając twarz w zimnej wodzie. Pod oczami miałem ciemne smugi ze zmęczenia i wyglądałem mniej więcej tak, jak wygląda po tygodniu tuńczyk w otwartej puszcze. Czułem się wykończony, właściwie przestałem się już bać. Gdy byliśmy gotowi, zeszliśmy na palcach na dół przez ciemny, skrzypiący dom. Nie spotkaliśmy nikogo, zostawiłem więc trzy funty na stoliku w przedpokoju i wyszliśmy w mroźny poranek.

Słońce weszło nad wzgórzami Sussex w chwili, gdy wyjeżdżaliśmy z Brighton. Z obu stron ciągnęły się długie, oszronione wzgórza, ginąc gdzieś we mgle w okolicach Chanctonbury Ring na zachodzie i Ditchling Beacon na wschodzie. O tej porze roku i dnia w Sussex prehistoria

staje się dziwnie bliska. Człowiek wyraźnie uświadamia sobie, że po tych wzgórzach stąpali dawni Brytowie, że deptały je legiony rzymskie, a także uzmysławia sobie, że wzdłuż i wszerz płaskowyżu Sussex Weald migotały po lasach ognie i snuły się dymy anglosaskich hut i kuźni. Obok mnie siedziała Madeleine, wtulona w płaszcz. Próbowwała drzemać, gdy kierowaliśmy się na północ do Londynu.

Jechaliśmy po szosach białych od lodu, mijaliśmy stare chaty, puby, stacje benzynowe, przydrożne sklepiki reklamujące krówki domowego wyrobu i duże czerwone ziemniaki. Z tyłu, za nami, miedziano-ołowiany kufer milczał jak grób. Z prawej strony wstało słońce i prześwitywało przez nieliczne drzewa, gdy pędem wjeżdżałem na główną szosę. Za godzinę powinniśmy dotrzeć do przedmieść Londynu. Do południa przekonamy się prawdopodobnie, czy Elmek zechce dotrzymać swojej części układu, czy nie. Przypomniało mi się pewne powiedzonko. *Ten, kto jada z diabłami, potrzebuje łyżki na długim trzonku.* Nie bardzo mnie to pocieszyło,

Za nami pozostały wiejskie krajobrazy i pola. Wjechaliśmy w zatłoczone, szare ulice Croydonu i Streathamu. Niebo stało się złowieszczo ponure i musiałem włączyć światła. Na mokrych chodnikach przechodnie stawiali z powodu zimna kołnierze śpiesząc przed siebie. Kilka pierwszych płatków śniegu osiadło na przedniej szybie samochodu. Ruch uliczny był duży i duże

było zamieszanie. Jeszcze godzinę musiałem przeciskać się między piętrowymi czerwonymi autobusami i lśniąco czarnymi taksówkami, zanim przejechałem przez most nad Tamizą do Chelsea i skierowałem się na Cromwell Road. Śnieg padał coraz gęściejszy, ale niknął, gdy tylko dotknął zatłoczonych ulic i chodników. Przejechałem Sloane Square z fontannami i zmokniętymi gołębiami, skręciłem w lewo na Knightsbridge, w ślimaczym tempie i wielkim ścisisku minąłem dom towarowy „Harrodsa”, Muzeum Wiktorii i Alberta. Londyn miał wybitnie ponury, dickenso-wski wygląd. Gdy przejeżdżaliśmy przy budynku Muzeum Historii Ziemi, ozdobionym kręconymi kolumnami w stylu gotyckim i otoczonym ogrodami pełnymi skamieniałych drzew, wydało mi się, że przywiezienie średniowiecznego diabła do miasta stanowiło jeden z wątków jakiejś posępnej i złowieszczej powieści wiktoriańskiej. Tylko moje zmęczenie i lęk przypominały mi o tym, że stwór, który siedział w zamkniętym kufrze, był obrzydliwie rzeczywisty. Niewątpliwie nad owym grudniowym porankiem londyńskim zawisła straszliwa groźba najstarszego wroga ludzkości. Zapaliłem papierosa i zakaszałem.

Wreszcie zajechaliśmy na Huntington Place osiemnaście. Dom był z epoki późnowiktoriańskiej. Zbudowano go z żółtych i szarych cegieł, które z czasem obrosły brudem. Stał w ponurym miejscu, zakreślonym Cromwell Road i Kensington High Street, w którym znajdowały się wyłącznie mieszkania wynajmowane w kilka osób, biura administracji i niemodne zaulki. Zaparkowałem samochód przy krawężniku i obudziłem Madeleine.

–Już dojechaliśmy? – zapytała, a potem przeciągnęła się mrugając i dodała: – Od kilku dni tak dobrze nie spałam.

Na ostro zakończonym, czarnym metalowym ogrodzeniu opasującym budynek nie było żadnej tabliczki informującej o tym, że należał on wciąż do Ministerstwa Obrony. Mimo to wysiadłem skurczony z samochodu i podszedłem do drzwi frontowych, chcąc sprawdzić, czy przy dwóch szeregach dzwonek nie ma jakiegoś znaku identyfikacyjnego. Nie znalazłem nic, nawet jednego nazwiska lokatora.

Drzwi były dokładnie zamknięte, sądząc zaś po popękanej szarej farbie, która je pokrywała, nie odnawiano ich co najmniej od dwudziestu lat. Usiłowałem zajrzeć do środka przez brudną, zasnutą pajęczynami szybkę obok drzwi, ale wewnątrz budynku tonęło w absolutnych ciemnościach.

Podeszła Madeleine.

–No i co? – zapytała. – Czy to tu?

–Nie wiem. Wygląda na to, że nie ma tu nikogo, Może, kiedy już zamknięto diabły, dom opuszczono.

–Ale to działo się trzydzieści lat temu.

Wzruszyłem ramionami.

–Spróbujmy nacisnąć dzwonek i zobaczymy, co się stanie.

Zerknąłem za siebie, na citroena, stojącego przy krawężniku pośród cicho sypiącego śniegu.

–Jakoś musimy się tam dostać – powiedziałem. – Jeżeli nie, to na obiad będzie siekanka.

–Może sąsiedzi coś wiedzą – rzuciła Madeleine. – Nawet jeśli dom jest pusty, musi do kogoś należeć. Gdyby tylko udało się nam zdobyć klucz i wejść do środka. Zawsze możemy udawać, że chcemy go kupić.

Cofnąłem się o krok i spojrzałem w górę, na drugie i trzecie piętro budynku, mrużąc oczy przed śniegiem, który opadał na moją twarz.

–Nie widać żadnych świateł. Chyba jednak jest pusty.

Wróciłem na podest i po kolei naciskałem dzwonki. Słyszałem, jak niektóre z nich roz-

brzmiewają w różnych miejscach w budynku. Odczekałem chwilę, przytupując w nadziei, że krążenie wróci mi w palce. Madeleine patrzyła na mnie umęczona. Nie wątpiłem, że oboje znajdujemy się u kresu wytrzymałości. Przejechała trąbiąc taksówka.

Właśnie mieliśmy odejść, gdy usłyszeliśmy w głębi domu jakieś odgłosy. Uniosłem zdziwiony oczy. Następnie w korytarzu rozbrzmiały szybkie kroki, zagrzecotały łańcuchy i drzwi się otwały. W progu stał szczupły młody mężczyzna w czarnej marynarce i szarych spodniach

biznesmena. Na jego twarzy malował się wyniosły, a jednocześnie pytający wyraz.

–Czy państwo czegoś sobie życzą? – zapytał takim energicznym głosem, który z miejsca uświadamiał człowiekowi to, iż jego właściciel odebrał staranną edukację i z pewnością prenumeruje „Horse and Hound”, magazyn dla psiarzy i koniarzy.

Uśmiechnąłem się niewesoło.

–Nie jestem pewien – powiedziałem. – Czy ten budynek nadal należy do Ministerstwa Wojny?

–Chodzi panu o Ministerstwo Obrony.

–Oczywiście. Chodzi mi o Ministerstwo Obrony. Twarz młodzieńca przybrała skwaszony wyraz.

–Odpowiedź zależy od tego, kim pan jest i czemu chce to wiedzieć.

–To znaczy, że należy? Facet stał się jeszcze bardziej skwaszony.

–Chcę to wiedzieć – dodałem – ponieważ mam coś, co jest własnością Ministerstwa Obrony. Brakującą część od pewnego kompletu stanowiącego wyposażenie wojenne. Przywiozłem ją z powrotem.

–Rozumiem – powiedział facet. – A czy zechciałby mi pan powiedzieć, o jakie wyposażenie chodzi?

–Czy jest tu pana szef? – zapytałem. Mężczyzna skrzywił się z wyższością.

–Jeszcze nie powiedziałem, że budynek stanowi własność ministerstwa.

–No dobrze – oznajmiłem. – Więc, jeśli jest on własnością ministerstwa i jeśli ma pan szefa, to niech mu pan powie, że mamy trzynastego przyjaciela Adramelecha. Tutaj, w bagażniku samochodu.

–Co proszę?!

–Niech pan mu tylko powie o trzynastym przyjacielu Adramelecha. Czekamy pięć minut. Młody człowiek zrobił bardzo zakłopotaną minę i wreszcie rzekł:

–Może lepiej niech państwo zaczekają wewnątrz. Zajmie mi to jedną chwilę.

Otworzył szerzej drzwi. Weszliśmy do cuchnącego stęchlizną hallu ozdobionego oliwkowozieloną lamperią, aż błyszczącą ze starości. Zapaliłem kolejnego papierosa i poczęstowałem Madeleine. Nie była doświadczoną palaczką. Pociągała tak, jak ciągną swego pierwszego

papierosa trzynastolatki. Ale w owej chwili potrzebowaliśmy czegokolwiek dla uspokojenia nerwów. Tuż za nami na oblażącej ścianie wisiała nakrapiana pleśnią fotografia hrabiego Haiga. Stanowiła druzgocący dowód na to, iż dom przy Huntington Place osiemnaście należał do Ministerstwa Obrony. Trudno byłoby o lepszy. No, może wóz pancerny zaparkowany u drzwi.

Wyjąłem chusteczkę i wytarłem nos. Nie spałem dwa dni, i na dodatek wciąż biegałem po mrozie, nic więc dziwnego, że złapałem katar. Madeleine oparła się o ścianę obok mnie. Zdawała się tak wycieńczona, że nie miała nawet tyle sił, by się odezwać.

Po paru minutach dobiegły nas głosy z piętra. Wreszcie pojawiły się idealnie wyprasowane w kant spodnie khaki, następnie w tym samym kolorze marynarka jak spod igły, z pasem i baretkami, a w końcu zdrowa, kwadratowa twarz z najeżonymi białymi wąsami i oczyma, otoczonymi

siecią kurzych łapek, których ich właściciel nabawił się w trakcie obserwowania horyzontów Imperium Brytyjskiego.

Oficer podszedł do nas uśmiechając się rażno, lecz uśmiech ten pozbawiony był krzty humoru.

–Przykro mi – powiedział – ale nie podano mi nazwisk państwa. Niedopatrzenie. Wyrzuciłem papierosa przez drzwi w śnieg.

–Jestem Dan McCook, a to Madeleine Passerelle. Oficer energicznie skinął głową, jakby usiłował strząsnąć brwi.

–Nazywam się Thanet, podpułkownik z Wydziału Operacji Specjalnych.

Zaległa cisza. Najwyraźniej oficer spodziewał się, że wyjaśnimy cel naszego najścia. Popa trzymałem na Madeleine, a ona na mnie.

–Mówiono mi – odezwał się podpułkownik Thanet – że macie państwo coś ciekawego.

Coś, co do nas należy.

–Chyba na swój sposób należy – odparłem.

Uśmiechnął się spiętymi, zasznurowanymi wargami. Mój dziadek, który pochodził z Madison w stanie Wisconsin, nazywał tego rodzaju uśmiech „zadem muła w zbliżeniu”.

–Jeżeli dobrze zrozumiałem – ciągnął – ma to coś wspólnego z dniem „D”.

Skinąłem głową.

–Może pan nas straszyć tajemnicą służbową, jeśli pan chce, ale my i tak wiemy, jak było,

więc uważam, że to nie ma sensu. Wiemy o NPP, który wy, Brytyjczycy, wypożyczyliście Pattonowi, i wiemy, co się z nim potem stało. Dwanaście diabłów przetransportowano tutaj i zabezpieczono. Trzynasty został w czołgu w Normandii. O tym było wam wygodniej zapomnieć.

To, co znajduje się w bagażniku naszego samochodu, to ten trzynasty spośród owego NPP.

Podpułkownik wpatrywał się we mnie swoimi jasnymi, przenikliwymi oczyma. Nie miałem wątpliwości, że usiłuje rozgryźć, do jakiej kategorii wariatów można mnie zaliczyć, a także jak potraktować ten konkretny przypadek i jaką też zastosować wobec niego procedurę.

Ale to, co usłyszeliśmy, trudno było uznać za żargon wojskowy. Nie powiedział też tego żołnierz, który nieodmiennie postępuje według przepisów zawartych w podręczniku dla wojskowych.

–Czy pan mówi prawdę, panie McCook? Jeśli tak, to bardzo poważnie mnie pan zmartwił.

Pchnąłem drzwi, aby otworzyły się szerzej i aby nasz rozmówca mógł zobaczyć Citroëna zaparkowanego przy krawężniku.

–Tam, w bagażniku – oznajmiłem. – Autentyczny. Zwie się Elmek albo Asmorod. Dławił noży i wszelkich ostrości.

Podpułkownik przygryzł wargę. Milczał przez chwilę, po czym zapytał:

–Czy jest bezpieczny? To znaczy, czy jest unieszkodliwiony za pomocą sposobów religijnych?

Potrząsnąłem głową.

–Czy państwo coś o nim wiecie? Cokolwiek?

–Tak. Powiedział nam, że jest uczniem Adramelecha, wielkiego kanclerza piekieł. Wydobyliśmy go z czołgu we Francji, ponieważ zatruwał życie ludziom, którzy żyli w pobliżu, i ponieważ mademoiselle Passerelle wierzyła, że jest winien śmierci jej matki. Od tego czasu zabił jeszcze trzy osoby i nam groził tym samym.

–*Monsieur le colonel* - odezwała się Madeleine – pan nie wydaje się tym absolutnie zdumiony. Powiedziałabym nawet, że pan nam wierzy.

Podpułkownikowi udało się wykrzywić usta w coś na kształt uśmiechu.

–Nic dziwnego, mademoiselle. Od sześciu lat moim zadaniem jest studiowanie całej sprawy NPP w związku z desantem na Normandię. Prawdopodobnie więcej wiem o tej dywizji pancerniej niż ktokolwiek z żywych.

–A więc to prawda? – zapytałem. – Pozostałe diabły są tutaj?

–A kto to panu powiedział?

–Pewien dżentelmen amerykański o nazwisku Sparks. Podczas wojny był jedną z osób odpowiedzialnych za tę specjalną dywizję czołgów.

Podpułkownik Thanet westchnął, jakby tego rodzaju zachowania można się było spodziewać po Amerykanach.

–Czy to prawda? – dopytywałem się. – Czy one naprawdę są tutaj?

–Tak. Są zabezpieczone w piwnicach. Wszystkie dwanaście. Między innymi otrzymałem zadanie opracowania planu zmierzającego do ich ponownego wykorzystania.

–Ponownego wykorzystania? Raz nie wystarczyło?

–Może. Ale wie pan, czego można się spodziewać po departamentach. Bawi ich to wszystko, co jest tanie, nietypowe i zabójcze. Ostatnio zaś szczególnie upodobali sobie te paskudne rodzaje broni, które mogłyby przeciwstawić się broni nuklearnej. Wykopano więc akta NPP i oddelegowano mnie tutaj, abym zobaczył, co się da zrobić.

–I zrobił pan coś? – zapytała Madeleine.

–Jak dotąd niewiele. Paru wyciągnęliśmy z worków, by przyrzeć się ich kościom i zastanowić nad ich ogólną fizjologią. Wiemy, że jeśli złamie się pieczęcie, przyobleką się w ciała i odżyją. W taki właśnie sposób postąpiono podczas drugiej wojny światowej. Dlatego też nie złamaliśmy ani jednej pieczęci. Planujemy dla nich wspanialsze dzieła, toteż musimy się najpierw upewnić, czy będą nam całkowicie posłuszni.

–Wspanialsze dzieła? – zdziwiłem się. – Co to znaczy?

–No cóż – powiedział podpułkownik marszcząc brew. – Zamierzaliśmy spróbować wywołać ich władcę ponieważ jest on podobno tysiąckroć od nich potężniejszy.

–Adramelecha? – wyszeptała Madeleine, szeroko otwierając oczy.

–Właśnie. Wielkie i straszliwe bóstwo samaryjskie. Ma się rozumieć, nigdy bym w to nie uwierzył, kiedy jeszcze uczęszczałem do akademii w Sandhurst, ale teraz, gdy objaśniono mi efekty działania dywizji specjalnej pod komendą Pattona...

Popatrzył na mnie i znacząco skinął przyszczyżoną białą głową.

–Nie wiem, czy wiecie, że istnieją zdjęcia z dnia „D” – powiedział. – Zdjęcia i nawet kolorowe filmy. Nadzwyczajne. Uważam, że obok bomby wodorowej jest to niewątpliwie najbardziej spektakularna i tajna broń NATO.

–W jaki sposób zamierzacie zawładnąć Adramelechem, skoro ledwie potraficie sobie poradzić z tymi jego trzynastoma sługami?

Podpułkownik Thanet potarł kark.

–No cóż, nastrocza to pewne trudności i dlatego zmartwiłem się tym, że przywieźliście tu naszego przyjaciela Elmeka. Właściwie, to nie wiemy, jak kontrolować te diabły, i nie wiemy też,

jak się uporać z Adramelechem. Nawet nie mamy pojęcia, jak może on wyglądać, biorąc oczywiście

ście pod uwagę fakt, iż coś takiego dałoby się dostrzec ludzkim okiem. Pozostawienie jednego z

tych diabłów na miejscu, we Francji, stanowiło dobry sposób na kontrolowanie całej sytuacji.

Dokładnie wiedzieliśmy, gdzie on jest. Chcieliśmy jednak, by tam pozostał przynajmniej do tego

czasu, kiedy to mielibyśmy już opracowaną skuteczną metodę, która nie pozwoliłaby na to, aby

ten czy ów podpałił nas, obdarował trądem albo zadusił naszymi własnymi flakami.

Wziąłem Madeleine za rękę. Gdy jej dotknąłem, palce były lodowate.

–A teraz, gdy wszystkie są razem, stanowią oczywiście istotne zagrożenie. Mogą wezwać

swojego władcę – powiedział Thanet. – Grupa Pattona nie dopuściła do tego podczas wojny, ponieważ obiecano Adramelechowi ofiary z ludzi i krwi. W czasach wojny coś takiego jest możliwe. Ale teraz... cóż, jedyna krew, która może być bezpośrednio dostępna, jest naszą własną krwią.

Wyjąłem następnego papierosa i zapaliłem. Na dworze przestał padać śnieg, ale niebo wciąż połyskiwało ponurą metalicznozielonkawą barwą. Przy krawężniku stał cichy citroen. Przez tylną szybę prześwitywał zarys jednego boku ołowiano-miedzianego kufra umieszczonego w bagażniku.

–Tego się najbardziej obawiałem – powiedziałem ochryple.

Madeleine odwróciła oczy, w których malował się lak wielki smutek, że zauważył go nawet podpułkownik Thanet i na wpół uniósł dłoń, chcąc ją pocieszyć.

W gabinecie podpułkownika Thaneta, mieszczącym się na piętrze, siedzieliśmy na niewygodnych składanych krzeselkach, popijając herbatę. Nasz gospodarz zaś wyszukawszy akta oznaczone kryptonimem *Stripes*, czyli „ciągi”, a dotyczące specjalnej dywizji pancerniej, przerzucał je, marszcząc w skupieniu brwi, jak ktoś przyzwyczajony do szybkiego czytania. Od czasu do czasu przerywał tę czynność, aby przestudiować jakiś wykres lub mapę albo spojrzeć na Madeleine czy na mnie z przepaszającą miną, że to tak długo trwa.

Gabinet był zimny, a uczucie chłodu potęgowały jasnoniebieskie ściany zawieszzone obronnymi mapami Wielkiej Brytanii i Europy Zachodniej. W jednym z rogów stał warcząc kaloryfer wielkości niewielkiej świni, produkował jednak więcej hałasu niż ciepła. Pod przeciwległą ścianą tkwiły trzy szafy do akt, cynowe, pomalowane na kolor khaki. Razem z biurkiem podpułkownika Thaneta oraz trzema składanymi krzeselkami stanowiły całe wyposażenie pokoju.

Wstałem i podszedłem do okna, trzymając w ręku filiżankę z parzącą herbatą. W dole, na szarej, lśniącej ulicy, trzech sierżantów Armii Brytyjskiej wyciągało kufer Elmeka z bagażnika citroena. Odkąd przyjechaliśmy, diabeł nie dał znaku życia, ale doskonale wiedziałem, co ryzykuję, gdybym o nim zapomniał. Miał nadzieję, że połączymy go z jego dwunastoma braćmi. W przeciwnym razie, Boże ratuj, niechby tylko któreś z nas znalazło się w pobliżu okna, noża czy czegośkolwiek, co mogłoby ciąć ciało ludzkie!

Podpułkownik Thanet chrząknął i zebrał wszystkie akta w porządną stosik przed sobą.

–Znalazł pan coś? – zapytałem.

Skrzywił się.

–Obawiam się, że niewiele. Niewiele więcej, niż wiedziałem. Właściwie całą sprawę

załatwiono po cichu i mało jest dokumentów, na których można by się oprzeć. Jak można wyde-

dukować z wcześniejszych wystąpień Pentagonu, skierowanych do brytyjskiego Ministerstwa

Wojny, za opracowanie i przeprowadzenie całej akcji odpowiadał przede wszystkim generał

Patton, chociaż Eisenhower został o niej poinformowany sześć czy siedem miesięcy przed ata-

kiem na Normandię. Mam tu kilka zapisków dotyczących operacji *Stripes*, a ten oto dokument to

rozkaz przygotowania czołgów. Wyposażenie każdego czołgu kosztowało osiemnaście tysięcy

dolarów. Chodzi o mechanizm sterowniczy, który był właściwie zdalnie kierowany.

–Czy jest jakakolwiek wzmianka o Adramelechu? – zapytała Madeleine. – Czy opisu ją, w jaki sposób go kontrolowano?

Thanet z wolna potrząsnął głową.

–Znalazłem tylko jedną rzecz, która może odnosić się do tej sprawy. Dotyczy ona transportu jeńców niemieckich do Anglii, między innymi Francuzki, kolaborantki. Zabrano ich do obozu wojskowego, którym dowodził pułkownik Sparks, czyli wasz amerykański znajomy, oraz pułkownik T. K. Allingham, jego brytyjski odpowiednik. Oznacza to, że rozkaz ich przeniesienia musiał mieć coś wspólnego z operacją Stripes. Istnieje możliwość, że jeńców tych użyto do prześlęgania Adramelecha. Innymi słowy, złożono ich w ofierze.

–Mężczyznę dla każdego z trzynastu diabłów i kobietę dla samego Adramelecha – cicho zauważyła Madeleine.

–Całkiem możliwe – odparł Thanet, uśmiechając się nieswojo. – Pani teoria jest tak dobra jak każda inna. Ten nakaz przeniesienia jest jedynym dowodem na piśmie, który przetrwał.

Zawróciłem spod okna, odstawiając filiżankę z grubej rządowej porcelany na podstawkę.

–Pułkowniku – powiedziałem – być może mamy tylko kilka godzin albo kilka minut do chwili, w której trzynaście diabłów się spotka i wezwie swego pana. Co wtedy zrobimy?

–Na pewno nie wpadniemy w panikę – odparł podpułkownik. – Najpierw upewnimy się, czy religijne zabezpieczenia diabłów są nienaruszone. Niewiele będą one w stanie zdziałać w obecnej postaci. Mam na myśli worki kości, nad którymi odprawiono egzorcyzmy.

–A jeżeli Elmek zdoła je uwolnić i ożywić?

–Musiałby być to diabeł o dużej mocy. Każda pieczęć została pobłogosławiona przez siedmiu rzymskokatolickich księży i każdą ucałował rzymskokatolicki kardynał. Można z cynizmem odnosić się do religii, ale powiem wam z własnego doświadczenia, że to silny środek.

Madeleine spuściła oczy.

–Widzieliśmy, jak Elmek ciął księży niczym ser – powiedziała niegłośnie.

–Cóż, najlepiej chodźmy na dół i zobaczmy sami – rzekł podpułkownik Thanet. – Sądzę, że już wniesiono kufer, więc nasz NPP jest w komplecie po raz pierwszy od czasów wojny.

Wstał i obciągnął marynarkę.

–Nie skończył pan herbaty – powiedział z wyraźnym zaskoczeniem. Zakłopotany wzruszyłem

ramionami.

–Zdaje się, że napoje wojskowe są na całym świecie takie same – rzuciłem. Zajrzał do filiżanki.

–Dziwne. Mnie się wydawało, że nasi chłopcy parzą całkiem niezłą herbatę. W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł salutując jeden z sierżantów.

–Kufier przeniesiono do miejsca izolacji – zgłosił. Na jego berecie połyskiwał śnieg. – Bardzo był ciężki.

–Dziękuję, sierżancie – odparł podpułkownik Thanet. – Już tam idziemy. Mademo-iselle Passerelle? Panie McCook? Czy zechcą państwo iść ze mną?

Zeszliśmy ze stukotem po obdarty z dywanu schodach, minęliśmy hali, którym weszliśmy, przedostaliśmy się jakimś korytarzem na tyły domu i stanęliśmy przed szerokimi piwnicznymi drzwiami z litego dębu zawieszonymi na stalowych zawiasach. Z prawej strony, przez szklane szybki wmontowane w tylne drzwi budynku, dostrzegłem przemoczony, splątany ogród, a za nim szare, smutne domy na sąsiedniej ulicy. Głęboko pod naszymi stopami klekotała podziemna kolej w kierunku Earl's Court.

Sierżant otworzył zamek i pchnął dębowe wrota. Gdy zobaczyłem, co mają z tyłu na drzwiach, szturchnąłem Madeleine. Do dębu przybity był taki sam krzyż, jak tamten srebrny krucyfiks przylutowany do pokrywy wjazdu czołgu w Pont D'Ouilly.

–Gdyby pan grał w krykieta – rzekł pułkownik Thanet – nazwałby pan to naszym zewnętrznym stoperem. Każdego roku prosimy ojca Mullaneya, by ku naszej większej pewności

odnowił błogosławieństwo.

Podpułkownik Thanet schylił głowę i wszedł przez niewielkie drzwi do korytarza o niskim, pobielonym stropie, a potem zaczął schodzić po drewnianych schodach. Za nim podążałem ja, a na końcu Madeleine.

Pokonawszy schody znaleźliśmy się w białej, dużej piwnicy, oświetlonej nagimi żarówkami wkręconymi w metalowe, osłonięte drucianą siatką oprawki. Pod ścianami stało dwanaście najzwyklejszych stolików na krzyżakach, a na każdym z nich spoczywał zakurzony czarny worek. Dwunastu uczniów Adramelecha, wszyscy w postaci zwyczajnych kości, choć każdy z nich mógł odżyć we wstrętym, wojowniczym kształcie. Pośrodku stał cichy i nieruchomy miedziano-ołowiany kufier, ten sam, który przywieźliśmy z Francji. Znajdował się w nim Elmek czy też Asmorod, władca ostrych noży.

Powoli okrążyliśmy pomieszczenie, przyglądając się po kolei każdemu z worków.

–I co? Co pan proponuje zrobić? – zapytał w końcu podpułkownik Thanet.

–Musimy ich najpierw zidentyfikować – powiedziałem rozglądając się po piwnicy. – Diabła po diable. Potem spróbujemy egzorcyzmów. Na górze mamy stosowną książkę.

–Może pan odprawić egzorcyzmy? W jaki sposób? – Podpułkownik Thanet popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

–Przyzywając anioły. To jedyny sposób – powiedziała Madeleine. Twarz Thaneta stężała.

–Anioły? – powtórzył z niedowierzaniem. – Pani mówiła o aniołach? Madeleine skinęła głową.

–Wierzy pan w diabły, pułkowniku. Nie może pan uwierzyć w anioły?

–Ależ one... no cóż, przecież one nie istnieją... Czyżby istniały? Potarłem zmęczone oczy.

–Mówiąc szczerze, nie wiemy, pułkowniku. Ale wydaje mi się, że tylko to nam pozosta

ło. Ojciec Anton dał mi książkę z inwokacjami aniołów. Podobną wręczył mi wielebny Taylor.

Obaj znali świetnie techniki egzorcystyczne. Sądzę, że to jedyny sposób.

Rozległ się niski, drgający dźwięk. Nie było to metro, o nie. Spojrzałem na Madeleine.

–Pułkowniku – powiedziała – wydaje mi się, że Dan ma rację. Mamy niewiele czasu.

Podpułkownik Thanet rozejrzał się po piwnicy, zerknął na nasz kufer i wreszcie westchnął.

–No dobrze. Jeżeli uważacie, że to się na coś zda. Ale ostrzegam, jeżeli tylko odniosę wrażenie, że coś idzie nie tak, albo jeżeli będziecie usiłowali uszkodzić NPP, wyprowadzę was stąd natychmiast. To jest własność rządowa. Jeżeli cokolwiek się im stanie, szlag trafi moją karierę!

Powoli, złowieszczo bladły światła w piwnicy, jakby jakiś potężny odbiorca energii podłączył się do sieci. Krzyknąłem do Madeleine:

–Biegnij po te książki! Szybko! Leżą na biurku pułkownika Thaneta! – I odciągnąłem tego ostatniego od kufra Elmeka.

Światła przygasły tak, iż widzieliśmy tylko pomarańczowe włókienka, żarzące się nikłym blaskiem w ciemnościach.

–Sierzancie Boone! – zawołał podpułkownik Thanet. – Dajcie mi tu na dół trzech ze

sterlingami!

Im bardziej ciemniało, tym większa ogarniała nas cisza. Słyszeliśmy krzyki i tupot nóg nad sobą, ale w tej piwnicy cisza zdawała się opadać na nas niczym miękkie kłaczki waty. W dziwnym półmroku podpułkownik Thanet dotknął mojego ramienia i wyszeptał:

–Co to? Czy wie pan, co to jest? Co się dzieje?

–To Elmek – odszepnąłem. – Dziesięć do jednego, że to Elmek.

Nie słyszeliśmy ani też nie widzieliśmy, aby wieko od kufra unosiło się, ale gdy przyjrzałem się mu, stwierdziłem, że zostało ono odrzucone w tył, toteż nawet w bladym świetle żarzących się włókienek zdołałem dostrzec poplamiony, wiekowy jedwab, którym wyłożono jego wnętrze. Przekonałem się też, że w środku kufra nie ma nic. Ścisnąłem Thaneta ostrzegawczo za ramię i powoli, lecz dokładnie powiodłem wyteżonym wzrokiem po piwnicy szukając trzynastego diabła.

–To nadzwyczaj dziwne – zauważył podpułkownik Thanet. – Nie wiem, co te przekłete stwory chcą zwojować.

–Prawdopodobnie chcą się uwolnić – odparłem. – Są zaszyte w te przekłete worki od jedenastego stulecia, pomijając ten krótki wypad w czasach drugiej wojny. No i chcą przywołać swego pana.

–Naprawdę pan uważa, że zamierzają wezwać Adramelecha?

–Tak mówił Elmek, a on powinien wiedzieć.

W głębi piwnicy rozległ się powolny, wyciągnięty w czasie oddech, podobny oddechowi

sztucznie uspiętego człowieka. Spojrzałem w tamtym kierunku, między stoły, gdzie było najciemniej. Przez chwilę niczego nie mogłem dostrzec, ale gdy zmrużyłem oczy, wydawało mi się, że rozpoznaję ciemniejszy kształt. Kształt, który napawał mnie najwyższym przerażeniem... karłowatą postać diabła Elmeka o koszmarnych oczach i obrzydliwie szeleszczącym cielsku!

–Elmek – odezwałem się półgłosem. – Rozkazuję ci.

Podpułkownik Thanet obrócił się ku mnie z niedowierzaniem.

–Co pan wyprawia? – zapytał zniecierpliwiony i zdenerwowany. – Z kim pan rozmawia?

Zignorowałem go. Nie było czasu na wyjaśnienia. Piwnica zaczynała dygotać niczym maszynownia okrętu na pełnym morzu, a drewniane stoły tłukły o ścianę i podłogę.

–Elmek, słuchaj. Wypełniliśmy naszą część umowy. A twoja? Oto twoich dwunastu bra-
ci. Oddaj nam ojca Antona, oddaj nam Antoinette.

Diabeł poruszył się i zachichotał. Podpułkownik Thanet cofnął się o krok, usiłując pociągnąć
mnie za sobą.

–Elmek – powtórzyłem.

Przez chwilę trwała cisza, wreszcie diabeł powiedział:

–Już ci mówiłem. Tylko Adramelech może tchnąć życie w twoich przyjaciół, którzy ode-
szli. Najpierw musimy wezwać Adramelecha.

–Sierzancie! – wrzasnął Thanet.

Na stopniach gwałtownie zatupotały ciężkie buciory. Pierwszy wpadł sierżant Boone. Był
to solidnie zbudowany mężczyzna w połowym mundurze khaki i buraczkowym berecie. Pod
pachą dzierżył lekki karabin maszynowy. Za nim z hałasem zbiegło trzech innych żołnierzy.
Wszyscy mieli głowy w kształcie naboju i młode nieprzejednane twarze, a są to cechy, które
żołnierz brytyjski wydaje się nabywać w trakcie nienaturalnej selekcji.

–Tam, w głębi, sierzancie – zakomenderował podpułkownik Thanet. – Na razie wstrzymać
ogień.

–Czy naprawdę pan uważa, pułkowniku, że broń maszynowa na coś tu się nam przyda? –
zapytałem z lekka makabrycznym tonem.

Rzucił mi kwaśne spojrzenie.

–Jestem przekonany, że nie, panie McCook. Ale musimy być na wszystko przygotowani.

Czekaliśmy chwilę w ciemnościach cichej londyńskiej piwnicy. Widziałem, jak żołnierze z
obawą spoglądają na dziwnie migoczące żarówki, których druciki pulsowały niby robaczki
świętojańskie. W końcu pomieszczenia, skryty w ciemnościach, czekał obserwując nas Elmek.

–Elmek – odezwałem się wreszcie. – Co chcesz, abyśmy zrobili?

Diabeł poruszył się w ciemności.

–Nie pomożemy ci wezwać Adramelecha, jeżeli nie powiesz nam, co mamy robić –
podpowiedziałem.

–Srowadź dziewczynę. Musimy mieć tu dziewczynę - odezwał się Elmek głosem staruszki.

–Najpierw musimy wiedzieć, co zamierzasz z nią zrobić – zaprotestował podpułkownik Thanet.

Sierżant Boone i żołnierze patrzyli ogłupiali na swojego dowódcę. Był ich szefem i w normalnych okolicznościach nikt, kto schował się w ciemnościach w głębi piwnicy, nie ośmieliłby się odezwać do ich dowódcy z tak bezczelnym brakiem poszanowania.

–Możemy tam pójść, pułkowniku – zapytał sierżant Boone – by go capnąć? Obaj, kapral Perry i ja, służyliśmy w Ulsterze. Coś takiego to nasza specjalność.

Podpułkownik Thanet nawet nie odwrócił się, by spojrzeć na sierżanta. Po prostu rozkazał:

–Nie ruszaj się, póki ci nie każę. – I wciąż patrzył w mrok.

–Dziewczyna zaraz zejdzie – powiedziałem. – Poszła na górę, ale zaraz zejdzie. Elmek bezustannie zmieniał kształty i miejsca. Madeleine miała rację. Prawdopodobnie

szalał z radości, że dołącza do swych braci, i gwałtownie ze zwykłego podniecenia przechodził nieustanne fizyczne metamorfozy. W ciemnościach ujrzałem zarysy jakichś nieokreślonych rzeczy przeżartych chorobą i lepką zgnilizną, co przyprawiło mnie o mdłości.

Gdy ludzie sierżanta Boone’a, przyzwyczajwszy się do nikłego światła, dostrzegli niektóre z tych obrzydliwych i odrażających form, co połyskując wiły się w drugim końcu piwnicy, wymienili spojrzenia pełne zdumienia i przerażenia.

Przez tłumiącą wszelkie dźwięki, duszącą ciszę przebił się odgłos kroków. Madeleine zeszła po schodach i otworzyła drzwi do piwnicy, stając w progu. Miała pod pachą obie książki. Skinąłem głową w kierunku piwnicznego kąta i powiedziałem:

–Elmek. Objawił się. Madeleine podała mi książki.

–Co robi? – zapytała szeptem. – Czy powiedział, czego chce? Potrząsnąłem głową.

–Chce ciebie, ale nie wiem po co. Elmek zarechotał.

–Nie wiesz po co! Nawet się nie domyślasz? Czyżbyś nie wiedział, co zrobiła Joanna

d’Arc, to biedactwo, w zamian za nasz udział w bitwie? Czyżbyś nie mógł sobie wyobrazić, co przytrafiło się biednej Gundradzie, żonie Williama de Warrenne’a?

Sierżant Boone uniósł sterlinga, ale podpułkownik Thanet machnął ostrzegawczo dłonią i oznajmił:

–Spokojnie, sierżancie. To nie IRA.

–Co chcesz, abyśmy zrobili, Elmek? Dziewczyna tu jest! – zawołałem. – Co mamy zrobić?

Piwnica znowu się zatrzęsła. Usłyszeliśmy niski, denerwujący pogłos, jakby tysiące ro-bacznic kłębiło się nad końską padliną. Zapadły takie ciemności, że prawie nie widzieliśmy Elmeka.

–Chryste – odezwał się jeden z żołnierzy – ciemno jak w cholernym grobie.

–Cicho tam! – warknął sierżant.

Elmek szeptał chrapliwym, prześmiewczym głosem:

–Dziewczyna ma otworzyć po kolei każdy worek. Tylko dziewczyna może to zrobić. Tylko dziewczyna pozostaje w wierze. Musi otworzyć po kolei każdy worek i wymówić nad nim słowa wezwania.

Gdy Elmek przemawiał, usiłowałem dostrzec poprzez mrok, co też napisano na tych stronach, które wielebny Taylor zaznaczył w swej cienkiej czarnej książeczce. Rozdział nosił tytuł: „Siedem dokładnych metod na zidentyfikowanie złego ducha”, i wyjaśniał, co należało uczynić, żeby rozpoznać prawdziwe miano demona lub diabła. Ale gdy odczytałem kolejne linijki, zacząłem tracić nadzieję. Przy pierwszej próbie należało, powołując się na moc Sammaela, arcydemo-na zwanego „jadem bożym”, zapytać diabła o jego imię. Druga próba polegała na spaleniu włosów lub łusek demona i sprawdzeniu, czy dym poszedł do góry, czy opadł na dół. Przy trzeciej próbie musiałbym sypnąć na skórę diabła najróżniejszymi ziołami – ogórecznikiem, koprem i pietruszką, a także tuzinami innych, ponieważ diabły jednych roślin unikały, drugich nie. Przy czwartej próbie powinienem za pomocą srebrnej łyżeczki oblać krwią demona dwadzieścia sześć kart z literami alfabetu. Krew spadłaby na wszystkie oprócz tych, na których znajdowałyby się litery imienia demona. Piąta próba, szósta i siódma wydawały mi się równie niemożliwe do przeprowadzenia. Wszystkie składały się najwyraźniej na obrzęd egzorcystyczny. A to, z czym mieliśmy do czynienia w tej piwnicy przy Huntington Place stanowiło nader pilny okultystyczny przypadek.

–Madeleine – syknąłem. – Madeleine! Nie przeprowadzę tych prób. Są zbyt skompli-
kowane.

Uniosła palec.

–Poczekaj – wyszeptała. – Może jest jakiś inny sposób.

–Jaki inny sposób? O czym ty mówisz?

–Musisz mi zaufać – powiedziała.

–No to co mam robić? Przecież nie możesz pootwierać tych wszystkich worków!

–Muszę.

–Madeleine, ja... Chwyła moje ramię w ciemności i przytrzymała je.

–Zaufaj mi – powiedziała. – Otworzywszy każdy z worków będę się starała rozpoznać znajdującego się wewnątrz diabła, a także będę usiłowała podać ci jego imię. To pomniejsze diabły. Są groźne, wojownicze i wstrętne, ale niemądre.

–A co mam zrobić, gdy już mi przekażesz ich imiona? – zapytałem. – Oczywiście zakładając, że jeszcze będziemy żyli.

Przycisnęła dłonią „L’Invocation des Anges” i powiedziała:

–Sprawdź każde imię w książce. Znajdziesz przy nim drugie imię, imię anioła, który jest odpowiednikiem danego diabła. Wezwij tego anioła powtarzając słowa zaklęcia.

Zmarszczyłem brwi.

–Skąd to wszystko wiesz? Myślałem, że...

Elmek prychnął:

–No, dziewczyno! Otwieraj mi te worki! Rozrywaj worki i wypuszczaj moich ukocha-nych braci! Szybko, dziewczyno, niewiele czasu pozostało!

Światła w piwnicy zapulsowały i stały się jaśniejsze, po czym znowu przybladły. Czułem, jak systematycznie drga całe pomieszczenie. Wydawało mi się, że bije czyjeś potworne serce. Miedzy mną i Elmekiem znalazł się teraz sierżant Boone ze swoimi ludźmi. Wszyscy unieśli karabiny. Wyraźnie zmartwiony podpułkownik Thanet obrócił się w naszą stronę. Podejrzewam, że tego rodzaju odpowiedzialności uczą tych wszystkich ludzi w szkołach oficerskich.

–Mademoiselle Passerelle – powiedział – nie mogę pozwolić, aby pani spełniła żądanie diabła. Muszę panią prosić, aby pani się odsunęła.

Madeleine ścisnęła łagodnie moją dłoń.

–Przykro mi, panie pułkowniku, ale nie mogę zrobić tego, o co pan prosi.

Elmek krzyknął głosem, który rozbrzmiał niczym osiem jakichś innych dźwięcznych gło

sów jednocześnie:

–Otwieraj worki, dziewczyno! Asmorod się niecierpliwi!

Madeleine postąpiła krok naprzód. Jednocześnie z cieni w głębi piwnicy wyłonił się obrzydliwy stwór, ukształtowany na wzór czaszki chrabąszcza, lśniący, czarny. Pomieszczenie wypełnił drżący, szeleszczący pogłos, niby granie konika polnego czy bzyczenie owadów. Nie był to jednak owad, dostrzegłem bowiem na nim macki, a także jakiś groteskowo potworny kształt uczepiony do odwłoka, bliźniaczy, lecz zniekształcony.

–Ognia! – ryknął podpułkownik Thanet.

To, co zdarzyło się potem, zdawało dziać się powoli, albowiem pamiętam każdy szczegół,

jakby wszystko nagrano na taśmie, która bezustannie przesuwała się w mojej pamięci. Zobaczyłem, jak sierżant i jego trzech żołnierze unoszą karabiny maszynowe. Zobaczyłem, jak podpułkownik Thanet cofa się krok do tyłu. Potem z ust jednego z żołnierzy chlusnął potok czegoś ohydneho, całe galony krwawego, posiekanego blocka, które rozprysnęło się po betonowej podłodze. Wyglądało to tak, jakby młody człowiek rzygał setkami kilogramów surowego mielonego mięsa. Madeleine odwróciła twarz, jęknąwszy z rozpacz. Jak urzeczony patrzyłem na ciało żołnierza, które opadło na ziemię zupełnie jak pusta poszewka na poduszkę. W chwilę potem żołnierz zwinął się i tak już został na pokrwawionej podłodze zwrócony twarzą w dół. Obok niego padł w taki sam sposób sierżant Boone, mundur szerniał mu od żółci i krwi, następnie zaś drugi i trzeci żołnierz. Słodkawy smród zemdlił mnie dwukrotnie, w końcu jednak udało mi się zapanować nad żołądkiem.

Niemal się ucieszyłem, kiedy ponownie zaległa ciemność. Otarłem z czoła zimny pot i odciągnąłem Madeleine do tyłu, byle dalej od czterech trupów. Przez minutę czy dwie panowała cisza. Potem usłyszałem skrzypiący śmiech Elmeka, śmiech kojarzący się ze śmiechem starej wiedźmy, śmiech nieludzki, jakby głos demona płynął rurkową gardzielą wyłożoną czarnym włosiem.

–Ośmielili się mi grozić - kpił diabeł. – Ośmielili się podnieść na mnie swą broń. Jaka szkoda, że nie mogliście z zewnątrz docenić mojej sztuki. Cóż, na tym właśnie zasadza się cała elegancja takiej śmierci. Zwymiotowali własne wnętrzości, posiekane żołądki, płuca i nerki, ich ciała stały się tak samo puste, jak ich tępe głowy.

–Chyba powinniśmy spróbować uciec, panie McCook – odezwał się drżącym głosem podpułkownik Thanet.

–Nie miałoby to wielkiego sensu, pułkowniku. Prawdopodobnie demon zrobiłby z nas taką samą siekaninę, nim zdążylibyśmy dobiec do pierwszego schodka. Psiakrew, dlatego właśnie byliśmy zmuszeni przyjść tutaj w ogóle!

–Nie uczyni nam krzywdy, monsieur le colonel - przerwała nam Madeleine – jeżeli zrobimy to,

co nam każe. A teraz muszę pootwierać te worki. Nie możemy tracić już więcej czasu.

–Zabraniam! Zabraniam pani postąpić krok! – warknął podpułkownik Thanet.

–W takim razie postąpię kilka kroków – zbuntowała się Madeleine i przepchnęła się między nami w mrok.

Aprobujący szelest Elmeka spowodował, że poczułem się tak, jakby nagle oblano mnie lodowatą wodą. Chciałem udać się za Madeleine, ale ona odwróciła się i cicho mi nakazała:

–Zostań tam. Dan. Proszę. Trzymaj się z tyłu. Nasłuchuj, jakie imię wypowiadam, i wzywaj anioły.

–Co mówisz? O czym mówisz? – zasyczał Elmek.

Madeleine obróciła się i spojrzała prosto w wijące się cienie, w których ukrywał się diabeł.

–Robię to, co do mnie należy – powiedziała z prostotą i podeszła do pierwszego stolika.

Stała nad tym stolikiem przez – jak mi się wydawało – wieczność, choć było to zaledwie

kilka sekund. Potem odezwała się:

–Wzywam cię, istoto z ciemności, duszo piekielna. Rozkazuję ci pojawić się w swej naj bardziej złowroziej postaci. Rozkazuję ci przybyć i zrywam wszelkie pieczęci i więzy, co cię pętają. *Fenite*, duchu.

Potem chwyciła zmurszałą materię worka i rozdarła ją.

Stamtąd, gdzie stałem, nie widziałem dobrze. Dostrzegłem jednak dziwaczne kości i wyczułem przedziwny zapach kurzu, a także usłyszałem grzechot piekielnych kręgów. Madeleine sięgnęła do wnętrza worka i wyjęła czaszkę diabła, podnosząc ją tak, aby Elmek widział.

–Umbakrail – powiedziała. – Diabeł ciemności i złych zdarzeń po zapadnięciu nocy.

Tak mnie zafascynowało to, co robiła, że nieomal zapomniałem wyszukać imienia Umba-

kraila w „L’Invocation des Anges”. Ale gdy Madeleine podeszła do następnego stolika, szybko przerzuciłem kilka kartek, by w końcu znaleźć to, czego szukałem. Umbakrail, znany także jako UmbaQurahal lub S’aamed. Diabeł ciemności. Obok widniała akwaforta z groteskową bestią o wytrzeszczonych oczach i pazurach niczym żyletki. Na sąsiedniej stronicy figurował opis anielskiego odpowiednika tego diabła, anioła Serona, wyłuszczonej zawilą francuszczyzną Henriego St. Ermina, a poniżej znajdowały się słowa, którymi można było wezwać anioła na ziemię, by ten pozbył się z niej złowroziej obecności swego piekielnego adwersarza.

–O aniele – mruzczałem, obawiając się, żeby Elmek nie usłyszał, co mówię. – Zaklinam cię w imię błogosławionej Marii Dziewicy, na Jej święte mleko, na Jej uświęcone ciało, na Jej świętą duszę, przybądź. Wzywam cię wszystkimi świętymi imionami – Eloy, Jehova, El Oristan, Sechiel, Laaval...

–Co, u licha, pan wyczynia? – zapytał podpułkownik Thanet.

–Raczej powinien pan zapytać co, o nieba, wyczyniam. – Przyjrzałem mu się. – Wzywam na ziemię anioły, żeby nas z tego wszystkiego wyciągnęły.

–Na litość boską, człowieku, ta dziewczyna jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie! Musimy...

–Zamknij się pan! – syknąłem. – Nie możemy nic absolutnie zrobić! Widział pan, jak Elmek potraktował pańskich ludzi! A teraz niech pan da nam szansę załatwić to naszym sposobem!

Podpułkownik Thanet miał zaprotestować, gdy przez piwnicę przetoczył się niski, nieprzyjemny warkot, toteż zwrócił się przerażony ku wijącym się kształtom Elmeka. Madeleine właśnie wymówiła słowa wezwania nad drugim workiem i rozrywała średniowieczny materiał, by wydobyć zeń straszliwy szkielet.

Znowu uniosła czaszkę. Była podłużna i wąska, miała skośne oczodoły i załączki dwóch rożków. Czulem, jak płynie z niej fala zimna. Jakby ktoś otworzył drzwi chłodni. Światła w piwnicy ściemniały i zaczęły migotać. Czulem potęgującą się obecność zła i okrucieństwa.

–Cholok – powiedziała Madeleine, identyfikując diabła. – Diabeł uduszeń. Diabeł, który dusi dzieci i zabiera powietrze ofiarom pożarów.

Podpułkownik Thanet posłał mi wściekle, lecz bezradne spojrzenie. Byłem jednak zajęty kartkowaniem książki. O, proszę. Cholok, czasem znany pod imieniem Narspeth. Diabeł o zupełnie beznamiętnym obliczu. Wyróżnia się skórzastymi skrzydłami gada. Na sąsiedniej stronie

przeczytałem, że jego niebiańskim przeciwnikiem jest Meles, anioł czystości i szczęścia. Wymówiłem słowa wzywające Melesa, po czym patrzyłem, jak Madeleine zbliża się do trzeciego worka.

Szkielet po szkielecie, po trzecim worku czwarty, potem piąty i szósty, i siódmy, każdy diabeł opuścił starą materię, w której tkwił od tak dawna. Demony jeszcze nie ożywały, domyślałem się jednak, że gdy wszystkie zostaną uwolnione z religijnego więzienia, przyobleką się w ciało, podobnie jak zapewne uczynił to Elmek w piwnicy ojca Antona.

Hałas był okropny i denerwujący. W miarę jak Madeleine uwalniała diabły, wzrastał się chór piekielnych głosów, aż całe pomieszczenie zdawało się przemienić w dom wariatów, w którym rozlegały się to drapania dziwnych owadów, to groteskowe krzyki i szepczące głosy

bezustannie prawiące o śmierci i zarazie, o zbrodniach ponad ludzkie pojęcie. Pociłem się tak bardzo, aż moje palce odgniotły mokre wgłębienia na kartach „L’Invocation des Anges”. Podpułkownik Thanet zasłonił dłońmi uszy, oszołomiony, nie dowierzający.

Wreszcie Madeleine wypowiedziała słowa uwalniające ostatniego demona – diabła Themgorotha, sokołopodobnego diabła ślepoty. Ja natomiast wymamrotałem inwokację, sprowadzającą anielskiego przeciwnika Themgorotha, Asrula. Nie zapomniałem też o aniele Elmeka, Jespahadzie, aniele uzdrawiania.

Madeleine cofnęła się ku nam. Wszystkie kości leżały na wierzchu, a upiorne czaszki patrzyły na siebie przez piwnicę. Pomiędzy nimi przemieszczała się wijąc zdeformowana postać Elmeka. W piwnicy panował obrzydliwy zaduch – trzynaście zmieszanych ze sobą gnilnych smrodów – od którego zrobiło mi się niedobrze i poczęły łzawić oczy. Słyszałem, jak stojącemu obok mnie podpułkownikowi Thanetowi zebrało się na wymioty, w rezultacie czego musiał obetrzeć usta chusteczką.

Z sekundy na sekundę wzmagala się kakofonia głosów i dźwięków. Nachyliłem się ku Madeleine i wyszeptalem:

–Zrobiłem to, o co mnie prosiłaś. Chyba się udało. Madeleine prawie mnie nie słyszała poprzez krzyki, zawołania i bełkoty.

–Co? – zapytała.

–Zrobiłem to, o co mnie prosiłaś. Wezwałem wszystkie anioły. I co teraz?

–Właśnie – powiedział poblady Thanet. – Gdzie one są? Jeżeli miałyby przybyć i nam pomóc, to gdzie się podziały?

Madeleine przyglądała się nam przez chwilę. Jej jasnozielone oczy błyszczały intensywnie. Sprawiała takie wrażenie, jakby obdarzono ją charyzmą czystej siły, a także i determinacją, jakby wiedziała dokładnie, co i jak należy zrobić i nie miała żadnych wątpliwości, że zrobi to bez względu na cenę.

–Jeszcze nie czas – odparła. – Anioły przybędą. Najpierw musimy pozwolić diabłom, by sprowadziły Adramelecha.

–Adramelecha?! – wykrzyknął podpułkownik Thanet zaszokowany. – Ależ nie mamy żadnej szansy na to, żeby pokonać Adramelecha!

Ponad pomrukiwania i pokrzykiwania braci przebił się potężny głos Elmeka.

–Jestem zadowolony - oznajmił przeraźliwie spotęgowanym tonem. – Jestem bardzo

zadowolony. Nareszcie moi bracia i ja jesteśmy znowu razem! Śmiertelnicy, zostaniecie wynagrodzeni. Wynagrodzeni!

Madeleine zwróciła się ku niemu i zawołała:

–Z przyjemnością służymy tobie, panie!

–Madeleine? – powiedziałem, próbując chwycić ją za ramię, ale odepchnęła mnie lekko.

–Jesteśmy wiernymi uczniami Adramelecha i jego dzieła! – zakrzyknęła wysokim, świ-

drującym głosem, który przebił się przez ryki i jęki trzynastu diabłów. – Pójdziemy za Adrame-lechem tam, gdzie zechce nas poprowadzić, i z radością skłonimy się przed nim w królestwie podziemi!

–Na litość Chrystusa, Madeleine – warknąłem. Ale ona nie zwróciła na mnie żadnej uwagi i uniosła w górę ręce.

–Wezwijcie Adramelecha! – krzyczała. – Niech pokłonimy się przed jego złowieszczą chwałą i złowrogim majestatem!

Coś ryknęło ogłuszająco, jakby minęła nas w największym pędzie lokomotywa. Światła zgasły zupełnie. Znaleźliśmy się w ciemnościach wypełnionych przerażającymi dźwiękami i szeptami. Na dodatek cuchnęło obrzydliwie jakimiś gnijącymi szczątkami.

–Madeleine... – odezwałem się po raz wtóry, ale ona odparła:

–Nie ruszaj się! Stój tam! Diabły przyoblekają się w ciało!

–Musimy się ruszyć – rzucił ostro podpułkownik Thanet. – Nie możemy tu tkwić jak nieruchome cele. Jestem za tym, żeby dopaść schodów póki ciemno.

–Pułkowniku, te stwory wyszły z ciemności. One widzą pana tak wyraźnie, jakby to było samo południe.

–Tam do licha, nie możemy po prostu tu zostać! Jedno z nas musi sprowadzić pomoc!

–Pułkowniku, proszę! – błagała Madeleine. – Niech się pan nie denerwuje i nie rusza z miejsca! Naprawdę mamy szansę, jeżeli tylko pan się uspokoi!

Wyglądało to trochę tak, jakby Madeleine prosiła o spokój kogoś, kto znalazł się w ciemnej klatce pełnej psychicznie niezrównoważonych gepardów. Co gorsza, podpułkownika Thaneta przygotowano do działania. Cała filozofia jego życia zamykała się w idei: masz obawy, działaj.

–Pobiegnę i już! – rzekł.

Madeleine krzyknęła: – Nie! – A ja usiłowałem złapać go za rękę w ciemnościach. Ale

zdaje się, że trenował rugby czy coś takiego, ponieważ uskoczył w bok jak zawodowiec i pobiął.

Nie widzieliśmy demonów, ale je słyszeliśmy. Gdy podpułkownik Thanet biegł klucząc przez piwnicę, diabły nagle rzuciły się na niego, szeleszcząc i klekocąc ciałami w ohydny podnieceniu. Oficer dopadł pierwszego schodka i wydaje mi się nawet, że udało mu się wdrapać na dwa czy trzy stopnie. Lecz w tym momencie wydał dziwny, zduszony okrzyk: – Ach! – I usłyszałem, jak potyka się i pada ciężko na podłogę.

–Oh, mon Dieu... - wyszeptała Madeleine, ale oboje wiedzieliśmy, że jakiegokolwiek usi

łowania pomocy spełzyby na niczym. W absolutnej ciemności diabły schwyciłyby nas niby małe myszki rzucone szczurowi na pożarcie.

Nagle obrzydliwe trzepotanie demonów zanikło. W ciemnościach ujrzałem blady, fosforyzujący zarys, w którym rozpoznałem Elmeka. Dygotał i wił się, zmieniając postać, stając się to dziwaczny, wściekłym gadem, to bezkształtną meduzą, to złowrogą chmurą ektoplazmy. Wreszcie, głosem tak chrapliwym, że ledwo go poznałem, przemówił do swych dwunastu braci.

–Zostawić... mężczyznę... będzie... kąskiem dla naszego pana... Adramelecha.

Stopniowo światła znów się rozjarzyły. Nic świeciły jasno, więc widzieliśmy tylko groteskowe kłębowisko cienistych postaci u stóp schodów. Stwierdziliśmy jednak, że podpułkownik Thanet żyje. Siedział skulony na podłodze ochraniając ramionami głowę przed pazurami, zębami i skórzastymi skrzydłami demonów, które ledwie darowały mu życie.

–Śmiertelnicy... wszyscy zostaną ofiarowani - kontynuował chrapliwie Elmek. – Taką otrzymają nagrodę... za udzieloną nam pomoc.

Madeleine postąpiła krok naprzód, a kłęb demonów zaszemrał i zaszleścił.

–Czy to tak rozumiesz układy? – powiedziała jasnym głosem. – Czy to tak dotrzymujesz swych obietnic?

Elmek zachichotał, jakby ktoś sypnął odłamkami szkła.

–Powiedziałaś... że chcesz służyć... Adramelechowi.

–Będziemy mu służyć! Będziemy najwierniejszymi śmiertelnikami, jacy kiedykolwiek służyli niemiłosciwemu! Na nic nie zdadzą się jednak nasze zamiary, jeżeli złożysz nas w ofierze!

Trzymałem się dobrze z tyłu, gdy Madeleine dyskutowała z Elmekiem, bo – choć nie wiem czemu – zdawała się panować nad sytuacją. Albo nie była ze mną szczerą, gdy po raz pierwszy spotkałem ją przy czołgu w Normandii, albo ujawniała cechę charakteru, o której po prostu nie miałem dotąd pojęcia. Bez względu na to, czym by to tłumaczyć, Madeleine umiejętnie starała się ocalić nam życie, i to było najważniejsze.

Trzymałem się z dala również dlatego, bo diabły, te koszmarnie gargulce, które żyły, oddychały i zgrzytały zębami, dysząc z niepohamowanej żądzы krwi, wydawały mi się zaledwie cieniami cieni rodem ze złego snu. Wiedziałem, że jeśli tylko podejść bliżej, przekonam się, że koszmarnie stwory istnieją rzeczywiście.

Diabeł Umbakrail uniósł swój kościsty łeb ponad skłębioną, pełzającą masę, zasłaniając światła piwniczne wąskim, koźlim cieniem własnej czaszki.

–Najwyższym aktem wiary śmiertelnika jest oddanie Adramelechowi życia, tchu i krwi. Jak śmiesz twierdzić, że jesteś wiernym sługą Adramelecha, jeżeli niechętnie składasz swe największe dary?

–Mam wspanialszy – powiedziała Madeleine – i bardziej tajemniczy dar dla waszego pana, Adramelecha, niż moje życie, krew i oddech.

Diabły szeptały coś i mamrotały, wydzielając przy tym taki smród, iż przez chwilę myślałem, że znalazłem się w zoo. Odór ten kojarzył mi się z cuchnącą gorzko wyschniętą uryną niedźwiedzi czy małp.

–Wkrótce będziesz miała możliwość okazać, co przynosisz, śmiertelna kobieto - odparł surowo Umbakrail. – Za chwilę wezwiemy Adramelecha, budząc go z wiekowego snu, tobie zaś przypadnie zaszczyt ofiarowania mu swego daru.

Madeleine milczała krótko, potem powiedziała:

–Dobrze. – Odwróciła się plecami do trzynastu diabelskich uczniów Adramelecha, jakby nie byli niczym więcej, lecz sforą trzynastu uwięzanych psów.

U stóp schodów zakasłał i jęknął podpułkownik Thanet.

–Pułkowniku! Jak się pan czuje? – zawołałem.

Znowu zakasłał.

–Nie wiem... nie najlepiej. Chyba złamałem żebro na tych schodach. Na dodatek coś zatopiło pazury w moich plecach. Czuję krew.

Kolejny grzmot przetoczył się przez piwnicę. Jęki i szepty demonów wzmogły się hałaśliwą falą krzyku pożądania.

–*Nadszedł czas. Nadszedł czas wezwania* - odezwał się Cholok.

Madeleine i ja trzymaliśmy się z dala, przy ścianie, a diabły ustawiły się w półkole na środku piwnicy. Usiłowałem przyjrzeć się im, gdy tak stały pośród gęstych, okrzepłych cieni, chciałem zobaczyć, jakie są naprawdę. Wydawało mi się, że same wytwarzały wkoło siebie owe cienie, płaszcze ciemności. Dostrzegłem tylko pokryte łuską skrzydła, zagięte rogi i ślepia, które lśnią jarzyły się piekielnymi ognikami. Stanowiły kwintesencję średniowiecznych, legendarnych diabłów, tych, które prześladowały mężczyzn i kobiety w Europie od najdawniejszych czasów. Prawie wcale się nie zdziwiłem, gdy przekonałem się, że nie są wytworem wyobraźni jakiejś sfrustrowanej zakonnicy, że stają po ziemi, mają prawdziwe pazury i prawdziwe kły – i że powinniśmy tak samo lękać się diabłów nocą jak bandytów czy morderców.

**–To, co zobaczysz teraz – wyszeptała Madeleine nachylając się ku mnie – będzie prze
rażające. Twoje życie znajdzie się w niebezpieczeństwie. Ale cokolwiek się stanie, nie
panikuj**

ani nie staraj się uciekać. Widziałeś, co przydarzyło się pułkownikowi Thanetowi.

Skinąłem niemo głową. Zaduch i ciemności poczęły na mnie napierać. Czułem, że za chwilę przeżyję jakiś koszmarny, ale nieunikniony moment strachu, jakbym siedział w boeingu 747, w którym nawaliły urządzenia sterownicze, wiedząc, że prędzej czy później muszę wylądować. Sądzę, że oddałbym wszystko za papierosa. Wiem, że zrobiłbym wszystko, aby być gdziekolwiek indziej.

Diabły rozpoczęły monotonną litanię w nie znanym mi języku. Modlitwa miała dziwnie podchwytliwy rytm, powtarzający się i nie oszlifowany, który zniemacka wywołał u mnie mdłości. W piwnicy robiło się coraz duszniej. Nie mogłem już nabrać w płuca powietrza, które byłoby wolne od smrodu demonów. Rękawem otarłem pot z czoła, starając się napiąć mięśnie brzucha tak, by nic męczyły mnie mdłości.

**–*Adramelech chastu remlisthu narek. Adramelech hismarad yonluth. Adramelech chastu
remlisthu narek.***

Na początku nic się nie działo. Słyszałem tylko ten niepokojący śpiew. W jakiś czas potem dziwnie się poczułem, jakbym w środku miał dzwoniącą metaliczną pustkę, podobny do tej, która powstaje w wyniku działania novocainy, gdy siedzi się na fotelu u dentysty. Następnie temperatura poczęła spadać coraz niżej i niżej, i niżej. Odniosłem wrażenie, że przeciwległa ściana piwnicy zniknęła i że nie było tam niczego, tylko mroźna czarna pustka.

–Adramelech chastu remlisthu narek. Adramelech hismarad yonluth. Adramelech chastu remlisthu narek.

W tym momencie zdawało mi się, że wszystkie ściany piwnicy gdzieś się usunęły. Dmuchał w nas zimny astralny wiatr. Zawisnęliśmy w miejscu, w którym nie istniał czas, nie było powietrza. Nie rozeznawałem, gdzie góra, a gdzie dół. Wcale nie miałem wyczucia odległości.

Ale diabły wciąż były. Powtarzały swe wezwanie raz po raz skrzekliwymi owadzimi głosami. Czulem, że to coś, co wzywały, cokolwiek to było, zbliżyło się do nas, tak jak się wie, mimo absolutnych ciemności, że ktoś nadchodzi. Przybywało coś nieopisanie przerażającego, wezwane owym złowrogim i tajemnym śpiewem, który nie rozbrzmiewał na ziemi od czasów średniowiecza. Wydało mi się, że słyszę, jak podpułkownik Thanet krzyczy, ale ten świdrujący dźwięk zginął pośród diabelskiej litanii i bezkresnej pustki, która roztaczała się wokół nas.

Madeleine zwróciła się do mnie z wolna, powoli, jak kobieta we śnie.

–Madeleine... – usiłowałem powiedzieć, ale wydobyłem z siebie tylko jakiś niewyraźny, nie dokończony szept.

Madeleine potrząsnęła głową i uśmiechnęła się lekko, a potem odwróciła się ode mnie znowu.

–Adramelech usthul! Adramelech hismarad! Adramelech ghutil! - wołały diabły.

W tym momencie ich ciemne, błoniaste skrzydła uniosły się rozkładając szeroko, a ślepią

zapłonęły w ciemnościach. Na własne oczy ujrzałem zarys Adramelecha, wielkiego kanclerza piekieł, po raz pierwszy pojawiającego się na ziemi, odkąd Patton i Montgomery wywołali go podczas wojny.

Zjawa była tak przerażająca, że zmartwiałem, a po ciele przeszły mi fale zimna. W środku koła utworzonego przez duchy nieczyste tkwiła ciemna postać, wielka i potworna, która przypominała gigantycznego, zdeformowanego osła stojącego na tylnych nogach. Postać ta miała ogromny łeb, pierś pokrytą kudłatymi włosami, brzuch i nogi zaś porastały jej jakieś niezdrowe, zaskorupiałe płyty i narośle. Gdy demon wylaniał się z ciemności, towarzyszył mu dźwięk przy-

pominający wysoki krzyk, niby tysiącdecybelowy komputerowy przekaz, a powietrze wokół niego drgało jak nad rozgrzaną szosą. Przez nie kończące się minuty ósmy przedstawiciel diabelskich Sefhirothów stał obracając głowę i patrzył majestatycznie i złowieszczo na swych trzynastu poddanych. Hałas był oszalamiający i myślałem, że do końca mnie ogłuszy! Madeleine uklękła, a ja zrobiłem to samo.

–Oto Adramelech! – zawołała, ale diabły nie usłyszały jej głosu przez wycie. – Przybiera

kształt osła, aby zakpić z wjazdu Pana do Jerozolimy!

–Co, u licha, teraz zrobimy?! – odwrzasnąłem. – Albo raczej, co Adramelech zrobi z nami?

–Wstrzymaj się! – powiedziała. – Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, zaczniemy działać!

Coś grzmotnęło i wycie przycichło. Znowu zmaterializowały się ściany piwnicy. Po kilku chwilach przerażający Adramelech stanął między nami i powoli rozglądał się wokół, czekając aż służalcze szemranie diabłów ucichnie.

Wyczuwałem obecność tak wielkiego zła, że mój puls wcale się nie uspokoił. Było ono straszniejsze, niż mógłbym to sobie wyobrazić. Było stokroć potworniejsze niż napaść bandytów na kogoś, kto powraca wieczorem do domu czy też budzi się nocą na dźwięk stłuczonej szybki w drzwiach kuchennych. Był to totalny strach o najwyższej częstotliwości, który trwał i trwał, i trwał, i nie miał zamiaru zelżeć.

Adramelech zwrócił się w naszą stronę.

–*A ci kim są?* - Dosłyszałem czysty, wyraźny szept.

–*To śmiertelni uczniowie, nawróceni na piekielne drogi przez Elmeka* - odparł Umba-krail.

Zaległa cisza, ale nie ośmieliłem się podnieść oczu. Obok mnie klęczała wciąż Madeleine, ściskając dłonie jak w modlitwie. Wcale się jej nie dziwiłem. W obliczu Adramelecha niewiele więcej można było zrobić.

–*Jestem zadowolony, Elmek* - powiedział Adramelech. – *Dzięki tobie jesteśmy wreszcie razem, tak jak to przewidziano w dziewięciu księgach piekielnych. Czyż nie napisano w księdze trzeciej, że pośpieszywszy z odsieczą śmiertelnikom podczas wojny zostaniemy rozdzieleni, by połączyć się ponownie na czas następnej wojny?*

–*Tak zapisano, panie* - potwierdził służalczym tonem Umbakrail.

Adramelech zainteresował się podpułkownikiem Thanetem, którego dwa diabły zmusiły do klęku.

–*A to kto?* - zapytał.

–*Oto jeden* - odezwał się Cholok – *ze śmiertelnych budowniczych wojny, który od lat usiłował odkryć słowa, za pomocą których mógłby cię wezwać, panie, a potem odesłać.*

Adramelech zaśmiał się.

–Tylko za cenę krwi można mnie odesłać, żołnierzyku. A za każdym razem, gdy przychodzę na wezwanie, cena jest wyższa. Jesteś jeszcze głupszy niż tamci z lat minionych.

Podpułkownik Thanet spojrział w górę, unosząc posiniaczoną twarz ku demonowi.

–Naprawdę pomógłbyś nam? – odezwał się niepewnie. – Gdybyśmy przystali na cenę krwi, naprawdę pomógłbyś nam tak jak podczas wojny?

–Której wojny? - zapytał Adramelech.– Walczyliśmy w tak wielu! Biliśmy się pod Azincourt i odepchnęliśmy Rzymian spod Minden! Chwyciliśmy za broń razem z Burami w Afryce Południowej i, co najlepsze, byliśmy nad Sommą, pod Passchendaele i Ypres, gdzie zrobiliśmy to, co nam kazaliście, wytępiając całe pokolenie młodych mężczyzn.

–To wiem – powiedział podpułkownik Thanet. – Ale czy pomożecie nam teraz?

–Chcecie wytępić jeszcze więcej? - zapytał Adramelech. – Doprawdy, wasza żądza ni szczenia i przemocy bardzo mnie cieszy. Istnieje ścisły związek między hierarchią piekieł a takimi jak wy śmiertelnikami, i to też bardzo mnie cieszy. Pewnego dnia, kiedy śmiertelni wreszcie zrozumieją, dla jakiego celu ich stworzono, przestaną może wzajemnie się niszczyć i przestaną rozpaczać. Ufam jednak, że uda nam się odroczyć ten dzień tak długo, jak to tylko jest możliwe.

Przez krótką, niezwykłą chwilę podpułkownik Thanet przypominał człowieka, a nie wojskowego.

–Czy wiesz? – zapytał spojrzawszy na Adramelecha. – Czy wiesz, dlaczego tu jesteśmy? Dlaczego na ziemi są ludzie?

Sardoniczny śmiech Adramelecha rozbrzmiał niby tysiące ton skalnych odłamków staczających się tysiącem pustych szybów kopalnianych.

–Czy wiem? Ależ oczywiście, że wiem! Lecz czemu miałyby to cię zajmować? Twój cel jest nieskończenie mniejszy, lecz nieskończenie bardziej podniecający! Niszczyć i mieć w ręku moce niszczące! Sprawiać sobie wzajem ból! Burzyć wszystko, co stworzyli wespół człowiek i Bóg! Dlaczego miałbyś martwić się o filozofię, mając takie przyjemności na widoku?

Stłoczone wokół Adramelecha, niczym płaszczący się dworzanie, diabły zasyczały i zaszeptały. Zaległa chwilowa cisza.

–Potrzebujemy cię dla NATO. Czy wiesz, co to jest NATO? – powiedział w końcu podpułkownik Thanet.

–Oczywiście, żołnierzyku. Adramelech jest wszystkowiedzący.

–To mnie rozkazano wezwać cię i prosić o pomoc.

Adramelech spojrział w dół na pułkownika z pobłażaniem.

–Nie wolno ci mnie prosić o pomoc. Musisz ją wytargować. Powiedz mi, jakie zniszczenia mam wyrządzić, a powiem ci, jakiej żądam ceny. Ceną – ostrzegam – jest zawsze krew.

Podpułkownik Thanet miał niewyraźną minę.

–Nie chcę żadnych zniszczeń – powiedział. – Po prostu chcę, abyś był pod ręką jako swego rodzaju jednostka sił obronnych.

Adramelech zaśmiał się.

–Obrona nie jest niczym więcej jak niszczeniem w stanie uśpienia! Czemu udajesz, że zbroicie się w celach obronnych, gdy jedynym waszym celem jest likwidacja tych, których uważacie za swych wrogów? Wyjaśnij mi, jaka jest różnica między bronią zaczepną i bronią obronną! Czyżby zabijały inaczej? Czy jedna jest mniej niebezpieczna od drugiej? Jesteś większym głupcem, niż mi się wydawało!

Podpułkownik Thanet usiłował powstać.

–Chwileczkę! – prychnął. – To dzięki mojej pracy jesteście tutaj i może zaczęlibyście to doceniać?

Przez chwilę Adramelech milczał.

–Doceniam dzieło Pattona i Eisenhowera, żołnierzyku - odezwał się w końcu. – Patton spowodował, że wezwano mnie w krąg mych trzynastu uczniów, i przyszedł do mnie żądny zniszczenia. Chciał wybić Niemców, i to szybko. Przyznam, że bojąc się nas umiał nas okiełznać

przy

pomocy kapłanów. Pragnął jednak śmierci swoich wrogów i zapłacił nam krwią, więc byliśmy zadowoleni. Patton i Eisenhower to ludzie, którymi się szczyję. Ale ty? Co ty mi opowiadasz? Że

wcale nie chcesz zabijać?

Podpułkownik Thanet zaczął się gubić. Był też przerażony, chociaż w desperacji starał się tego nie okazywać.

–Nie możemy was prosić o to, abyście w tej chwili zaczęli szaleć, niszczyć i zabijać. Nie ma wojny. To nie to samo co z Pattonem – powiedział niepewnie.

–A cóż to szkodzi! - zauważył oschle Adramelech. – Jeżeli spuścisz nas na swych wrogów, wszczniemy wojnę. Wojnę, którą wygrasz.

–Ale ja nie chcę! – - wrzasnął Thanet, krzywiąc się z bólu.

–Nie masz wyboru - powiedział Adramelech. – Teraz, kiedy już nas wezwano, nie odejdziemy za nic. Absolutnie nie masz wyboru.

–A jaką cenę uznalibyście za wystarczającą? – - zapytał podpułkownik Thanet. – Zabiliście już czterech moich ludzi.

Adramelech odwrócił potworną głowę.

–Tą ceną byłbyś ty. Absolutnie byś mi wystarczył - oznajmił wstrętnym szeptem.

–Ja? – zapytał przerażony Thanet. – Jak to ja?

–Z wielką przyjemnością odgryzłbym ci głowę - powiedział Adramelech. Podpułkownik Thanet zrobił się bardzo blady. Długo klęczał, kołysząc się w szoku. Nawet

w owej chwili, jak mi się wydawało, nie do końca wierzył, że Adramelech istnieje. Jego rozum zasklepił się w sobie, a podświadomość starała się najprawdopodobniej usilnie go zapewnić, że za dużo wypił i zjadł za dużo marynowanych cebulek, i że niebawem się rozbudzi.

–A jaki mam wybór? – zapytał, jakby go mdliło. – Wojna? O to chodzi? Adramelech nie odpowiedział słowem. Podpułkownik Thanet wykręcił boleśnie głowę w naszym kierunku i popatrzył na nas.

–Niczego mu nie oferuj! – syknęła Madeleine. – Trzymaj się mocno i nie popuszczaj! Podpułkownik Thanet spojrział znowu na kanclerza piekiel.

–Musisz dać mi trochę czasu – odezwał się prawie niesłyszalnym głosem.

–Ani chwili - rzekł Adramelech.

–Ale ja nie wiem, co mam robić! Nie mogę wam pozwolić...

–Ani chwili! - ryknął Adramelech druzgocąco.

Zamarli na chwilę. Demon patrzył rozjuszonymi ślepiami na Thaneta, a Thanet w najwyższym przerażeniu na demona. Wtem podpułkownik podniósł się ciężko i rzucił się w kierunku schodów piwnicznych, krzycząc wielkim głosem z bólu wywołanego złamanymi żebrami.

Zatrzymał go Askalon, diabeł ognia. Gdy Thanet skoczył na piąty czy szósty stopień, demon buchnął nagle ryczącymi płomieniami. Był to straszliwy widok. Thanet wrzasnął znowu i usiłował wymachując dłońmi zagasić ogień, który trawił włosy, skórę, spalał tłuszcz. Ale jego dłonie również płonęły, wzbudzał więc tylko jeszcze większe płomienie!

Przez chwilę stał tak przed nami, spalony na czerń, buchający ogniem, potem upadł na bok i stoczył się ze schodów na posadzkę.

Adramelech obserwował go w groteskowej ciszy.

–Tchórz i głupiec - wyszeptał wreszcie. – Żaden budowniczy wojny. Patton przynajmniej dał mi krew.

Madeleine dotknęła mojej dłoni.

–Nie ruszaj się i nie piśnij ani słowa – szepnęła. Potem stanęła prosto przed Adramelechem i jego swiątą tak spokojna i ufna w siebie, aż pomyślałem, że nie byłbym do tego zdolny.

–Adramelechu – powiedziała.

Demon nie od razu ją usłyszał, ale usłyszeli ją niektórzy pośledniejsi jego słudzy i obrócili ku niej skośne koźle oczy.

Madeleine podniosła głos:

–Adramelechu!

Diabeł uniósł swoją dziwaczną, mułowatą głowę. Przez chwilę nie odzywał się wcale,

Madeleine zaś podeszła tuż pod jego koślawe nogi.

–Ja cię znam - powiedział podejrzliwie. – Spotkałem cię w minionych czasach.

Madeleine pozostała na swoim miejscu, wyprostowana, nie zląkniona.

–Ja cię już wcześniej widziałem - powtórzył Adramelech. – Twe imię, śmiertelna!

–Nazywam się Madeleine Passerelle – odparła Madeleine. – Ale poznałeś mnie najpierw jako Charlotte Latour i poznasz mnie pod jeszcze innym mianem.

–Jak to? - warknął Adramelech. Denerwowało go coś w postawie Madeleine.

Madeleine złożyła dłonie w modlitewnym geście.

–Byłam tą dziewczyną – powiedziała cicho – którą podarował ci generał Patton w zapłacie za operację *Stripes*. Oskarżono mnie o kolaborację i zdradę francuskiego ruchu oporu.

Tylko Bóg jeden wie, że to nieprawda. Moi zazdrośni przyjaciele rozpowszechnili takie plotki.

Ale musiałam mimo wszystko swoje odcierpieć. Zabrano mnie do Anglii i postawiono przed tobą, chcąc załagodzić twój niszczycielski gniew. Nigdy nie zapomnę, co ze mną wyprawiałeś, jakie zadałeś mi cierpienia, a wybiegały one poza granicę ludzkiej wytrzymałości, nie zapomnę,

jak znieważałeś moją kobiecość, docierając do krańców naturalnej czy też nienaturalnej wyobraźni.

Adramelech nie odezwał się, ale jego diabły były poruszone. Słyszałem, jak ich pazury niecierpliwie skrobały po podłodze.

–Umarłam – powiedziała Madeleine z prostotą. – Umarłam i wzniosłam się do królestwa Pana Naszego oddając pod opiekę Naszej Pani, Królowej Niebios. Wiem teraz, czym jest raj. A ponieważ wiem, czym jest raj, potrafię zrozumieć piekło. Raj to stan, w którym wiara i

niezłomność serca otrzymują nagrodę, właśnie tak jak to sobie wyobrażałeś. Piekło to

ignorancji i samozadowolenia przeciwko prawdziwemu celowi ludzkości.

–Skoro umarłaś, Charlotte Latour, skąd się tutaj wzięłaś? - zapytał Adramelech.

Madeleine podniosła głowę.

–Narodziłam się ponownie w dniu swego umęczenia jako córka Jacquesa i Edith

Passerelle'ów. Nie wiedziałam o tym aż do chwili, gdy nadszedł czas zabrania Elmeka z czołgu i

połączenia was wszystkich w tej oto piwnicy. Dopiero dzisiaj zrozumiałam, co mi przeznaczone,

a będąc istotą reinkarnowaną mam do spełnienia niebiańskie posłannictwo.

Adramelech zarechotał obrzydliwie raz za razem.

–Niebiańskie posłannictwo? Oszalałaś! Jesteś tak samo szalona jak Joanna d'Arc! We

zwała nas sądząc, że ma do spełnienia posłannictwo. Teraz ty robisz to samo! Dziewczęta we

Francji są dzisiaj tak głupiutkie jak niegdyś!

Ale Madeleine stała nieporuszona. Uniósłszy ramiona na kształt krzyża, przemówiła, a jej głos był czysty i przejmujący. Z trudnością go rozpoznałem.

–Jestem więcej niż nowym wcieleniem, Adramelechu. Jestem istotą, która zrodziła się po to, aby dać się osiąść!

–Posiąść - odparował Adramelech. – Posiąść?

–Kto czy też co ją posiadzie? - zagadnął Elmek. – Człowiek czy muł?

Diabły zaszeleściły z krwiożerczej radości. Jeśli chodzi o mnie, usiłowałem trzymać się w jak największym cieniu.

W tym właśnie momencie Madeleine przeszła transformację, która w rzeczywistości rozpoczęła się już wtedy, kiedy to po raz pierwszy wspomniała o aniołach i kiedy to udało się jej opanować całą tę sytuację. Powietrze wokół niej zaczęło ciemnieć, a ona sama stawała się coraz trudniej dostrzegalna. W końcu prawie nic nie było widać. Tam, gdzie stała, pojawiło się coś, co można by określić jako intensywne czarne lśnienie. Ciemność zrobiła się tak nieprzebita, że aż raziła.

Słabo znałem się na naukach ścisłych. Przecież byłem tylko kartografem. Wiedziałem jednak, na co patrzę, co mam przed sobą. Czymkolwiek w istocie była Madeleine, cokolwiek

wzięło ją w posiadanie, nabrała w tym momencie tak wielkiej fizycznej gęstości, że od jej ciała nie odbijało się żadne światło, i dlatego właśnie nie mogłem jej widzieć. Była niby owe czarne dziury w przestrzeni kosmicznej, tyle że stała tu, obok mnie.

W piwnicy jej głos zabrzmiał jak dzwon. Był wysoki, czysty i piękny.

–Teraz rozpoznajesz mnie, Adramelechu! Teraz rozpoznajesz mnie i wiesz, czym jestem!

Adramelech dziko rzucił wielkim oślim łbem, obnażając zęby. Diabły stłoczyły się wokół niego, ale on rozgarnął je jednym brutalnym pchnięciem.

–*Hod!* - wrzasnął. – *Anioł Hod!*

Diabły jęknęły i zawyły cofając się, byle dalej od jarzącej ciemności. Sam Adramelech postąpił do tyłu, ale dokonywała się w nim jakaś zmiana. Nie przypominał już w takim stopniu jak przedtem chorobliwie zdeformowanego muła, lecz raczej czarną, szatańską bestię z czerwonymi oczyma i paszczą pełną klów.

–Od wieków czekałem na tę chwilę, Adramelechu – rozległ się głos Madeleine. – Te

raz mam was wszystkich razem, wszystkich w jednym czasie, w jednym miejscu i w jednym ziemskim wymiarze. Ciebie i trzynaście twoich trędowatych sług!

Adramelech zaryczał z wściekłości, a piwnica zadrżała w posadach. Ze ścian posypały się cegły, z sufitu opadły kłęby cementowego pyłu.

–*Mam swoje diabły!* - krzyknął wściekle. – *Jesteś niczym wobec mnie i moich diabłów!*

Machnął czarnym, pokrytym łuską ramieniem w kierunku swych uczniów, a powietrze w piwnicy wypełniło się ogniem i dymem oraz stęchłym zapachem chorób. Zamachnął się znowu i otoczyły nas roje much i komarów. Uniósł oba ramiona i opuścił je w mocarnym geście zniszczenia, a ziemia poruszyła się, aż zadygotał cały budynek poczynając od fundamentów.

–*Odejdź, Hod! Precz, oszukańczy aniele! Opuść to miejsce i nigdy nie wracaj!*

Znowu ziemia zadrżała, a część piwnicznych schodów rozpadła się, przysypując zwęglone

ciało podpułkownika Thaneta. Powoli, ostrożnie uniósłszy gadzie skrzydła, diabły otoczyły migocącą ciemność, gotując pazury i obnażając zęby w morderczej ekstazie. Przez tumany kurzu, przez dym i rojące się robacznicę, dostrzegłem ich skośne ślepia. Czulem też ten smród, który bił od nich wtedy, kiedy były podniecone.

–Nie masz żadnych szans Adramelechu! – odezwał się jasny głos Hoda. – Moje anioły

już wezwano! Zejdźcie, moi posłańcy! Zejdźcie, legiony moje! Zejdźcie, aby zniszczyć te podłe

diabły i prochy ich strącić w wieczny ogień piekielny!

Przez chwilę, na tle ostatecznej czerni boskiego Hoda, widziałem rogi demonów. Widziałem też, jak Adramelech wznosi się za nimi, bardziej obrzydliwy i bestialski niż kiedykolwiek. Jego kły połyskiwały śliną. Następnie ujrzałem, jak całą piwnicę rozjaśnił fosforyczny blask przeżartego chorobami cielska, a w tej jasności dostrzegłem roje much. Potem oślepiło mnie jaskrawe, białe światło. Wszystko zniknęło za zasłoną jasności – jasności aniołów, które nie osiągnęły jeszcze ostatecznej i absolutnej czerni. Zasłoniłem dłońmi twarz i obróciłem się do ściany, ale obraz aniołów nadal mnie raził nawet pod zamkniętymi powiekami. Wszystkie anioły, cała zawieszana przez nas trzynastka, zjawiły się w wybuchu świętej mocy, która niweczyła ludzki wzrok i porażała ludzkie rozumienie.

Piwnica drżała. Słyszałem śmiertelne jęki i wrzask niepojętego strachu. Odważyłem się otworzyć oczy, mrużąc powieki przed światłem. Ujrzałem wysokie postaci, rozrzedzone aż do ostatnich granic migocącego ognia, które promieniowały energią we wszystkich kierunkach, rozcinając smugami światła diabły. Zobaczyłem, jak pada Umbakrail z rozplataną światłem pierśią, zobaczyłem, jak jego wnętrzności eksplodują wiecznym pyłem. Widziałem, jak ciało Choloka odpada od kości na kształt płatów papieru i ginie w świetlanym huraganie. Ujrzałem, jak

Themgoroath ucieka w ślepej panice i pada ścięty jasnym ramieniem anioła. Dostrzegłem też Elmeka, tę masę wijących się macek, która zapadła się w siebie, sparzona ponad wytrzymałość żarem i światłem aniołów.

W kilka minut było po wszystkim. Diabły leżały na podłodze w takiej postaci, w jakiej tu przybyły, to jest w postaci kości. Anioły bladły z wolna, aż na przewrażliwionych czopkach i pręcikach moich oczu pozostało z nich tylko bezkształtne wspomnienie. Po posadzce przeciągnął chłodny powiew rozwiewając kurz i smród pozostały po diabłach Adramelecha.

Ostał się tylko Adramelech i Hod. Okryte strupami stopy Adramelecha stały twardo na piwnicznej posadzce, a jego masywne cielsko górowało nad wszystkim. Wielki kanclerz piekieł rozglądał się wściekle wokół. Hod, migocący czarny anioł, tkwił przed nim jak zjawa.

–Hod - wyszeptał Adramelech. – Nie zdołasz mnie odesłać. Nie rozporządzasz taką mocą.

–Mam świadomość tego – odrzekł Hod głosem Madeleine. – Ale i tak odejdziesz.

–Nie możesz mnie odesłać! Zostanę! Tylko śmiertelnik może mnie odesłać, i to taki śmiertelnik, który potrafi udowodnić, że wasz kochany Bóg żył niegdyś! Wiesz o tym równie dobrze jak ja!

Hod jarzył się ciemno, ale nic nie odrzekł.

–Za to, czego dzisiaj dokonałeś, Hod - warknął Adramelech – podjudzę ludzi do takiej wojny, jakiej nigdy na tej ziemi nie zaznali. Moi słudzy nie żyją – dzięki tobie. W odwecie zniszczę miliony twoich śmiertelnych podopiecznych. Dziś wieczorem użyją takiej broni, za której sprawą ziemia spłonie od bieguna po biegun, a pokolenia ludzkie nieść będą ciężar przekleństwa chorób i plag, i wszelkich wynaturzeń przez wieki wieków.

–Pan Bóg...

–Pan Bóg niczego nie uczyni! Pan Bóg nigdy niczego nie uczynił, nigdy nie mieszał się w te sprawy i teraz też nie będzie się mieszać! Hod, ujrzę, jak ziemia płonie! A potem ukochany plan waszego ukochanego pana ukaże swe prawdziwe oblicze.

Przyciśnięty plecami do piwnicznej ściany wysłuchałem tej dudniącej, odbijającej się echem wymiany zdań, jakby były to głosy zasłyszane we śnie. Z początku czułem się niepewnie, mroził mnie strach, ale wreszcie postąpiłem krok do przodu, w światłość, a walczące istoty zamilkły, najwyraźniej zaciekawione i zaskoczone.

–Odejdź, Adramelechu – wychrypiałem.

Wielki kanclerz piekieł, górując nade mną zwałami połyskujących zwojów czarnego, węzowatego cielska, zawahał się, by przemyśleć, co powiedziałem. W końcu otworzył żółtawy pysk i zarechotał okrutnym złowieszczym śmiechem. Nie miałem wątpliwości, że zrobiłem źle. Postąpiłem jeszcze jeden krok, ale tym razem do tyłu.

–Ach tak - powiedział Adramelech – każesz mi odejść, tak? Ty żaloszny śmiertelniku!

Każesz mi odejść, doprawdy?

Przerażony skinąłem potakująco głową, przywołując w pamięci niemal wszystkie zaklęcia wypowiedziane przez ojca Antona i wielebnego Taylora.

–Adramelechu – wydobyłem z siebie – zaklinam cię, odejdź! W imię Boga Ojca opuść

nas! W imię Syna Bożego, wyjdź! W imię Ducha Świętego, oddal się z tego miejsca!

Rozkazuje

ci Bóg i rozkazuję ci ja! Na Jezusa z Nazaretu, który oddał swą duszę na błogosławione anioły, z

których upadłeś, idź swoją drogą, rozkazuję ci! Amen!

Adramelech ani drgnął. Zazgrzytał zębami rzucając mi rozwścieczone spojrzenie, w którym zawarł tyle złości i nienawiści, że gotów byłem zrobić to samo, co uczynił podpułkownik Thanet.

Dać drapak. Może anioł ochroniłby mnie podczas ucieczki. Nie miałem jednak żadnej pewności. Poczułem, jak po plecach ścieka mi pot.

–Czemu nie odchodzisz, Adramelechu? – ozwał się cicho anioł Hod.

Adramelech zaśmiał się.

–*Nie odejdę, póki ten śmiertelnik nie okaże mi dowodu na to, iż Jezus z Nazaretu rzeczywiście istniał. Jeśli tylko może.*

Zapadła długa, napięta cisza. Zwróciłem się w stronę anioła Hoda, ale czarne jarzenie było tak intensywne, że nie mogłem dostrzec, czy mnie zachęca, czy ostrzega. Ponownie obróciłem się do Adramelecha.

–*Bez dowodu na istnienie Jezusa jesteś zgubiony.* - Adramelech wyszczerzył zęby. –

Pozrę cię, śmiertelniku. Hod nie zdoła mi przeszkodzić. Rasa ludzka zdecydowała się na samo zagładę i nawet największy z aniołów temu nie zapobieże.

Zakaślałem. Wsunąłem dłoń do kieszeni i wyjąłem pudełko po pastylkach, które otrzymałem od Eloise. Ostrożnie otworzyłem wieczko i uniosłem puszczkę ku Adramelechowi.

–*Co to jest?* - zapytał demon, odwracając swój paskudny łeb.

Podniosłem pudełko wyżej.

–*To nieodparty dowód życia Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Prochy z Jego płaszcza bez szwów, który zabrano Mu na Kalwarii.* Adramelech wijąc się drgnął nerwowo.

–*To fałszerstwo* - powiedział świdrującym głosem. – *Żadna relikwia nie jest prawdziwa.*

Poczułem, jak strach zmroził mi ciało, ale nadal trzymałem puszczkę w górze.

–*To są prochy z szaty Chrystusa, nie są fałszywe* – powtórzyłem z taką pewnością, na jaką tylko potrafiłem się zdobyć. – *Chrystus żył, a to są szczątki Jego szat.*

–*Łiesz!* - zawył Adramelech. – *Zabierz to ode mnie!*

–*To prawda!* – wrzasnąłem. – *Chrystus musiał żyć, bo nikt w tym przeklętym wszechświecie nie tolerowałby świata rządzonego przez ciebie i twoje diabły! Jego życie było logiczne, nie tylko boskie, i już!*

–Łzesz! - darł się rozwścieczony demon. – Łzesz!

–Tak?! – rozdarłem się na całe gardło. – No to masz!

Uniosłem ramię i cisnąłem pudełkiem w węzowate cielsko wielkiego kanclerza piekieł.

Prochy obsypały go od stóp do głów.

Przez sekundę myślałem, że nic się nie stanie i że demon zaatakuje mnie zaraz tymi swoimi kilkoma rzędami złowieszczych zębów. Lecz Adramelech niespodzianie wydał z siebie ryk tak głośny, aż cegły i kurz posypały się ze stropu z łoskotem. Po chwili ryknął jeszcze raz i raz jeszcze, tak że musiałem zatkać sobie uszy.

Okrywająca go czarna, węzowata skóra poczęła obłazić ciężkimi, pomarszczonymi fałdami. Pod nią znajdowało się surowe, połyskujące mięso, a także szare, żółtawe i fioletowe żyły. Następnie ciało zaczęło ześlizgiwać się z kości, tworząc obłoki obrzydliwej pary, od której zbierało mi się na mdłości. Wreszcie podtrzymujące go kości rozsypały się po podłodze, a spomiędzy żeber wypelzły tęczowe, drgające glisty, które rozłaząc się po posadzce gdzieś znikaly.

Długi czas stałem gapiąc się na szczątki Adramelecha. Nie mogłem mówić. Któż zdołałby uwierzyć w to wszystko, co się stało. Wreszcie zwróciłem się w stronę lśniącego czernią anioła.

–To tyle? – zapytałem. – Czy Adramelech naprawdę zginął?

–Tak – odparł Hod głosem należącym do Madeleine – podczas tego żywota. Wiele mamy ci do zawdzięczenia, śmiertelniku. Postąpiłeś mądrze.

Otarłem kurz i brud z twarzy.

–A Madeleine? – zapytałem anioła. – Czy ona wróci? Czy jest wasza na wieki?

Czerń zamigotała.

–Madeleine odeszła, śmiertelniku, tak samo jak odeszła Charlotte Latour. Nie umarła, lecz będzie żyć w innej postaci. Być może pewnego dnia znowu ją spotkasz.

Chrząknąłem. Powietrze w piwnicy było pełne kurzu i duszne.

–Co to ma znaczyć? Czy narodzi się znowu? – zapytałem.

–Na swój sposób.

–Czy możesz przekazać jej coś ode mnie?

–Obawiam się, że nie. Nie zapamięta nic z tego, co zaszło. Będzie jednak szczęśliwa. Mam nadzieję, że to cię nieco pocieszy. Służyła nam dobrze, powinna więc być szczęśliwa.

Otarłem twarz chustką.

–A ojciec Anton i Antoinette? Elmek przyrzekł, że Adramelech ich ożywi.

Ciemność uśmiechnęła się, jeśli oczywiście coś takiego mogłoby się zdarzyć. A przynajmniej emanowała sympatią.

–Diabły rzadko kiedy dotrzymują słowa. – Usłyszałem. – Tylko Pan Bóg ma moc

dawania życia czy wskrzeszania zmarłych. Ale wiedz, że ojciec Anton trafił do tego nieba, na które zasłużył – a z nim jest jego Antoinette. Ci, co za życia walczą ze złem, za grobem są nagradzani.

Poczułem się ogromnie zmęczony. O, jakże dawno temu ujrzałem dwóch starsuszków jadących drogą na rowerach, którzy przeszkodzili mi w pracy opowiadając o czołgu w Pont D’OUILLY.

–A co z diabłami? Czy kiedykolwiek je jeszcze zobaczymy? – zapytałem.

–Będą towarzyszyć człowiekowi tak długo, jak długo człowiek będzie prowadził wojny. Adramelech i jego trzynastu pomocników przetrwają w takim czy innym kształcie. Demona rodem z diabelskiego Sephirothu nie można zniszczyć całkowicie czym innym, jak tylko niewiarą. To samo dotyczy aniołów boskiego Sephirothu. Gdyby żaden człowiek nie wierzył w chwałę, która jest moim królestwem, znikłbym na wieczność.

–Rozumiem – odparłem, chociaż wcale nie byłem tego pewien. Rozejrzałem się po zrujnowanej piwnicy.

–Co mam teraz zrobić? Czy jest jeszcze coś, co chcielibyście, abym zrobił? – zapytałem.

Nie otrzymałem odpowiedzi. Odwróciłem się i stwierdziłem, że czarne jarzenie zniknęło.

Znalazłem się sam w świecie śmiertelników.

Znużony wszedłem powoli na schody i otworzyłem drzwi prowadzące na korytarz. Nie spotkałem nikogo. Budynek wyglądał zwyczajnie i normalnie, jakby się nic nie stało od tej chwili, kiedy po raz pierwszy nacisnąłem dzwonek. Drzwi wejściowe stały otworem. Na dworze parkował citroen. Pod wycieraczką dostrzegłem mandat.

Zszedłem po schodkach na zimową ulicę. Było już prawie ciemno i zaczął padać śnieg. Podniosłem wycieraczkę i wyjąłem mandat. Gdy tak stałem na mokrym, zimnym londyńskim

bruku, cieszyłem się, że pada, ponieważ nikt nie mógł zobaczyć, iż mam oczy pełne łez.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-19

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/